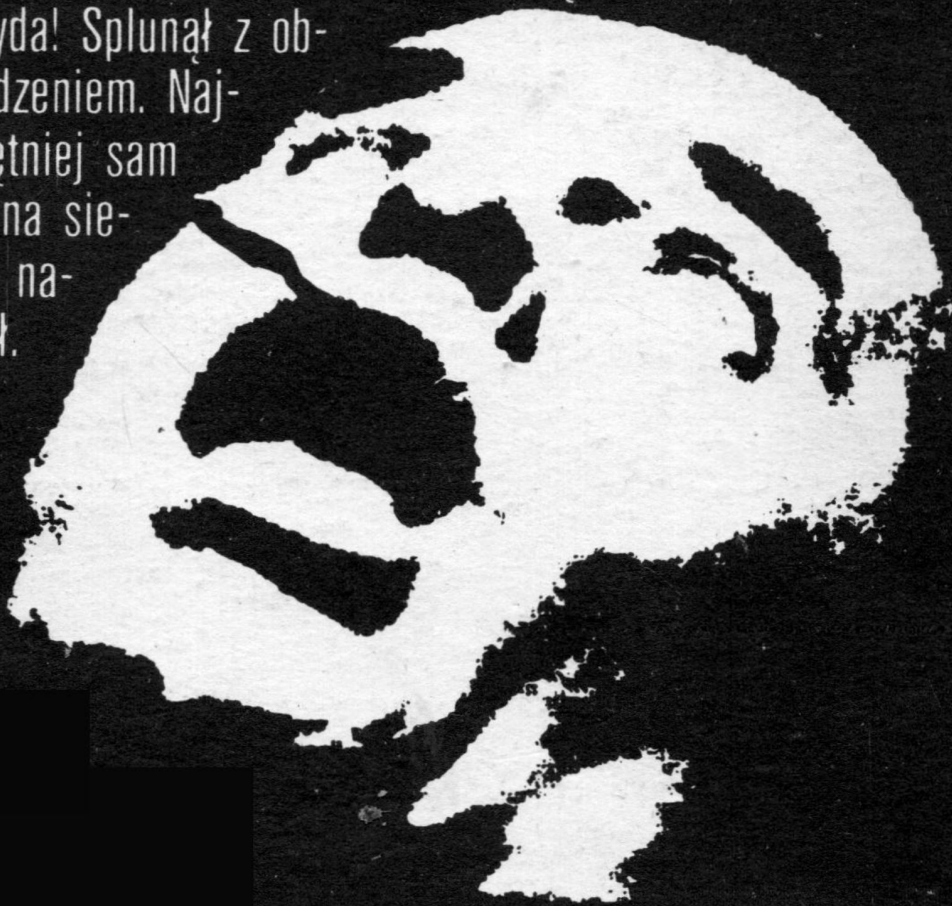




Pomyśleć, że za trzy dni
ma nadstawiać głowy
razem z człowiekiem, któremu
właśnie uwiodł żonę!

CZYTELNIK

Ohyda! Splunął z ob-
rzydzeniem. Naj-
chętniej sam
by na sie-
bie na-
pluł.



Auguste

le Breton

Klan Sycylińczyków

AUGUSTE LE BRETON

KLAN SYCYLIJCZYKÓW



I

W szerokim korytarzu o licznych drzwiach, opatrzonych nazwiskami sędziów śledczych, unosił się stłumiony szmer głosów. Na ławkach, oparci o szare ściany, siedzieli oskarżeni oczekując na wezwanie. Z głębi schodów prowadzących do aresztu śledczego wynurzył się Roger Sartet, prowadzony przez dwóch strażników. Trzy miesiące odsiadki nie pozostawiły na nim żadnych śladów, najwyżej może trochę przytył. Ale w więzieniu to normalne, brak powietrza, bezczynność... Bardziej niż kiedykolwiek pasowało teraz do niego przezwisko Gruby Piętaszek. Na wargach błąkał się nieprzyjemny uśmiech, pozornie obojętne oczy patrzyły czujnie.

- Tędy - odezwał się pierwszy strażnik, otyły rudzielec, ciągnąc jednocześnie za sobą więźnia, z którym skuty był stalowym łańcuszkiem.

Niepotrzebnie wskazywał mu drogę, Muszka znał ją o wiele lepiej od niego. Ile to już razy wożono go z Sarité na przesłuchania? Chyba kilkadziesiąt... Usadowił się na ławce naprzeciw drzwi sędziego Martin, a wraz z nim jego anioł stróż. Drugi strażnik wdał się w pogawędkę z kolegą pilnującym nobliwie wyglądającego starca, od którego na kilometr zalaływały wyższymi sferami przestępczymi. Muszka uniósł dłoń, jak gdyby próbując poprawić węzeł krawata, ale kajdanki wstrzymały jego rękę w pół drogi. Zaprotestował. Zrobił to łagodnie, tonem raczej przyjaznym.

- Chociaż to moglibyście mi zdjąć! Nie rzucę się przecież na was.

- Wydano nam co do ciebie bardzo wyraźne rozkazy - odpowiedział strażnik spokojnie. - Wiesz o tym.

Niemniej uwolnił mu rękę z kajdanków. Muszka poprawił krawat i z braku pall-malli, które zazwyczaj palił, zaczął niezręcznie

szukać gauloisów w kieszeni nieprzemakalnego płaszcza.

- Pozwól - powiedział strażnik.

Wygrzebał z kieszeni płaszcza poszukiwaną paczkę i podał Muszce, który wziął jednego papierosa i wskazując resztę powiedział:

- Niech się pan poczęstuje.

Zgrywając się na nieprzekupnego Robespierre'a, strażnik potrząsnął przecząco głową i podsunął więźniowi staroświecką zapalniczkę. Muszka zaciągnął się z lubością dymem nikotynowej trawy. Cholerna frajda! Z rozkoszą chłonał w nozdrza zapach tytoniu. W tej samej jednak chwili uwagę jego zwrócił odgłos kroków i serce podskoczyło mu do gardła. W głębi korytarza, ale od strony przeciwnej niż schody wiodące do aresztu, ukazał się młodszy brat Aida, Sergio. Wydawać by się mogło, że młody Włoch śledził go ukryty w cieniu. Był również zakuty w kajdanki, a towarzyszył mu jasnowłosy osiłek, z roześmianą, sympatyczną gębą. Nie zatrzymując się, Sergio mruknął coś do swego strażnika i obaj podeszli do Muszki. Sergio chciał usiąść koło mordercy, ale strażnik zatrzymał go krótkim szarpnięciem.

- Siadaj tam.

Sam ulokował się między nim a Muszką Majową, jednocześnie zwracając się do kolegi strażnika:

- Tylko im pozwól robić, co chcą...

Potem, wskazując energicznym ruchem podbródka Muszkę, zapytał:

- Co to za jeden?

- Muszka Majowa - odpowiedział klawisz. - Gruby Piętaszek. Ten sławny...

Ale blondyn przerwał mu ruchem ręki. Z głową przechyloną na bok chwilę przypatrywał się Muszce, a potem ze zmarszczonymi brwiami i nagle zachmurzoną twarzą wykrzyknął:

- Tak mi się właśnie zdawało...

Po czym dorzucił ze złpścią, przez wciśnięte zęby:

- Mam nadzieję, że cię skrócą o głowę, bydlaku. Morderco glin.

- Wszyscy tylko na to czekamy - przytaknął strażnik.

Muszka przestał patrzeć na Sergia, wystrojonego

w miękką zamszową kurtkę, wełnianą koszulę w czerwoną

kratę i kremowe dzinsy. Teraz z kolei klawisz się zainteresował.

- Ty też do sędziego Martin?

- Nie - wyjaśnił blondyn, wpatrujący się właśnie w drzwi sąsiadujące z drzwiami sędziego Martin. - My do sędziego Renonceaux. Ale przyszliśmy za wcześnie.

Zaśmiał się przyjaźnie.

- Moja zamszowa kurtka nie ma nic wspólnego z twoim wrogiem publicznym. A ten jest tu za kradzież wozów.

Klawisz rzucił Sergiowi spojrzenie pełne wyrzutu i westchnął:

- Ach! Ci gówniarze z tymi swoimi samochodami! Całkiem pógłupieli.

Wziął gauloisa, którego blondyn podał mu nad kolanami Muszki, zapalił i odetchnął głęboko.

- Już nawet mój najstarszy chce, żebym mu kupił używany wóz! Masz pojęcie!? Czy to na moją kieszeń.., - Wypuścił chmurę dymu.

- Co im teraz wszystkim poodbijało, tym smarkaczom, z tą ich mechanizacją i uganianiem na złamanie karku?

I w zadumie wpatrywał się w dym ze swego papierosa, jak gdyby zawierał on rozwiązanie zagadki naszych czasów. Muszka podnosił właśnie do ust gauloisa, gdy nagle zamarł na ułamek sekundy. Strażnik Sergia przysunął się do niego niepostrzeżenie i otarł się o niego udem. Muszka poczuł, że delikatnie wsuwa mu do kieszeni jakiś dość długi, płaski przedmiot. Jego ręce w kajdankach znowu powędrowały do ust. Twarz pozostała nieprzenikniona. Obok niego rozległ się szelest papieru i blondyn szturchnął go lekko kolanem. Muszka odwrócił głowę. Powoli. Ich spojrzenia spotkały się, po czym Muszka opuścił wzrok na gazetę, którą mężczyzna zdawał się czytać. Na górze kolumny widniał czytelny napis: „Dzisiaj. Narzędzie na baterię. Instrukcja w środku. Masz dziesięć minut. Przy ulicy Cassini zatrzymamy sukę na kilka sekund. Bądź gotów. Kobieta z psem na smyczy pochyli się i zawoła twoje nazwisko na znak, że masz wyskoczyć. Ona cię zaprowadzi. Skręć kark”. Delikatnym oparciem się o sąsiada Muszka dał znak, że zrozumiał. Wypluł żdźbło tytoniu i uśmiechając się krzywo do klawisza, powiedział:

- Moja córka też ma kota na punkcie aut. Trzeba być wyrozumiałym dla młodych.

Strażnik wyrwany z zamyślenia odburknął:

- Akurat świetnie do ciebie pasuje ta gadanina o wyrozumiałości dla dzieci! Morderca...

Muszka chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył. W ciszy rozległ się głos Sergia:

- Mogę iść się wysuszać?

Jasnowłosy strażnik złożył gazetę, zrobił zniecierpliwioną minę, poprawił kepi i wstał:

- Jazda - powiedział szorstko. - Po czym rzucił do gliny: - Do zobaczenia za chwilę, jeżeli twój sędzia was nie wywoła. Potem do San te?

Kolega skinął głową.

- A ty do Fresno?

- Niestety - przytaknął blondyn, a jego zbyt nowy pas nieprzyjemnie zaskrzypiał. - Tam dojeżdża się na miejsce bez żadnego postoju.

Ujął rękaw zamszowej kurtki:

- No, ruszże się.

Dwaj mężczyźni odeszli. Muszka powstrzymał się, żeby za nimi nie spojrzeć. Skrzyżował nogi, przybrał taki wyraz twarzy, jak gdyby interesowały go jego zakurzone buty, a łokciem namacał przedmiot znajdujący się w kieszeni na biodrze. Czy będzie działał? To jego ostatnia szansa. Sędzia śledczy powiedział, że śledztwo wreszcie się skończyło - i Muszka nigdy już nie wytknie nosa poza wysokie mury więzienia, chyba cudem. Cholernie dobry miał pomysł, żeby zmusić sędziego do wezwania go, przy pomocy listu, w którym przyznawał się do winy. Mimo że był tak opanowany, lekki nerwowo dreszcz, poprzedzający każdą akcję, wstrząsnął całym jego ciałem. Strażnik to zauważył.

- Chory?

Muszka wzruszył ramionami i skrzywił się.

- Przeziębilem się.

Żeby się opanować, wciągnął i wypuścił powoli powietrze. Powtarzał to wielokrotnie. Będzie potrzebował stu-

procentowego refleksu, nie może pozwolić sobie na najmniejszy błąd. Absolutnie najmniejszy. Rozdeptywał właśnie niedopałek, gdy drzwi naprzeciwko otworzyły się i protokolant wychylił za próg swój pysk gryzonia.

- Sartet!

Klawisz wstał i klepnął mordercę lekko po ramieniu. Jego kolega znalazł się natychmiast przy drugim boku przestępcy i wszyscy trzej wkroczyli do sędziego Martin. Nie zaszli daleko. Muszka zatrzymał się na progu jak wryty: w pokoju był główny komisarz, Le Goff. Dawno już się nie widzieli. Od trzech miesięcy? A może dawniej...

- Idziemy - zniecierpliwiał się klawisz i popchnął Muszkę do środka.

Gangster znalazł się naprzeciw biurka sędziego. Widział jednak nie sędziego, lecz wyłącznie człowieka, który go pokonał. Tego, który poprzysiągł, że będzie miał Grubego Piętaszka, sławnego pogromcę szarych mundurów, wywołującego w całym kraju oburzenie swymi głośnymi napadami z bronią w rękę, dokonywanymi zawsze w piątek, w dzień przewozu pieniędzy z banków do fabryk.

- Mamy trudności, Sartet - zaczął sędzia bez ogródek. - Wasz adwokat zawiadomił mnie w ostatniej chwili, że nie może się stawić. Jeśli więc chcielibyście odłożyć...

Bandyta wzruszył ramionami, nie spuszczając z oka szefa Brygady do walki z gangami.

- Słucham pana, panie sędzio.

- A więc Sartet, zbliżamy się do finału. Wasze akta przekazane zostaną prokuraturze. Zanim jednak śledztwo zostanie zamknięte, komisarz i ja chcielibyśmy się dowiedzieć, co ma znaczyć ten list, który napisaliście do mnie z Santé?

Sędzia Martin uniósł w górę kwadratową kartkę papieru.

- Dlaczego nagle, po roku milczenia, przyznajecie się do zabójstwa inspektora Larméno, dokonanego w czasie napadu w Sartrouville?

- Bo to ja go zabiłem - stwierdził Muszka.

Alan Le Goff zrobił krok w jego kierunku, po czym zatrzymał się nagle, wpatrując się przenikliwie w przestępcę

bladoniebieskimi, nieprzyjemnymi oczyma. Zachrypniętym głosem palacza stwierdził:

- Powinniście raczej powiedzieć, Sartet, że postanowiliście nagle kryć swojego współnika, Józefa Curviera, zwanego Jo Kulas. O to wam chodzi. Ale my nie jesteśmy naiwni. Od dawna już wiemy z całą pewnością, że pistolet maszynowy, z którego zabito Larméno, jest ulubioną bronią Curviera.

Muszka Majowa z trudem zdobył się na krzywy uśmiezek.

- Wie pan lepiej ode mnie, panie komisarzu, że to nie jest żaden dowód. Curvier nigdy się do niczego nie przyznał. Nawet do tego, że mnie zna.

Na okrągłej twarzy najślawniejszego ze współczesnych gangsterów pojawił się uśmiech.

- Wie pan również o tym, że byle kto może się posłużyć każdą bronią. Tego dnia ja miałem w ręku ten pistolet.

- Nie!

Wściekłość w głosie Le Goffa sprawiła, że sędzia śledczy aż podskoczył.

- Nie - powtórzył szef - nie zabiliście Larméno. Nie mam pojęcia, czemu zawdzięczamy to spóźnione przyznanie się do winy, ale to nie wy go zabiliście. Po prostu tym razem wdepnęliście na dobre przez zabójstwo oficera policji, Vrillarda, więc postanowiliście częściowo odciążyć waszego współnika biorąc na siebie śmierć Larméno, ponieważ to morderstwo nie zmienia i tak waszego wyroku.

- Niech mi pan tego dowiedzie - przerwał mu bandyta. - Ja się przyznaję. Curvier zaprzecza. Więc jak to będzie?

- Patrzcie tylko - wtrącił sędzia. - Solidarność zawodowa, Sartet? Niewczesny romantyzm!

Bandyta raczył wreszcie zwrócić na niego uwagę.

- Jedna głowa panu nie wystarczy, panie sędzio? Chciałby pan mieć również Curviera?

Le Goff zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Teraz dotykał już prawie gangstera. Wściekły, rzucił przez zaciśnięte zęby:

- Dostałem cię, Sartet, ciebie i twój gang. Jo Kulasa też będzie miał. Odpowie za swoją zbrodnię i wyślę go na gilotynę. - Po czym, stukając palcem w pierś mordercy, dodał: - Mimo że ty

się do tego przyznałeś. Wiem równie dobrze jak ty, że to Jo strzelał do Larméno w Sartrouville.

- Niech pan tego dowiedzie.

Denerwujący uśmiezek nie schodził z twarzy mordercy.

Nie zadając sobie nawet trudu przekonywania, dodał cynicznie:

- Zależy panu, żeby skazać niewinnego, czy co? To tak wygląda wasza sprawiedliwość?

Znowu zwrócił się teraz do sędziego, który nie dawał za wygraną.

- Co was ugryzło, Sartet, żeby wysyłać mi ten list? O co ci właściwie chodzi?

Protokolant przestał nagle wystukiwać na maszynie. Zaskoczony niespodziewaną ciszą Muszka przyglądał mu się przez krótką chwilę, po czym na jego twarz powrócił ten sam uśmiezek.

- Powiedzmy, że to wyrzuty sumienia, panie sędzio.

W rękę Le Goffa trzasnęła sucho zapalniczka. Maszyna znowu zaczęła monotonnie klekotać, a sędzia westchnął:

- Dlaczego nie chcecie nam pomóc? Wiecie, że wasza sprawa wygląda beznadziejnie. Pomoc z waszej strony mogłaby złagodzić werdykt przysięgłych. Prawda, panie komisarzu?

Komisarz przyglądał się trzymanemu w palcach papierosowi. Nie chciał się poniżyć do takiego kłamstwa. Zresztą wiedział z góry, że bandyta nie da się złapać w tak dziecinną pułapkę. Potwierdzenie przyszło natychmiast.

- Do kogo ta mowa, panie sędzio? - wtrącił morderca. - Wszyscy wiemy, że jestem spalony. We Francji, jak ktoś załatwi glinę, nigdy się nie wymiga. Nie ma okoliczności łagodzących, kiedy chodzi o śmierć gliniarza. Nigdy. - I dodał żartobliwie: - Dzięki temu będzie pan zmuszony zerwać się o świcie któregoś z najbliższych dni, żeby zobaczyć, jak mi obcinają głowę. - Skłoniwszy się lekko w bok, dorzucił: - Pan również, panie komisarzu.

W oczach sławnego komisarza pojawił się biysk, ale głos jego tym razem pozostał spokojny, bez śladu złości.

- Przyjdę. Będę reprezentować Larméno, Vrillarda, ich żony i dzieci. Przyjdę, Sartet.

Oczy obu mężczyzn spotkały się. Sędzia przyglądał im się przez chwilę, po czym wyciągnął rękę w stronę protokolanta, który wykręcił z maszyny kartkę i podał mu ją.

- Wasze zeznania, Sartet. Poproszę o podpisanie.

Protokolant wetknął bandycie pióro do ręki, a sędzia podsunął mu kartkę. Muszka podpisał, nie zadając sobie nawet trudu przeczytania, po czym sędzia skinął na strażników, którzy stali oparci plecami o drzwi.

- Odprowadźcie go.

Stalowe kajdanki zaślśniły w świetle lampy i dopiero w tym momencie Muszka zdał sobie sprawę, że pali się światło. Przecież tego popołudnia, mimo deszczu, na dworze było jeszcze jasno. Ale to prawda, że gabinet był mroczny. Bandyta pozwolił poprowadzić się w kierunku drzwi. Kiedy strażnik już je otwierał, dobiegł głos sędziego:

- Masz jeszcze czas odwołać swoje domniemane zeznania, Sartet. Weźmiemy to pod uwagę.

Ten, którego prasa nazywała Grubym Piętaszkiem, odwrócił się.

- Do widzenia, panie sędzio. Do widzenia, komisarzu.

Ruchem łokcia upewnił się, że ukryty przedmiot nie wystaje z kieszeni, i skłonił się lekko.

- Niestety, to ja miałem w rękę rozpylacz w czasie tego napadu. Nikt inny.

Ruszył ku drzwiom, pociągnięty za kajdanki przez strażnika.

- Chwileczkę, Sartet.

Gangster poczuł, że w jednej chwili zaschło mu w gardle. Odwrócił głowę w stronę Le Goffa, posłuszny jego rozkazowi. Szef Brygady do walki z gangami przyglądał mu się w zamyśleniu. Muszce wydało się nagle, że doświadczone oko zatrzymało się przez moment na kieszeni jego prochowca. Struga lodowatego potu spływała mu po plecach, ale na jego ustach trwał zastygły nieprzyjemny uśmiezek. Rozgrywał w tym momencie swoją najcięższą partię. Partię swojego życia. Czyżby przekłety glina się domyślił? Czy jest coś niezwykłego w

wyglądzie tej choliernej kieszeni? Przełknął ślinę i udało mu się rzucić od niechcenia:

- Słucham, panie komisarzu?

Był przygotowany na najgorsze - na rewizję osobistą, na bezlitosną karę, jaką wymierzą mu po znalezieniu przy nim przedmiotu. Ale Le Goff wycedził tylko przez zęby:

- Prawda o Curvierze.

Muszka stłumił pomruk zadowolenia.

- Już powiedziałem, panie komisarzu. To naprawdę ja...

Le Goff przerwał mu ruchem ręki.

- Jak chcesz, Sartet. Ale i tak będę miał twojego kumpla, nawet gdybym musiał oddzielić jego sprawę od twojej. Niech ci się nie zdaje, że na tym koniec.

- Nic nie jest nigdy całkowicie skończone, panie komisarzu - Muszka nie mógł się powstrzymać od tej uwagi. - Do widzenia.

Drzwi zamknęły się za nim i jego aniołami stróżami.

- Poproszę pana jeszcze raz o zwłokę, panie sędzio - odezwał się komisarz. - Chcę oskarżyć Jo Kulasa o zamordowanie mojego inspektora. Jutro wrócę do Fresnes, żeby się z nim zobaczyć. Czuję, że jeżeli uda mi się przedstawić mu nowy fakt, wreszcie go przygwoźdź.

Jego rozmówca potrzęsnał kartką podpisaną przez Muszkę.

- Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji. Mam tu już protokół przyznania się do winy. A Curvier od roku się wypiera.

- Tak, ale wie pan równie dobrze jak ja, że te zeznania są fałszywe! - wykrzyknął Le Goff. - Niech mi pan da jeszcze trochę czasu. Bardzo pana proszę.

Sędzia z westchnieniem ustąpił.

- Zgoda, Le Goff. Ale niech pan już dłużej nie zwleka. Prokuratorowi bardzo zależy, żeby sprawa gangu odbyła się w czasie jesiennej sesji. Musimy uspokoić opinię publiczną.

Komisarz pocierał przez chwilę czoło długimi palcami, zażółconymi od tytoniu.

- Zrobimy tak, żeby wszyscy byli zadowoleni, panie sędzio.

Potem zdjął z wieszaka swój nieprzemakalny płaszcz, w którego fałdach perliły się jeszcze krople deszczu.

II

Ostatnia furgonetka więzienna do Fresnes-la-Jolie wjechała przez dwie opancerzone bramy. Dwóch strażników szybko je zamknęło i jeden z nich poszedł otworzyć celę, czekali tam areztanci, niektórzy już od wielu godzin. Drugi przez ten czas opuścił żelazne schodki suki przeznaczonej do Santoche¹. Przestępcy kolejno wysypywali się na brukowane podwórko i wdrapywali do ciężkiego, ciemnozielonego wozu, o który bębniły krople deszczu. W głównym korytarzu, mającym po każdej stronie drzwi dopięciu boksów, pizyjmował ich strażnik, który zdejmował im kajdanki i upychał po dwóch do jednego boksu.

Ciasne były te klatki! I gołe. Były w nich wprawdzie opuszczane ławeczki, na których można było przysiąść, aie przy dwóch lokatorach stawały się one nieużywalne. Musieli stać, jeden przyklejony do drugiego, z oczwma wbitymi w mały okratowany otwór wentylacyjny. Idealny kącik romantyczny dla pedała, marzącego o zafundowaniu sobie chłopczyka. Rudy strażnik stojący przy wozie liczył swoje owieczki. Dziesięć boksów po dwóch to dwudziestu przestępców. Nie trzeba na to studiować matematyki.

- Sartet.

Bandyta, który wchodził do wozu ostatni, wyciągnął do strażnika stojącego w korytarzu ręce w kajdankach.

- Tobie nie - powiedział strażnik.

- Ależ...

Strażnik wypluł kawałek zapalki.

- Taki jest rozkaz. Włóż.

Mówiąc to wskazywał boks, w którym znajdował się człowiek wyglądający na kloszarda. Złodziej kur albo okradacz skarbonek kościelnych, pomyślał Muszka, za którym zamknęły się drzwi. Stali teraz przyklejeni do siebie twarzą w twarz, a za plecami rozbrzmiewał głos strażnika:

- Możesz teraz wpuścić główniarzy, Rupois!

W ciemnych oczach mordercy pojawił się błysk. Ale fart!

1 Zdrobienie nazwy więzienia La Santé.

Lepiej nie można się było spodziewać. Bardzo często, gdy było ich zbyt wielu, upychało się czarne koszule w środkowym korytarzu. Co gorsza, te szczeniaki, mające wszystko gdzieś, robiły piekielny rejwach. Nabijali się ze strażników, drażnili ich, prowokowali do wymysłów i odpowiadali tym samym. Robiło się zamieszanie. Tego właśnie Muszka potrzebował: hałasu. Dużo hałasu. Jedno go tylko dziwiło. Zazwyczaj „yeye” byli odsyłani do Fresnes. Może ci przeznaczeni są na wyjazd albo na wolność?

Popychając przed sobą czterech młodych przestępców bez kajdanków, strażnik wdrapał się do środka. Zamknięto za nim drzwi z zewnątrz na klucz, a on sam usadowił się na składanym krzeselku koło wąskiego zakratowanego okienka, przez które mógł przyglądać się przechodniom.

Jego kolega w drugim końcu korytarza usadowił się podobnie, plecami do kierowcy, obserwując „yeye” stłoczonych w półmroku. Hołota, szkoda gadać! Gdy tylko karetka ruszyła z miejsca, nieletni zaczęli natychmiast jedną ze swych kretyńskich piosenek.

- Zamknąć się, do cholery! - ryknął strażnik.

Anonimowy głos stwierdził:

- Jesteś wulgarny, staruszkule!

Dozorca zrobił gest, jakby chciał wstać, szukając wzrokiem tego, który okazał się tak źle wychowany. Nie znalazł go oczywiście, usiadł więc z powrotem, ograniczając się do stwierdzenia z ubolewaniem:

- Co za młodzież! Za moich czasów...

- Byliście nieśmiali - przerwał mu ten sam bezczelny głos.

Urażony strażnik starał się nadać swojej dobrodusznej twarzy groźny wyraz. Kolega dał mu znak z daleka, żeby się nie odzywał.

- Dosyć, Rupois, wiesz dobrze, że oni wszyscy są kopnięci.

Dla uspokojenia strażnik wyjął gauloisa. Gdy szukał zapalniczki, jego palce natrafiły na stalowy łańcuszek. Rzucił okiem w kierunku boksu, w którym znajdował się Gruby Piętaszek. To nie żarty mieć pod opieką takiego obywatela. Na szczęście nie co dzień trafia się wróg publiczny. Wróg publiczny

numer jeden, jak ochrzcili Sarteta dziennikarze. On, Rupois, wolałby złodziei rogalików albo torebek z frytkami. Byli mniej niebezpieczni. Zapalił papierosa.

W ciasnej klatce Muszka usiłował uniknąć oddechu kloszarda. Czym się zaprawił ten dureń? Gówna się nażarł, ten świntuch, że tak cuchnie? Nie powstrzymywało to jednak Muszki od działania. Czas uciekał. Wyciągnął z ukrycia paczuszkę i pokazał kloszardowi.

- Rozpakuj mi to.

- Dobra, dobra... -wymruczał włóczęga, który nie mógł się połapać, o co chodzi. - A to co...

Przerażony dokończył rozpakowywania. Zdjął gumkę, otworzył tekturową pokrywkę i znalazł w środku rodzaj płaskiego stalowego piórnika z napisem *Made in Japan*. W rogu pudełka znajdował się zwinięty papierek. Muszka rozwinął go i wyjął małego kluczyk. Ten Aldo ma łeb! Podał kluczyk kloszardowi, wskazując na swoje dłonie.

- Zdejmij mi to.

Ofiara wreszcie zareagowała. Co za niefart! Nie ma nadziei na spokój z takim bandziorem. Czemu zamknęli ich razem? To prywatny interes tamtego. A on chce mieć święty spokój. Za kradzież butelek dostanie najwyżej sześć miechów. Za to... gdyby pomógł temu, niech go... Ruchem głowy i ręki dał znak, że nie ma zamiaru pakować się w ten pasztet.

- Przecież sam też na tym skorzystasz! - zachęcił go Muszka.
- Będziesz mógł się zmyć razem ze mną!

Ogarnięty paniką, bliski płaczu kloszard najwyraźniej odmawiał. Skutymi pięściami Muszka spokojnie wyrzwał go w żołądek.

- Jazda - mruknął. - Szybko.

Włóczęga pokręcił przecząco łysą głową. Powtórzył ten gest kilkakrotnie. Przerażenie wyciskało mu łzy z pijackich oczek. Wykręcił szyję w kierunku małych żelaznych drzwiczek, uniósł ramię, jak gdyby chciał w nie uderzyć, i otworzył usta do krzyku. Tego robić nie należało. Muszka zarzucił mu skute rękę na szyję i zacisnął kleszcza. Z dziką pasją.

- Au... - jęknął złodziej kur, a jednocześnie za drzwiami

„yeye” ryczei swoją piosenkę.

Muszka wzmocnił uścisk i aby dodać sobie sił, oparł się prawym kolanem o nerki włóczęgi. Rozległ się zduszony charkot. Muszka zaciskał z całych sił, nie zwracając uwagi na brudne paznokcie, drapiące mu wierzch dłoni. Chciał z nim skończyć. Szybko. Stał kajdanków wpiła się bezlitośnie nad wystającą grdyką głodomora. Paznokcie w żalobnych obwódkach drapały coraz słabiej, aż znieruchomiły zupełnie. Jeszcze jedno rżenie, już ostatnie, odbiło się od ścian żelaznej klatki. Upewniwszy się, że jego ofiara nie żyje, Muszka rozluźnił uścisk, czując, jak martwe ciało kloszarda osuwa się na ziemię. Podniósł pospiesznie kluczyk, który upadł w czasie walki, jakoś poradził sobie sam z otworzeniem kajdanek i nie zwlekając przeczytał treść kartki: „Żeby przebić, nacisnąć guzik czerwony. Żeby przepiłować, guzik żółty. Funkcjonuje samo. Po podniesieniu rączek, wmontowanych u góry, będziesz miał dwa uchwyty”. Było to zwięzłe, ale jasne. Muszka zabrał się do roboty. Odsunął ciało, unieruchomił je, przyciskając plecami do ściany, uklęknął na podłodze i nacisnął czerwony guzik. Z dna maszyny wyskoczyło wiertło. Ach, te Japoń- ce! Nikt ich nie przeskoczy. Muszka zaczął wiercić. Początkowo trochę nieufnie. Ale mechanizm działał cicho, wydając jedynie niemal niedosłyszalny, cichy pomruk. I tak zresztą warkot przejeżdżających obok jeden za drugim samochodów i śpiew „yeye” głużyły wszelkie dźwięki. Skupiony, świadomy, że gra o swój los, Muszka kontynuował dzieło, cały czas myśląc o René Lasce², który posłużył mu za wzór przy organizowaniu tej ucieczki.

Zrobił kilka dziur w niewielkiej odległości jedna od drugiej i schowawszy wiertło nacisnął żółty guzik. Z aparatu wyskoczyła, jak język żmii, cienka mocna piłka. Ale cwaniaki z tych żółtków! Muszka zabrał się z miejsca do cięższej roboty. Cięcie

2 René G., zwany René Laska, znany gangster, któremu udało się zbiec z karetki więziennej dzięki przepiłowaniu w niej podłogi. Ujęty ponownie przez komisarza Chennevier, ówczesnego dowódcę Brygady do walki z bandytyzmem przy Komendzie Głównej Służby Bezpieczeństwa, skazany, obecnie zwolniony po odbyciu kary.

grubej podłogi szło mu stosunkowo łatwo, tylko od czasu do czasu zatrzymywał się, nasłuchując w kierunku korytarza, skąd mogło nadejść niebezpieczeństwo. Ale dochodziły stamtąd jedynie ryki „yeye”. Odepchnąwszy brutalnie trupa biodrem, żeby mieć więcej miejsca, wykroił połowę podłogi, jak gdyby kroił tort. Następnie, używając najcieńszej części kajdanków jako lewarka, podważył wycięty kwadrat najpierw ostrożnie, a gdy usłyszał w pobliżu wybuch zapalnego motoru, szarpnął na całego. Rozległ się suchy trzask i klęczał teraz nad ziejącą dziurą, przez którą od tonącego w lepkim błocie bruku buchał piekielny smród benzyny. Nie chcąc, żeby wycięty kawał podłogi wypadł na jezdnię, wcisnął go pod trupa i czekał, z oczyma wlepionymi w wizjer na drzwiach. Przez otwór wiodący na wolność słychać było gniewny pomruk miasta, przekleństwa kierowców, całą śmiertelną wściekłość paryżan unieruchomionych za kółkami. Przy każdym postoju na czerwonych światłach wypatrywał w napięciu, gotowy do skoku, nie mogąc rozróżnić, czy jest to ulica Cassini, czy nie. Żeby tylko kobieta z pieskiem nie nawaliła! Oby... Bo jeżeli się nie zjawi, on może z powrotem wylądować w Sante. Próbując zorientować się, gdzie się znajduje, wychylił się przez dziurę i o mało co nie zawadził nosem o koło transmisyjne. Rozejrzał się dookoła, ale nie widział nic, poza rozpryskującymi wodę kołami i nogami przechodniów drepczącymi w błocie. Podniósł się pospiesznie, z ustami pełnymi smaku spalin i oleju. Podjął już decyzję. Czy będzie ta kobieta z psem, czy nie - zaryzykuje. W którymś momencie wyskoczy. Nie może po raz drugi dać się ugotować. Wóz albo przewóz. Tylko gdzie wyskoczyć? I kiedy? Będzie musiał zdać się na swój węch.

- Jak tam u was w środku, w porządku?

Pięści glin, ciężkie, bezczelne, waliły w drzwi z pewnością siebie przedstawicieli prawa. Muszka zerwał się i stanął błyskawicznie przed wizjerem zasłaniając swym potężnym ciałem widok na wnętrze boksu.

- Co tam majstrujecie? Bilard kieszonkowy? - odezwał się ponownie ten sam głos.

- Gówno! - odwarknął Muszka, wiedząc dobrze, czego

tamten oczekuje.

Na korytarzu rozległ się ryk śmiechu i zasłona wizjera opadła z powrotem. Rękawem nieprzemakalnego płaszcza morderca otarł z czoła krople potu. Wstrząs, jaki nastąpił w chwilę później, zwałił go na kolana tuż nad dziurą, przy akompaniamencie przeraźliwego pisku opon i hamulców. Czyżby to był... Falszywy alarm? Więc co właściwie? Z karetki słychać było wściekłe wrzaski kierowcy.

- Nie możesz uważać, krowo, gdzie się pchasz? Nauczyłabyś się jeździć!

Muszka pochylił się szybko, wysadzając głowę przez dziurę. Do jego uszu dobiegł stłumiony głos kobiety:

- Panie Sartet.

Zobaczył teraz pomiędzy butami z białej skóry i dołem również białego ceratowego płaszcza, dwie wspaniałe nogi, obok których stał czarno-biały fox o bystrych ślepiach. Zsunął się przez dziurę na jezdnię, a w dwie sekundy później stał pod boczną ścianą karetki, trzymając psa na smyczy, którą podała mu kobieta. Ujął ją pod rękę i oddalili się pospiesznie, odprowadzeni zdumionym spojrzeniem jakiejś pary, nie rozumiejącej, skąd się tu nagle wziął facet z pomazaną smarem twarzą.

- Jestem żoną Aida - oświadczyła dziewczyna. - Czeka na nas po prawej stronie.

Nie spojrzała nawet w kierunku swojej bratowej Teresy, odjeżdżającej właśnie Peugeotem 404, wśród złorzeczeń kierowcy karetki więziennej, którą zmusiła do zatrzymania się.

- Cholerne baby - wyrzekął kierowca. - Siedziałyby lepiej w domu i robiły na drutach!

Siedzący koło niego strażnik, który instynktownie wyjął z kabury pistolet, wzruszył ramionami.

- Nic się przecież nie stało. Ruszaj.

W tej samej chwili zauważył parę z psem, skręcającą w ulicę Saint-Jacques. Odprowadził ich odruchowo wzrokiem i nagle aż podskoczył.

- Co za idiota ze mnie! - wykrzyknął. - Przez chwilę zdawało mi się, że ten typ, co tam poszedł, to Muszka. Tak jakby...

Teraz z kolei odwrzasnął kierowca Prefektury, spoglądając za znikającą parą:

- Powinieneś się leczyć na oczy, stary! Coś ci się w nich troi!

I roześmiał się hałaśliwie, podczas gdy jego konwojent uspokajał siedzących z tyłu, krzycząc do nich przez tylną ściankę szoferki:

- W porządku, chłopaki! To tylko niedzielny kierowca w spódnicy!

Uspokojony, nadgryzał kawałek prymki i pograżył się w przeżuwananiu, jak krowa na pastwisku.

W stanie maksymalnego napięcia Aldo czekał za kierownicą czarnej DS-y. Ruszył natychmiast, gdy tylko jego żona, Muszka i pies znaleźli się na tylnym siedzeniu. Kiedy się trochę oddalili, odezwał się, patrząc na Muszkę w lusterku:

- W porządku, Roger?

- I jak jeszcze! - odpowiedział morderca. - Moje gratulacje!

Wziął papierosa, którym poczęstowała go Jeanne, żona człowieka, z którym kiedyś pracował, i dodał:

- Masz jakąś melinę?

- Bądź spokojny - zapewnił go Sycylińczyk, przemykając się między dwoma autobusami. - Jeanne! Okulary.

Ładna blondynka otworzyła torebkę i podała mordercy ciemne okulary, które założył z ulgą. Jego twarz znana była aż za dobrze!

- Już prawie w to nie wierzyłem - stwierdził. - Trzy miesiące minęły, jak kazałem mojej córce, żeby się z tobą skontaktowała.

- Cholernie ciężko było to zmontować - przyznał Aldo. - I musieliśmy dostać zgodę ojca.

Muszka z rozkoszą rozprostował nogi, gładząc mokry łeb foksteriera.

- Za sto tysięcy milionów mogłem poszukać gdzie indziej. Ale nie do wszystkich mam zaufanie. Do ciebie tak.

Aldo podziękował za komplement lekkim skinieniem czarnej głowy.

- A jak się spisał Sergio?

- Na medal - stwierdził Muszka. - Kto to był ten duży

blondyn z nim razem?

- Ludwik Bardan, mój szwagier.

- Aha.

Muszka wiedział, że rodzina Manalese jest liczna, że pracują wyłącznie we własnym gronie, ale nie wiedział o istnieniu tego szwagra. Dodał więc:

- On też był bez pudła. Trzeba mieć nie lada zadęcie, żeby przyjść do Pałacu w tym przebraniu. Można tam wdepnąć jak nic!

- To-był jedyny sposób, żeby ci dostarczyć narzędzia - stwierdził Sycylijczyk, wyprzedzając autokar z niemieckimi turystami. - Dobrze działały? Nie miałeś problemów?

- Z nimi nie.

Muszka zaciągnął się dymem, zerkając w kierunku przystojnej blondynki, której włosy okrywał biały ceratowy płaszcz, i wyznał:

- Musiałem, niestety, załatwić jednego typu. Kloszarda.

Kobieta obrzuciła go szybkim spojrzeniem, w którym nie było jednak lęku, a jedynie rodzaj niezdrowej ciekawości i podniecenia.

- Wkurwiło mnie to - mówił dalej Muszka - ale nie miałem wyjścia. Byłby narobił wrzasku.

- Rozumiem... - powiedział Aldo niepewnie.

Muszka przyglądał się ulicy, na której zaczynały się zapalać światła.

- Od kiedy załatwiłem tych gliniarzy, straszą mną dzieci. Ale mokra robota to żadna frajda. Chyba, że ktoś ją lubi. Mnie ona nie bawi.

Rozparł się na siedzeniu i zagłębił w myślach. Wyrwało go z nich nagle zatrzymanie się samochodu na czerwonym świetle. Odruchowo poglądził łeb psa.

- Czy będę mógł dziś wieczorem zobaczyć się z córką?

- To będzie zależało od ojca - odparł Aldo. - Ale myślę, że będziesz musiał poczekać. Na razie lepiej, żebyś siedział w melinie.

Muszka spojrział na niego ze zdumieniem. W głosie Sycylijczyka, gdy mówił o swoim ojcu, brzmiał rodzaj pełnego

szacunku posłuszeństwa. A przecie Aldo jna już lekko licząc trzydzieści pięć wiosen! Dziwne obyczaje mają ci makaroniarze! Co ma w końcu ten stary do jego ucieczki? Nie do niego przecież Muszka się zwracał. I zresztą w ogóle go nie zna. Tak jak i tej kobiety, siedzącej teraz koło niego. Ani szwagra. W rzeczywistości poza Sergiem i Aldem nie znał żadnego Manalese. Ale może żaden z nich nie robił nic bez pozostałych? Udział Aida w tamtym napadzie był tylko przypadkowy. Później już nigdy Muszka nie miał okazji z nim współpracować.

- Czy to był pomysł z tym psem? - zapytał.

Jeanne uśmiechnęła się do niego spod lśniącej czupryny.

- Mój - odpowiedziała. - Przyszło mi do głowy, że mniej będę zwracać uwagę z psem, gdybym musiała długo czekać. Nie mówiąc o tym, że twoi strażnicy byliby zdeorientowani widząc cię z psem na smyczy. Zanim by się połapali, bylibyśmy już daleko.

- Dobrze wykombinowane - pochwalił Muszka. - Brawo dla twojej żony, Aldo.

Lekki uśmiech przemknął po twarzy Sycylijczyka.

-- Nasze kobiety robią postępy.

Uśmiech stał się wyraźniejszy, ale oczy pozostały czujne.

- Mam na myśli Francję. Bo w starym kraju... Na Sycylii...

Korek zmusił go do zrównania się z policyjną karetką pogotowia. Muszka cofnął się gwałtownie w głąb samochodu. Dopiero gdy ponownie ruszyli, Aldo mówił dalej:

- Ojcu cholernie ciężko przyszło pogodzić się z tą ewolucją. Ale w końcu jakoś się przyzwyczaił. Inna sprawa, że jego amerykańscy przyjaciele dawali mu dobry przykład.

Skreślił gwałtownie, wymijając rozwoziciela gazet, pedałużącego zapamiętałe na rowerze, i stwierdził:

- A twoją sukę na ulicy Cassini przyblokowała Teresa, moja siostra.

- Naprawdę? - w głosie Muszki słychać było podziw. - Nie ma co, to też był pomysł na medal. W tej robocie gliny nie nauczyły się jeszcze, że trzeba mieć oko na dziewczyny. Brawo, chłopie.

- Nie mnie się należą te pochwały - stwierdził Aldo. - To

ojciec. On wszystko skombinował.

- Widzę właśnie - zgodził się Muszka, machinalnie zerkając w kierunku okrągłych kolan swojej sąsiadki, obciągniętych jedwabnymi pończochami.

Z rozkoszą chłonał delikatny zapach jej perfum. Niepokoila go. Ale czyż nie niepokoila by go każda inna kobieta? Z wyjątkiem swojej córki, Martine, w ogóle nie widywał kobiet, nawet żony, z którą przy pomocy forsy chciał się rozwieść. Po co ma zachowywać nazwisko faceta, którego prędzej czy później skrócą o głowę? Odwrócił wzrok od ciepłych i ponętnych kształtów, których domyślał się pod białym nieprzemakalnym płaszczem i zaczął przyglądać się nogom mijanych kobiet, polujących na nieliczne taksówki.

III

Kościół na ulicy Championnet tonął w ciszy i mroku. Kilka zapalonych świec tworzyło blade, drżące od przeciągów plamki światła. Zamknięci w konfesjonalach księża spowiadali swoje owieczki. Kilka osób modliło się, klęcząc lub siedząc w wyplatanych krzesłach. Maria i Salvatore Manalese jednocześnie zakończyli „Ojcze nasz” i jednocześnie zrobili znak krzyża. Ruchy ich były zsynchronizowane od tak dawna, od jak dawna mieli w zwyczaju wspólną modlitwę. Wstali razem z klęczek - ona pokornie za nim - i ruszyli w kierunku głównej nawy, gdzie przyklękli przed głównym ołtarzem, który złocił się w oddali, jak gdyby przywołując do siebie wiernych, by serca ich napełnić spokojem i nadzieją, a oczyścić je z gniewu i nienawiści. Doszedłszy na próg Salvatore włożył swój staroświecki perłowszary kapelusz, a potężną, porośniętą sztywnym' siwym włosem szyję owinął szalikiem. U jego boku uległa i posłuszna, taka, jaką niegdyś wychowano na pięknej i dzikiej wyspie, Maria podniosła kołnierz swego czarnego sukiennego płaszcza i otworzyła nad głową parasol.

- Nie zdązysz przecież zmoknąć, kobieto - powiedział jej mąż. - Wóz stoi niedaleko.

Mówił dialektem sycylijskim, którego używali rozmawiając

między sobą. Przemknęli pod murem, chroniąc się przed ulewą i znaleźli się przy Buicku Salvatore. Jak zwykle, kiedy miała do niego wsiąść, Maria odruchowo cofnęła się. Nie mogła się przyzwyczaić do tych samochodów. Ciągle jeszcze tęskniła za wózkiem zaprzężonym w muły, przystrojonym różnokolorowymi pomponikami. Na jednym z takich wózków spotkała po raz pierwszy swojego Salvatore. Było to na stoku góry, smutnej i skalistej, wznoszącej się ponad Taorminą. Widać z niej było Etnę. Zanim ruszyli, Salvatore zapalił cygaro, jakie palą w jego kraju, czarne, suche i twarde, wydzielające cierpki dym, nieznośny dla kobiecych płuc. Ale Salvatore miał płuca jak miechy. Był twardy jak skała. Pod tym względem tylko lędwie czasem zawodziły, cała reszta była jeszcze krzepka. Jak na sześćdziesiąt pięć lat całkiem niezłe. W chwilę później zatrzymali się na ulicy Ordener w pobliżu merostwa XVIII dzielnicy, przed swoim sklepem, którego okazała witryna była rześcicie oświetlona. Wchodzącą parę powitał od progu znajomy zapach. Jak we wszystkich włoskich sklepach spożywczych pełno tam było najróżniejszych smakołyków, zachęcających do wydania forsy. Klientów nie brakło. Pełen ich był cały ogromny sklep. Sprzedawcy i sprzedawczynie, oczywiście Włosi, kręcili się jak w ukropie pod wysokim kierownictwem Rosy, siostry Salvatore, starając się obsłużyć wszystkich obzartuchów, uwolnionych do następnego dnia z trybów pracy. Rosa, czujna i surowa, utorowała sobie drogę, by wyjść na spotkanie brata.

- Czekają na ciebie - szepnęła.

Skinął głową, uściśnął mimochodem kilka rąk, rzucił parę słów po włosku w kierunku klientów, którym dźwięk ojczystej mowy sprawiał przyjemność, i zniknął za zasłoną z długich, różnokolorowych sznurków z plastyku. Znalazł się teraz na sali, gdzie przy barze kilku wtajemniczonych popijało Cinzano lub Campari. Znowu nastąpiły uściski rąk, po czym zniknął w drzwiach w głębi wraz z Marią, podążającą za nim cały czas krok w krok. Pokój, do którego wszedł, był pusty. Służył on jako jadalnia dla personelu i przylegał do kuchni, w której urzędowała Maria. Mężczyzna skierował się w stronę

następnych drzwi, podczas gdy jego żona przebierała się, by zająć swoje miejsce przy garnkach. Popchnął drzwi i wszedł do sali zarezerwowanej dla jego klanu. Była obszerna, ozdobiona boazerią z ciemnego drzewa i pachniała smakowitym pieczystym, przyprawami, oliwkami z Sorrento, ciastem domowej roboty, oliwą i ostrymi serami. Gdy Salvatore ukazał się w drzwiach, siedzący przy stole nad kieliszkami z aperitifem powstali. Był tam Sergio i Ludwik Bardan, zięć i fałszywy strażnik, zwany również Berliń- czykiem z racji miejsca urodzenia, Teresa, jego żona, Aldo i Jeanne, i wreszcie Muszka, który również wstał.

Stary Sycylijczyk zamknął za sobą drzwi i opierając się o nie obrzucił bandytę spojrzeniem, które wiele widziało.

- Cieszę się, że cię widzę - rzekł w końcu.

Zdjął kapelusz, płaszcz i szalik, którymi pospiesznie zajęły się kobiety, i usiadł na swoim miejscu u szczytu stołu, obejmując wszystkich przenikliwym wzrokiem. Końcem ohydneho cygara wskazał butelkę Martini, królującą na podręcznym stoliku. Jeanne zerwała się pospiesznie, żeby mu nalać. Poczekał, aż skończyła, a potem zwrócił się w stronę Sergia.

- Książkę - powiedział.

Młodszy syn otworzył szufladę i wyjął z niej gruby oprawny album, który podał staremu. Salvatore poklepał bogatą okładkę.

- Kto podsunął ci myśl, żeby zwrócić się do Aida o pomoc w ucieczce?

Muszka odstawił kieliszek.

- Ludzie, na których mogłem liczyć, nie żyją albo siedzą. Więc przypomniałem sobie Aida, z którym kiedyś robiliśmy razem skok. Byłem go pewny.

Wskazał palcem w kierunku albumu.

- Nie mogłem powiedzieć mojej córce, żeby powierzyła te znaczki, warte majątek, pierwszemu lepszemu oszustowi. Musiał to być ktoś zaufany. A do Aida mam zaufanie.

Stary skinieniem głowy podziękował za komplement pod adresem syna. Muszka mówił dalej:

- Nie wiedziałem, jak się z nim skontaktować, bo podobnie jak ja nie obraca się w środowisku.

- Nikt z nas w nim się nie obraca - przerwał mu sucho stary, po czym pociągnął łyk wermutu.

Tym razem morderca skłonił lekko głowę.

- Wiem o tym. Ale na szczęście przypomniałem sobie bar, w którym kiedyś Aldo i ja umawialiśmy się na podryw. Powiedziałem córce, żeby się tam pokręciła i spróbowała z nim pomówić. Ona go znała, bo kilka razy wpadał „Pod Kaczora”, żeby coś zjeść...

- Tak właśnie zrobiła - wtrącił Aldo, który nadal stał, podobnie jak wszyscy.

Stary nie dał im znaku, żeby usiedli. Tylko Muszka... Ale on nie wiedział.

- I zaproponowała mi w twoim imieniu zbiór znaczków albo sto dziesięć milionów, o ile pomogę ci się urwać - dodał Aldo.

Morderca ponownie wyciągnął palec w kierunku albumu, leżącego przed starym.

- To właśnie te - powiedział.

- Kazałem zrobić ekspertyzę - powiedział Salvatore. - Warte są dokładnie sto piętnaście milionów.

- Należą do was - westchnął z żalem Muszka.

- Dlatego właśnie tu jesteś - zauważył stary, w którego krawacie połyskiwała perła rzadkiej piękności. - Bez tej gwarancji nie wydałbym rozkazu, żeby się tobą zajęto.

Spojrzenie Muszki obiegło zebranych i zatrzymało się na starym.

- Korzystając z tej okazji chciałbym ci podziękować. Gdyby nie ty...

Urwał w połowie zdania. Jak na komendę wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę z wyraźną dezaprobatą. Morderca zmarszczył brwi i błyskawicznie pojął, o co chodzi. Poprawił się:

- Bardzo wam dziękuję.

Tym razem „wy” odnosiło się nie do wszystkich, ale wyłącznie do starego. I to się wyczuwało. Dezaprobata znikła ze spojrzeń. Stary znowu zabębnił palcami po książce.

- Ta gwarancja nie byłaby wystarczająca, gdyby twoja córka знаła nasz adres. Ale jakiś tam Aldo i jakiś bar „Temes” to nic nie znaczy... Nawet gdyby gliny się do niej przyczepiły, nie może ich tu przyprowadzić.

- Gdyby Martine wiedziała, gdzie jestem, nic by nie powiedziała! - stwierdził Muszka, urażony.

Salvatore uspokoił go ruchem ręki, na której połyskiwał złoty sygnet.

- Jest młoda i może popełnić nieostrożność. Kobiety często robią głupstwa.

Jeanne i Teresa odwróciły głowy, Sergio zrobił minę pod ich adresem, a stary mówił dalej:

- Dwa miesiące temu, również przez twoją córkę, przekazałeś dla Aida wiadomość, żeby nie sprzedawać twojego zbioru, bo gdy znajdziesz się na wolności, będziesz mógł go od nas wykupić. Wyjaśnij to.

- Zgadza się - potwierdził morderca. - Ponieważ w tym czasie zaszły nowe okoliczności.

- Można wiedzieć jakie?

Muszka rzucił nieufne spojrzenie w kierunku dziewcząt.

- Są przyzwyczajone wszystkiego słuchać - uspokoił go stary. - I jeśli trzeba, pomagają. Chyba zauważyłeś. Ale rozumiem cię.

Skinął głową. Teresa i Jeanne wyszły, a Muszka mówił dalej:

- No więc w Santé poznałem jednego faceta. Pracownika od jubilera, który robił dla Cartiera. Nadał mi, że na początku czerwca będzie w Nowym Jorku międzynarodowa wystawa biżuterii. I że Cartier, Arpels, Boucheron, Clefs i jeszcze inni, w sumie dziesięciu, wezmą w niej udział.

- I co z tego?

- To, co tam przywiezą, warte jest około czterdziestu miliardów - rzucił od niechcienia Muszka.

Oszłamiająca cyfra upadła na środek stołu z głośnym plaśnięciem. Zapanowała cisza. Zakłócił ją jedynie trzask zapalniczki Ludwika Bardana. Stary wziął do ręki kieliszek i znowu jego sygnet błysnął w świetle lampy, zawieszanej pod

sufitem. Wypił, odstawił kieliszek i zapytał, wśród ogólnego napięcia:

- Jak to sobie wyobrażasz? I co się stało z tym facetem?

Muszka pogrzebał w leżącej przed nim paczce gitanów, wyjął papierosa i odruchowo rozwałkował go w palcach.

- Ten człowiek nie żyje.

Sergio, który nie nabrał jeszcze dostatecznej odporności, zadrżał. Morderca uśmiechnął się krzywo pod jego adresem.

- To był atak serca. - Po czym zwrócił się znowu do starego:

- Dyrektorzy tych firm jubilerskich odlatują PANAM-em 6 czerwca o jedenastej.

Okropne cygaro starego przeniosło się na popielniczkę.

- Kto ich konwojuje?

- Samochód pancerny zabiera ich po kolei, a eskortuje ich grupa gliniarzy. Zresztą pisano już o tym w gazetach.

I jeszcze będą pisać.

Cygaro starego powróciło na swoje miejsce pomiędzy wąskimi wargami.

- Wobec tego to się nie da zrobić.

- Dlaczego? - zdziwił się Muszka. - Robiłem trudniejsze rzeczy. - Spojrzenie szarych oczu starego spotkało się z jego wzrokiem.

- Eskorta pancerna?

- Niezupełnie - westchnął Muszka. - Ale prawie...

- Za duże ryzyko i za wielu ludzi potrzebowalibyśmy - uciął Salvatore. - Na wszelki wypadek pracujemy wyłącznie we własnym gronie.

- Tato, to czterdzieści miliardów! - wtrącił Aldo.

Ojciec obrzucił go ciężkim spojrzeniem i palcem dał

wszystkim znak, że mogą usiąść. Klan zaczął się sadowić, szurając krzesłami i ręce wyciągnęły się w kierunku Martini. Muszka obserwował ich z zastanowieniem. Musi ich jakoś przekonać. Potrzebował ich, żeby podreperować swoją sytuację. Człowiek, który zwał, musi mieć dużo pieniędzy, żeby utrzymać się na powierzchni. Wszyscy kapusie będą się teraz za nim uganiać, żeby go z powrotem zapudlić. Bandzior na starość zamiast, żeby się robił coraz lepszy, jak koniak „Otard”, psuje

się. Jedynie duży łup może Muszce zapewnić bezpieczeństwo. A i to nie jest takie pewne. Tyle, że mógłby przynajmniej skoczyć do Ameryki Południowej albo do Azji. Tam każdy awanturnik, byle z ikrą, może żyć jak król. Zaczął więc kusząco:

- Czterdzieści miliardów to kupa forsy. Największy skok, jaki się kiedykolwiek zdarzył. Historia Rosbifów i ich pociągu pocztowego to w porównaniu z tym prowincjonalny żarcik.

- To prawda, tato! - entuzjasmował się Sergio. - Czterdzieści miliardów za jednym zamachem! Wyobrażasz sobie? Największy napad wszechczasów.

Stary Sycylijczyk zerknął w stronę swego beniaminka. Jednym zamarszczeniem brwi mógł zmusić go do milczenia. Ale ograniczył się do uwagi:

- Wszystko to bardzo piękne, ale nierealne. Jeżeli zaatakujemy ten samochód pancerny i jego eskortę, będą zabici. Nie mówiąc o tym, że, raz jeszcze powtarzam, za mało nas jest na taki skok. A o zwracaniu się o pomoc do francuskich kolegów po fachu nie ma mowy. To już nie są ci co dawniej.

Ostatnie słowa podkreślał, uderzając ręką w album ze znaczkami. Nagle jego potężna dłoń znieruchomiała w powietrzu.

- Chybaże... - powiedział, niespodziewanie zamyślony.

Cały klan wpatrywał się w niego w skupieniu.

- Chyba że co, tato? - wtrącił Aldo zachęcająco.

Stary nie odpowiedział. W zamyśleniu wskazał swój pusty kieliszek, który Sergio napełnił. JWyjął nowe cygaro z czarnej skórzaney papierośnicy, zapalił, wypuścił kłęb dymu, od którego wszyscy zaczęli kaszleć, i powtórzył:

- Chyba żeby...

Jego szare oczy pobiegły ku końcowi stołu, gdzie siedział Muszka.

- Przypuszczam, że eskorta opuści swoich jubilerów przy wejściu do samolotu?

- Tak - odpowiedział Muszka. - I taka sama eskorta będzie ich oczekiwać w Nowym Jorku.

Chmura cierpkiego dymu otoczyła energiczną twarz starego.

- Jest zatem pewien odcinek czasu, w ciągu którego te

czterdzieści miliardów będzie mniej pilnowane!

- W czasie lotu!

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Sergia, wyraźnie zadowolonego ze swojej bystrości. Stary potwierdził.

- Ano właśnie. W czasie lotu. I to mógłby być moment, kiedy należałoby...

Pomimo swojego niezwyklego opanowania, Muszka aż podskoczył.

- Chyba nie macie zamiaru wykonywać tego skoku w czasie lotu? I to w Boeingu! Tego jeszcze nie było!

- Czemu nie? - wtrącił Sergio. - W kinach idzie właśnie film „Cel - 500 milionów”, w którym facet robi napad na samolot pocztowy!

Ojciec zmarszczeniem brwi nakazał mu milczenie i powiedział:

- Nie miałem na myśli tego filmu. Nawet jeżeli jest dobry, zawsze to tylko film. Ale...

Opróżnił kieliszek i odstawił go na miejsce.

- Ale dwukrotnie już dokonano w przeszłości rabunku w czasie lotu. Oba razy nad Ameryką Południową. Raz nad Brazylią zrobili to moi przyjaciele. Drugi raz było to nad Meksykiem.

- To były Boeingi, tato? - zdziwił się Aldo.

- Nie - odpowiedział stary-DC 3.0 ile sobie przypominam, w pierwszym chodziło o przemyt diamentów. Sterroryzowali pilota i zmusili go do lądowania w...

Urwał nagle, jak gdyby uderzony obrazem, który stanął mu przed oczyma. Muszka stwierdził sucho:

- Nie widzę, w jaki sposób można by to wykonać. Nie zapominajmy, że w Nowym Jorku oczekiwać nas będzie cała armia glin!

- Nad tym się właśnie zastanawiam - odpowiedział Salvatore. - Nad lądowaniem. Ale myślę, że... - Potarł w zamyśleniu podbródek. - Myślę, że może tam, na miejscu, w Nowym Jorku moi znajomi mogliby... gdyby ich to interesowało...

Przyjrzał się powoli i uważnie wszystkim członkom klanu po

kolei.

- Czterdzieści miliardów... Ładna forsa.

Zwrócił się do Muszki:

- Mamy jeszcze co najmniej miesiąc na nakręcenie tej sprawy.

Uśmiechnął się, ale jego spojrzenie pozostało nieruchome i zamyślane.

- Może uda ci się odzyskać twoją kolekcję znaczków. Kto wie?

I jego wielka łapa o grubych palcach opadła ciężko na czerwoną okładkę albumu. Wstał, a wszyscy poszli natychmiast za jego przykładem, podszedł do drzwi, prowadzących do sąsiedniego pokoju i otworzył je.

- Dziadziuś!

Ciepły brązowy kłębuszek, ustrojony w malutki niebieski szlafroczek przyturlał mu się do stóp. Surowość znikła w jednej chwili z twarzy Sycylińczyka. Pochylił się, pochwycił w locie wnuczkę, którą zawdzięczał Teresie, i zaniósł do stołu, gdzie jej matka z pomocą Jeanne zaczęła ją karmić, przy akompaniamencie radosnego ujadania foksteriera Salami.

- Z dziadziusem! - oznajmiła Cecylia, odtrącając łyżkę z zupą.

Przysunął do siebie talerz z zupą jarzynową i wziął wnuczkę na kolana.

- Nie chcę dymu! - kaprysiła Cecylia. - Dym śmierdzi!

- Masz rację, *bambino mio*- odrzekł poważnie Salvatore Manalese.

Podał cygaro córce, która zgasiła je w popielniczce, a sam wziął się do karmienia zupą małego trzyletniego tyrana, jedynej istoty na świecie, która miała prawo mu się sprzeciwiać.

IV

- Mamo, czy przy nas wszystkich trwało to tak długo?

Franciszka Le Goff przerwała podziwianie fotografii swego młodszego syna w stroju piłkarza, zdołanej pierwszą stroną „France-Soir”. Siedziała jak zwykle wyprostowana, a jej ciemny

płaszcz odbijał od lakierowanego wnętrza kliniki. Siwe włosy gładko zaczesane do tyłu przykrywał kapelusz, z gatunku tych, jakich od dawna nie było już w sprzedaży. Robiła wrażenie czystości i doskonałej równowagi.

- Przy tobie nie — powiedziała, zdejmując okulary w drucianej oprawie. - Ale przy Żobiku owszem.

Wyciągnęła w jego kierunku rękę z gazetą, dodając z wyraźnym przebijającym w głosie dumą:

- Widziałeś, co o nim piszą w Londynie? Że będzie niebezpieczny w czasie pierwszego spotkania o puchar świata z Meksykiem.

Alan Le Goff, nerwowo spacerujący tam i na powrót po korytarzu, znieruchomiał na chwilę.

- To najlepszy środkowy obrońca, jakiego kiedykolwiek miała ekipa francuska, mamó - rzucił z tą samą co u niej dumą w głosie.

Podszedł znowu do zamkniętych drzwi i zapalając dziesiątego papierosa, westchnął zniecierpliwiony:

- Boże, jak to długo trwa! Nie sądzisz mamó, że...

Posłuchawszy chwilę pod tajemniczymi drzwiami wrócił znowu do matki. Franciszka Le Goff wyciągnęła do niego rękę w szarej rękawiczce.

- Usiądźże nareszcie! W głowie mi się kręci od wodzenia za tobą wzrokiem.

Przystanął na chwilę przed nią.

- Ależ mamó! Przecież to moje dziecko... To chyba...

Urwał i rzucił się na pielęgniarkę, wychodzącą z pomalowanego na biało pokoju.

- No i jak, proszę pani?

Kobieta pokiwała głową z wyrozumiałością.

- Jeszcze nic. Ale niech się pan nie niecierpliwi. Wszystko idzie dobrze.

- Czy będą konieczne kleszcze?

Gdy zadawał to pytanie, w głosie jego brzmiał lęk, gdyż jak wszyscy mężczyźni w całym wydarzeniu dostrzegał jedynie jego aspekt dramatyczny.

- Doktor nie przypuszcza, żeby do tego doszło - pocieszyła go

pielęgniarka, odsuwając go delikatnie na bok, gdyż zagroził jej drogę. Zrobiła parę kroków, po czym odwróciła się z uśmiechem: - W każdym razie niech się pan tym tak nie przejmuje. Wszystko idzie bardzo dobrze. Prawda, proszę pani? - zwróciła się do pani Le Goff, szukając jej poparcia.

Stara Bretonka wzruszyła ramionami.

- Mężczyźni niepokoją się o nas tylko tego dnia, kiedy rodzimy im dziecko. Poza tym nie zauważają niemal, że żyjemy.

Machnęła znowu gazetą w stronę swego starszego syna.

- Kiedy ty się urodziłeś, twój ojciec połknął jednym tchem cały „Orient-Express”. A następnego dnia tak się zapił, że zapomniał drogi do szpitala.

Roześmiała się, a pielęgniarka poszła za jej przykładem. Po czym dodała:

- Mężczyźni oczekujący dziecka chcieliby, żeby ziemia przestała się kręcić dla uczczenia tego ewenementu. Ale na szczęście ziemia ma co innego do roboty.

Przerwała, ponieważ wszyscy troje zwrócili się w kierunku drzwi wejściowych, w których ukazał się oficer policji Rondier, ociekający deszczem.

- Proszę mi wybaczyć, szefie - powiedział podchodząc do Le Goffa i salutując po drodze pośpiesznie obu paniom. Ale...

Odciągnął na bok dowódcę i dokończył szeptem:

- Wolałem przyjść sam niż telefonować. Muszka Majowa zwiął.

Le Goff aż podskoczył.

- Co? Sartet? Ależ ja go widziałem jeszcze dziś po południu!

- Urwał się z karetki, która wiozła go do Sante.

- Strzelał?

- Nie. Przez podłogę. Zadusił faceta, który był z nim skutu.

Twarz Le Goffa skamieniała. Jego bladoniebieskie oczy powędrowały od podwładnego w stronę matki.

- Są jakieś rozkazy?

- Komisarz Toupir zażądał natychmiast, żeby zatrzymani nie powracali do cel przed pana przybyciem. Ja wysłałem ludzi w okolice ulicy Cassini, gdzie karetka została na minutę zatrzymana wskutek wypadku.

- Co to było?
- Jakaś kobieta, prowadząca 404.
- Co jeszcze?
- Na razie wszystko poza tym, że ogłoszono alarm ogólny. Skoczyłem pana uprzedzić.

Wyraz twarzy Le Goffa świadczył wyraźnie, że był z tego zadowolony.

- Co pan teraz zrobi? - niepokoił się Rondier.

- Musimy przesłuchać natychmiast wszystkich - odpowiedział Le Goff. - Wszystko przetrząsnąć, przeszukać, postarać się zrozumieć. No, do roboty. Dziękuję, że przyszedłeś, Rondier.

Zrobił krok w kierunku swojej matki, przyglądającej mu się z uznaniem. Rondier przytrzymał go za rękaw.

- Czy nie sądzi pan, że byłoby lepiej, gdyby przyłączył się pan do nas trochę później, szefie? To znaczy, kiedy już...

Rondier z zażenowaniem wskazywał lakierowaną ścianę, za którą lada chwila miało się pojawić nowe życie. Le Goff zawahał się. Ale trwało to krótko. Jego wzrok spotkał się z pytającym spojrzeniem matki.

- Poważna sprawa, mamó - powiedział. - Paskudnie poważna. Nie sądzę, żebym... Wytłumaczysz Angeli...

Zdjął z wieszaka nieprzemakalny płaszcz, podszedł do tajemniczych drzwi, postął pod nimi chwilę nieruchomo, ze spuszczoną głową, jak winowajca, a potem nie chcąc się dłużej wahać podszedł do Rondiera i rzucił:

- W drogę!

Głos jego był suchy, nieprzyjemny, jakby chciał w ten sposób pokonać wszelkie wzruszenia. Franciszka Le Goff wstała i zwróciła się do syna:

- Czy nie sądzisz, że trochę przesadzasz? Nie wydaje ci się, że mógłbyś zaczekać? Od sześciu lat czekałeś na tę chwilę. A kiedy Bogu dzięki wreszcie nadeszła, ty odchodzisz. Ty...

Rondier, zażenowany, wycofał się o kilka kroków. Przeklinał siebie w duchu, że tu przyszedł. A z drugiej strony gotów był po raz drugi zrobić to samo. Zbyt dobrze znał Le Goffa, który nigdy by mu nie wybaczył, że oszczędzał go w takiej chwili jak

ta. Pielęgniarka również poczuła się nieswojo i gdzie się ulotniła, Le Goff wpatrzył się w niedopałek, który parzył mu palce.

- Bardzo mi przykro, mamó. Ale stała się rzecz straszna. Uciekł Roger Sartet. Przypominasz sobie, mamó, tę sprawę? Na pewno pamiętasz, kto porwał Żobika³.

- Nie chcę pamiętać o niczym, poza jedną rzeczą, Alanie Le Goff - przerwała jego matka. - A mianowicie o tym, że masz zostać ojcem i że będziesz z dala od swojej żony, gdy się to stanie. Co do reszty...

Wyciągnął w kierunku matki rękę, ale nie ośmielił się jej dotknąć. Przywykł ukrywać swoje uczucia.

- Przykro mi, mamó, ale...

Rzucił przelotne spojrzenie w kierunku pielęgniarki, która z naręczem ręczników wchodziła właśnie z powrotem na salę porodową. Na jego twarzy malowało się głębokie cierpienie. Zrobił krok w jej kierunku, jak gdyby chciał pójść za nią, ale zawrócił i wymijając matkę podszedł do Rondiera, u którego stóp woda deszczowa utworzyła kałużę.

V

Witryna ogromnego sklepu była już zamknięta, a personel od dawna rozszedł się do domu. Ruch był tu o tej porze już niewielki, wcześniej kładziono się spać. Zresztą padający bez przerwy deszcz nie zachęcał specjalnie do romantycznych przechadzek. W wielkiej izbie rodu Manalese Maria zakończyła właśnie z pomocą córek sprzątanie i wyszła, by odpoczęły jej nogi, którym dał się we znaki długi dzień. W koronie ciężkich brązowych włosów, ognistooka, dumna i zgrabna Teresa nakryła stół, przy którym siedzieli mężczyźni, i rozłożyła na nim karty do remika. Umieszczony we wnęce telewizor podawał właśnie informacje i kończył relację o ucieczce Muszki. Trzymając w ręku jedno ze swoich sękatych cygar, Salvatore przyglądał się wrogowi publicznemu.

3 Nawiązanie do wydarzeń opisanych w jednej z wcześniejszych książek autora pt. „Brigade Anti-Gangs” („Brygada do walki z gangami”).

- Będziesz musiał tu przesiedzieć siedem, osiem dni. A może i dłużej, bo gliny są na pewno rozwścieczone. Później przewieziemy cię do mojego majątku pod Rambouillet.

Począł, aż Jeanne naleje mu kieliszek rumu Saint-Gilles, i ciągnął dalej:

- Na razie będziesz spał w pokoju na górze i nie będziesz z niego wychodzić. Mój personel nie powinien dowiedzieć się, że tu jesteś. Kobiety będą ci przynosić jedzenie na górę.

Wziął karty i zaczął je tasować wprawną ręką, przywykłą w ciągu pełnego przygód życia do niezliczonych żetonów pokerowych.

- Zapaść wąsy - poradził. - I nie od rzeczy byłoby, gdybyś pomalował włosy.

- Myślę, że to dobry pomysł - zgodził się morderca. I dodał z troską w głosie: - A czy moja córka...

Salvatore, który kazał Jeanne ściszyć telewizor, zwrócił się znowu do niego:

- Lepiej, żebyś z tym trochę poczekał. Gliny muszą mieć twoich na oku. Zaraz byś złapał ogon. Przyprawimy ci ją później.

Zaczął rozdawać karty, ale zanim skończył, zadzwonił telefon.

- To na pewno Nowy Jork - powiedział Aldo, spoglądając na stary zegar ścienny, który chodził zawsze punktualnie co do sekundy. - Już prawie godzinę temu był zamówiony.

Wszyscy patrzyli teraz na Teresę, która podniosła słuchawkę. Słuchała przez chwilę, a potem rzuciła w kierunku mężczyzn:

- Nowy Jork. - Po włosku zaś dodała: - Z panem Frankiem Vittorio poproszę. Będzie mówić pan Salvatore. Z Paryża.

Skinęła ręką, przywołując ojca.

- Jest u siebie. Jego kamerdyner poszedł go poszukać.

Salvatore skinął głową i córka postawiła aparat koło

kieliszka z grappą. Sycylijszyk spojrział na mordercę, który układał trzymane w ręku karty.

- Rozumiesz po włosku?

- Po włosku i po angielsku. Sporo pływałem - odpowiedział Muszka.

- Jeżeli uda nam się nakręcić oprawę i pojedziemy tam, to bardzo nam ułatwi zadanie - zauważył stary Sycylińczyk obserwując córkę, która mówiła właśnie do aparatu:

- Pan Vittorio? Proszę się nie rozłączać, zaraz będzie rozmowa.

Podala słuchawkę ojcu, który wykrzyknął z radością w głosie:

- Halo, Frankie? *Come sta? Va bene?* Chciałbym się z tobą spotkać. I to szybko - mówił z błyskiem w ciemnoszarych oczach. Słuchał przez chwilę tego, co mówiono po drugiej stronie, po czym potwierdził z naciskiem: - Tak, bardzo ważne. Wiesz, że inaczej nie zawracałbym ci głowy. Tak, spotkamy się tam, gdzie zwykle. Może być pojutrze? O.K. Jak rodzina? Dzieci zdrowe? Co u żony? *Bene?* - Znowu słuchał, uśmiechnął się i rzucił: - Maria w porządku, dzieci również. Ale zawsze tęskni za starym krajem. Twoja też? Ach, te kobiety... No, ciao, Frankie! Do czwartku.

Odłożył słuchawkę, wyjął cygaro i zwrócił się do swego zięcia:

- Jutro zamówisz dwa miejsca do Montrealu, Ludwiku. Pojedziesz ze mną. Jeanne, przekabluj do tamtejszego Hiltonu i zamów nam dwa miejsca na czwartek.

Odczekał, aż synowa odstawi telefon na miejsce, i wyjaśnił pod adresem Muszki:

- Kiedy chcę się zobaczyć ze starym przyjacielem ze Stanów, spotykamy się zawsze w Montrealu. W ten sposób unikamy niedyskrecji. Ja nie pokazuję się w Nowym Jorku, a przyjaciel, o którym mowa, udając się za granicę, nie lata samolotem, dzięki czemu nie ściąga na siebie uwagi FBI. Do Kanady Frankie najczęściej jeździ samochodem. Jan- keskim glinom, które mogłyby mu deptać po piętach, nie wyda się podejrzanym, że jedzie gdzieś samochodem. A granicę Frankie przekracza na fałszywych papierach. Zawsze postępujemy w ten sposób.

- Jesteście wzorem ostrożności - powiedział z podziwem morderca.

- Dlatego jeszcze żyjemy - odrzekł stary Sycylińczyk, biorąc do ręki karty.

- Ten Frankie Vittorio to jeden z przywódców syndykatu? - zaryzykował Muszka.

Jego gospodarz udał, że nie dosłyszał pytania.

- Myślę, że uda mi się zainteresować go tą historią. Ale czy jesteś pewny, że to będzie rzeczywiście te zapowiedziane czterdzieści miliardów?

- Pewny nie jestem - przyznał morderca. - Ale będzie coś około tego, tak przynajmniej wynikało z gazet, które czytałem w pudle.

- O takiej mniej więcej sumie pisali - wtrącił Aldo. - Ja też to czytałem. Pisali wyraźnie, że będą tam najwięksi paryscy jubilerzy ze swymi najpiękniejszymi zbiorami klejnotów.

- I tak przy sprzedaży nie osiągnie się tej sumy - zauważył Ludwik. - Trzeba będzie zrobić makijaż tej całej biżuterii i przeszlifować kamienie przed sprzedażą. A na tym jak zawsze cholernie dużo się traci.

Jego teść skończył przeglądać trzymane w ręku karty i powiedział:

- Nawet wliczając w to stratę i tak zostanie kupa miliardów. Prawie trzydzieści. A jeszcze nigdy za mojego życia, nigdy nikt...

Odsonił złote zęby w marzycielskim uśmiechu.

- A przecież niemało forsy przeszło przez moje ręce. Ale coś takiego... doprawdy... Nigdy nie marzyłem nawet o takiej operacji.

Zauważył, że jego zięć pozbył się ósemki kier i dodał, zwracając się do mordercy:

- Ta sprawa, według mnie, da się załatwić jedynie przy pomocy Nowego Jorku. Bez tego nie mamy żadnych szans, a ty stracisz swój zbiór znaczków.

Muszka, który kątem oka obserwował Jeanne, siedzącą w fotelu z foksterierem na kolanach, uśmiechnął się.

- Jeżeli wasz przyjaciel Frankie jest takim człowiekiem, jak mówicie, znajdzie na to sposób i odzyskam moje znaczki.

Wyciągnął kartę ze środka i zaśmiał się niewesoło.

- Będę mógł nawet kupić sobie jeszcze więcej.,

- Patrząc na ciebie, nigdy bym nie pomyślał, że lubisz

znaczkę - zauważył Aldo.

Muszka sprawdził stan swoich kart, jedną wyrzucił i odpowiedział:

- To stara namiętność, jeszcze z czasów, kiedy byłem chłopcem, ale wtedy nie miałem na to warunków. Za to później, kiedy podłapałem więcej forsy, zacząłem je skupać...

Przerwał mimo woli, bo Jeanne skrzyżowała swoje długie nogi. Wziął się w garść, przeklinając się w duchu, że Dozwolił sobie na nieuwagę. Ale od ponad roku nie miał już kobiety... żadnych doznań, poza uczuciem nienawiści i nieufności w pojedynczej celi. Podniósł głowę i spostrzegł, że Salvatore obserwuje go ze zmarszczonym czołem. Dokończył więc:

- ...i zauważyłem, że był to dobry sposób na uplasowanie waluty. Od tego czasu stale to robię i stałem się całkiem niezły w tej branży.

Roześmiał się, jak gdyby coś mu się przypomniało.

- Kiedy mnie gliniarze zapudlili, dniami i nocami truli, żebym im powiedział, co zrobiłem z monetą zebraną w czasie moich różnych skoków. Gdyby wiedzieli...

Wskazał palcem czerwony album, leżący na stoliczku:

- ...że wszystko jest tam!

- To niegłupio pomyślane - pochwalił Salvatore. I dał znak Teresie, żeby mu naląła jeszcze lyczek Saint-Gilles.

VI

Ostatnie piętro Prefektury Policji, gdzie mieściły się biura Brygady do walki z gangami, wyglądało jak pole bitwy. Uzbrojeni w pistolety maszynowe policjanci mundurowi pilnowali wszystkich wejść. Zgodnie ze specjalnym zarządzeniem wszyscy zatrzymani dowiezieni zostali pod silną eskortą z więzienia Santé na przesłuchanie. Żandarmi należący do konwoju również byli w drodze. A wielki zielony owad - karetka więzienna, stojąca na brukowanym podwórku pod oknami Pałacu Sprawiedliwości - została obfotografowana ze wszystkich stron przez wydział śledczy. Zwłoki kloszarda

znajdowały się już w prosektorium, w ostrożnych i delikatnych rękach anatomopatologów. W taki to właśnie sposób złodziej mieszkaniowy pomaga społeczeństwu! Daje się pokroić w plasterki na ołtarzu wielkich badań naukowych!

Zatrzymani mieli po dziurki w nosie obraźliwych pytań. Oni oczywiście nie mieli o niczym pojęcia. I nie ich winą było, że Gruby Piętaszek dał nogę. Te skurwysyny gliniarze powinni lepiej pracować. Chyba nie zabrakło im kajdanków i kłódek. Oni zaś - ludzie marginesu - marzą jedynie o tym, by znaleźć się na powrót w swoich ukochanych celkach i uderzyć w kimono, drapiąc się rozkosznie w zadki. A tu zamiast tego muszą słuchać, jak gliny kit nawijają i nie chcą nawet - dranie! - zdjąć im na ten czas kajdanków.

Le Goff siedział w biurze, czytając raporty swoich ludzi. Wszystkie były negatywne. Po raz setny zadzwonił telefon i Rondier podniósł słuchawkę.

- Tak? Że co? „Kurier Poranny” z Nicei? Chcecie wiadomości na temat ucieczki Muszki Majowej?

Zerknął na swego szefa i westchnął, udręczony.

- Ale my też nie mamy nic nowego, stary. Bardzo żałuję.

Gestem pełnym zmęczenia odłożył słuchawkę. Ledwie zdążył wypuścić ją z ręki, gdy znowu rozległ się natrętny dźwięk. Podniósł słuchawkę, a tymczasem u Toupira telefon też dzwonił.

- Halo! - krzyknął zniecierpliwiony. - Ach, to klinika?

Jego zniecierpliwienie znikło. Na twarzy odmalowała się sympatia.

- Pani Le Goff? Tak, jest tutaj.

Dowódca Brygady do walki z gangami, przeglądający właśnie raport Serisky'ego, dowódcy jednego z oddziałów, podniósł głowę znad papierów.

- Moja matka?

Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę i niemal wykrzyknął do słuchawki:

- Mama! Czy...

Słuchał, a wokół niego Serisky, Rondier i Merlu wstrzymali oddech. Ich bezwzględne twarze łowców ludzi wyrażały

nadzieję. Za stołem zawalonym aktami i aparatami telefonicznymi Le Goff milczał ciągle, z oczyma utkwionymi w ścianę, na której wisiały portrety Vrillarda i Larmeno, przysłonięte krepą. Wreszcie wyszeptał, zawiedziony:

- Ciągle jeszcze nic, mamó? Ale doktor jest pewien, że teraz już pójdzie szybko? I mówisz, że Angela chce, żebym tam był? Ależ mamó, ja mam tu robotę! Ja muszę...

Spojrzał na swoich dowódców oddziałów i na ich surowych twarzach dostrzegł coś na kształt dezaprobaty. Zawahał się, speszony ich niemym wyrzutem.

- Zrobię, co tylko będzie można, mamó! Postaram się...

Mężczyźni, z którymi przywykł narażać własną skórę, odwrócili głowy. Tylko Rondier odważył się odezwać:

- Może jednak mógłby pan wyskoczyć, szefie. Śledztwo się przez to nie opóźni. Jak dotąd zrobiliśmy już maksimum i nasze ekipy nadal przeszukują dzielnicę, w której znajduje się ulica Cassini i faubourg Saint-Jacques. Gdyby było coś nowego, natychmiast pana zawiadomimy.

Zeby sobie dodać odwagi, Rondier zapalił papierosa i dorzucił:

- Nie chcę panu nic narzucać, ale żona na pewno pana potrzebuje.

- Kurczę... W takich razach - przyłączył się do niego Serisky.

Le Goff popatrzył na nich swymi bladoniebieskimi oczyma i nagle się zdecydował.

- Dobrze, mamó, już jadę. Uprzedź Angelę.

I wstał, odkładając słuchawkę.

- Rondier, odprowadzicie mnie i żeby ktoś był pod telefonem w samochodzie. Toupir!

Zastępca komisarza ukazał się w drzwiach od swojego pokoju.

- Toupir, będzie pan koordynować całą akcję. Potem każe pan odwieźć aresztantów do Santé. Sądzę, że wyciągnęliśmy z nich, co się dało. Inaczej mówiąc nic. Nasze zadanie w tej chwili polega na sprawdzeniu, kto miał możliwość zbliżenia się do Muszki, żeby podać mu narzędzia, którymi przeciął tę podłogę. Serisky, Merlu...

Zwrócił się teraz do dowódców grup.

- Jutro przejdziecie ze swoimi ludźmi całą drogę, którą przeszedł Sartet od chwili, kiedy opuścił celę, do momentu, kiedy zamknięto go w karetki. Musicie odszukać wszystkich ludzi, z którymi się zetknął, jednego po drugim, wybadać ich, a nawet przycisnąć. Może ktoś z nich czegoś nie zauważył. Trzeba również... - Przez chwilę zastanawiał się, po czym dokończył: - ...trzeba przyjrzeć się wydatkom strażników i żandarmów.

Gestem dłoni uniesionej do góry powstrzymał ewentualne protesty.

- To tylko rutynowa formalność. Mam zaufanie do tych funkcjonariuszy. Ale wystarczy, że raz... No, a teraz do jutra, panowie. Chyba, że mielibyście w nocy coś nowego.

Skierował się do drzwi, a za nim Rondier, ale zatrzymał ich Serisky, który zawołał:

- Życzymy panu przyszłego policjanta, szefie! Pokażnego. PięCiokilowego.

Le Goff odwrócił się, pomachał im ręką i wyszedł, a tymczasem Toupir rzucił się do rozdzwonionego telefonu i ryczał w odpowiedzi:

- Z „Brest-Telegraf”? Nie, żadnych nowości w sprawie Muszki Majowej! Może jutro...

Odłożył słuchawkę, padł wyczerpany na fotel bossa i zabrał się do czytania raportów.

Ulewa oczyściła ulice Paryża z amatorów nocnych spacerów. Zresztą ulewa nie była tego jedyną przyczyną. Paryżanie wychodzili coraz rzadziej, mając w domu telewizję. Nie mówiąc o tym, że narzekali na biedę i podatki. Uważali, że wielki Charles przesadza ze swoją sławną silną ręką. Że wysysa ich oszczędności, że ich zanudza i zadręcza. Sami chcieli oczywiście być wielkim narodem, ale tak, żeby nie kosztowało ich to pięciu groszy. Brzuchy przede wszystkim. Chcieli je mieć pełne, okrągłe, a wielki Charles niech się da wypchać ze swymi pomysłami à la Ludwik XI. Chcieli wyłącznie mieć święty spokój. I żeby im było błogo, najchętniej kazaliby się drapać w pięty. Wyrzekali, mówili, że się ich żywcem obdziera ze skóry,

że kradnie im się ich ukochany szmal, żeby nim potem faszerować różnych murzyńskich królików, żółtych księżąt i białych baronów reżimu. Wszystko, wszystko i jeszcze raz wszystko gotowi są znieść. Ale nie zniosą, żeby im się dobierano do ich ślicznych portfeli z krokodyla, do ich solidnych wełnianych skarpetek, do ich kas pancernych ukrytych w betonowych bankach, do ich grosiwa zakopanego pod gruszką w ogródku letniej rezydencji, do ich ukochanych sztabek złota zagrzebanych w willach Solonii. Francja przede wszystkim, Francja wielka, oczywiście. Nie mają nic przeciwko temu, żeby zrobiono mały drenaż sąsiadowi. Przeciwnie. Ale wara od ich grządki. Oni na to nie zasłużyli. Oni wszystko oddali już ojczyźnie. Jako dowód każdy otrzymał jakiś krzyż. Czerwony, niebieski, malinowy, fioletowy, a zwłaszcza trójkolorowy. Ten ostatni noszą w gębie i demonstrują przy byle okazji, kiedy chcą coś potwierdzić lub czemuś zaprzeczyć. Kiedy chcą udowodnić, jak wiele już zrobili dla kraju i że niczego już od nich nie należy wymagać; przeciwnie, gdyby zechciano okazać im wdzięczność... ostatecznie nie odmówiliby rentownej posadki, jakiejś przyjemnej synekury, jakiegoś małego a gustownego wyróżnienia w brzęczącej monecie, w formie wzmianki, nawet ambasady, a ostatecznie i ministerstwa, bo przecież nie są tacy małostkowi. Gotowi są na wszystko, te dzielne i szlachetne groszorozy. Na wszystko, z wyjątkiem płacenia podatków. Gotowi są adorować wielkiego Charles'a, kadzić Pomponikowi, wielbić Valéry'ego, błogosławić Debre, gdyby zechciał unurzać ich w błocie i uszczęśliwić Mitterrandem i Lecanuetem w razie katastrofy statku. Niektórzy nawet zaczęli Charles'a Katastrofę nazywać wielkim Wielbicielem! Wstrętne burżuje!

Na desce rozdzielczej DS-y, prowadzonej przez Rondiera, zapaliło się czerwone światelko. Le Goff podniósł słuchawkę radio-telefonu. W samochodzie rozległo się buczenie, a następnie jakiś głos powiedział:

- Białe do Czerwonego. Białe do Czerwonego. Czy mnie słyszysz, Czerwony?

Palec Le Goffa nacisnął guzik, znajdujący się na rączce słuchawki.

- Czerwony słyszy cię dobrze, Biały. Możesz mówić.

Palec Le Goffa uwolnił teraz guzik. Odezwał się natychmiast głos Baraniego.

- Żona i córka Sarteta wróciły właśnie do Saint-Ouen. Wieczór spędziły w kinie. Żadnego kontaktu z uciekinierem. Czekamy na instrukcje. Odbiór.

Le Goff wcisnął guzik.

- Czerwony do Białego. Czerwony do Białego. Jesteście wolni, ale przekazcie polecenie. Żona i córka Sarteta mają być dzień i noc pod obserwacją. Odbiór.

Głos Baraniego, w którym pobrzmiwał śpiewny akcent wyspy, odpowiedział:

- Zrozumiałem, Czerwony. Odbiór.

Nie odkładając słuchawki szef Brygady nadał do centrali:

- Czerwony do sztabu, Czerwony do sztabu.

Gdzieś, w wielkiej szklanej klatce, jakiś człowiek, ubrany w szarą bluzę, podniósł słuchawkę.

- Sztab do Czerwonego. Odezwił się, Czerwony. Słuchamy cię.

Teraz tam u nich słyhać było czysty i wyraźny głos Le Goffa:

- Nie odwoływać rozkazu powszechnego pogotowia. Dworce, lotniska i granice mają pozostać nadal pod obserwacją. Sprawdzić, czy dostarczono do wszystkich centrów policji i żandarmerii fotografię Rogera Sartet, przydomek Muszka Majowa, zbiegłego dziś z karetki więziennej. Odbiór potwierdzony. Skończyłem.

DS-a w szalonym tempie zjeżdżała w dół niemal pustą ulicą Grande Armeé. W środku Le Goff odłożył słuchawkę i w zamyśleniu palił papierosa. Po chwili odezwał się:

- Rondier, macie, zdaje się dziecko, prawda?

- Dwoje, szefie. Dziewczynkę i chłopca.

- I jak czuliście się, kiedy przychodzili na świat?

- Jakby to powiedzieć? - Rondier był zakłopotany. - Dziwne.

Czułem się kompletnie głupi.

Le Goff uśmiechnął się.

- Ano właśnie, ja się czuję dokładnie tak samo.

I wskazując ochronną szybę trzymanym w ręku gitanem dodał:

- Skręćcie teraz w prawo. Klinika jest o dwa kroki stąd.

Dojeżdżali na miejsce, gdy na tablicy rozdzielczej zapaliło się światelko. Le Goff chwycił słuchawkę. Rozległ się głos:

- Żółty do Czerwonego. Żółty do Czerwonego. Czerwony, czy mnie słyszysz?

- Czerwony słyszy cię dobrze, Żółty - odpowiedział Le Goff. - Odbiór.

Zwolnił przycisk, żeby słyszeć Gibota, dowódcę jednego z oddziałów.

- Znaleźliśmy małżeństwo, mieszkające na ulicy Cassini. Widzieli blondynkę z psem na smyczy, która brała udział w ucieczce Sarteta. Niedawno wrócili do domu i z własnej woli zgłosili się na przesłuchanie. Czekamy na instrukcje. Odbiór.

Palec Le Goffa gorączkowo nacisnął guzik.

- Czerwony do Żółtego, Czerwony do Żółtego. Wezwijcie tę parę na jutro do nas. Wracajcie natychmiast do Brygady, żeby przekazać zebrane informacje. Skończyłem odbiór.

I spokojny głos Gibota, weterana starej gwardii, wywodzącej się z Brygad Terytorialnych:

- Zrozumiano dobrze, Czerwony. Skończyłem.

Cytryna DS zatrzymała się na brzegu chodnika, przed na wpół oświetlonym krytym podjazdem do kliniki. Le Goff wysiadł pospiesznie. Drzwi otworzyły się przed nim. Stała w nich jego matka. Jak zawsze świeża. I jak zawsze spokojna. Zdawać by się mogło, że godziny oczekiwania nie były w stanie naruszyć jej równowagi wewnętrznej. Na jej widok Le Goff zatrzymał się jak wryty. Twarz stężała mu w nagłym zrozumieniu.

- Mamo... - wykrztusił, sądząc, że stało się najgorsze.

Rondier zgasił silnik i podszedł do szefa, chcąc wesprzeć go swoją obecnością. Ale pani Le Goff uśmiechnęła się spokojnie.

- Czekałam tu na ciebie - wyjaśniła. - Ale tylko po to, żeby jako pierwsza oznajmić ci dobrą wiadomość.

- Urodził się? - wykrzyknął Le Goff.

Twarz starej Bretonki rozjaśniła się.

- Kto ci powiedział, że to chłopiec?

Le Goff odwrócił się i spojrzął na swego towarzysza, który podobnie jak on nie pomyślał dotąd, żeby się schronić przed deszczem.

- A czy mógłby nie być chłopiec, jak myślisz, Rondier?

- Jasne, szefie! - odpowiedział policjant, jakby to było oczywiste. - Tego przecież życzył panu Serisky! Ile waży, proszę pani?

- Cztery i pół kilo.

- Cztery i pół kilo! - wpadł w zachwyt szef Brygady do walki z gangami. - Wielki Boże! Toż to kolos!

- Serisky pomylił się o pół kilo - stwierdził Rondier, wybuchając śmiechem.

- A jak Angela, mamó? - zaniepokoił się nagle Le Goff, decydując się wreszcie wejść do środka.

Pomarszczona ręka matki, ta sama, która tak dobrze umiała uspokajać, dotknęła jego ramienia.

- Czuje się dobrze.

- Chcę się z nią zobaczyć, mamó. Jak najprędzej.

- Ona śpi, synu. Trochę to trudniej poszło, niż przewidywano, i dano jej zastrzyk. I teraz śpi.

- Niepoważnego?

- Nie, dziecko. Wszystko odbyło się zupełnie banalnie.

Le Goff objął matkę, moczając ją swoim nieprzemakalnym płaszczem.

- Słyszeliście, Rondier? Wszystko odbyło się banalnie! Narodziny przyszłego szefa Brygady do walki z gangami!

Stara Bretonka spróbowała się oswobodzić z jego objęć.

- Co to, to nie, mój chłopcze, mowy nie ma o tym, żeby mój wnuk został gliną. Jeden w rodzinie wystarczy. Za wiele cierpienia przysparzacie kobietom swoim zwariowanym zawodem, który pochłania cały wasz czas.

- Co też mama mówi! - obruszył się Le Goff ze śmiechem. - Najpiękniejszy zawód świata! Wytlumaczcie jej to, Rondier.

Odwrócił się, ale Rondiera już nie było. - Stał przy DS-ie, do pasa zanurzony w bagażniku. Kiedy się stamtąd wyłonił, trzymał w ramionach ogromny bukiet róż.

- To od Brygady, szefie - oświadczył wręczając mu kwiaty. -

Dla pani Le Goff.

Jego szef odsunął matkę i wyszedł na deszcz. Szczęki miał zaciśnięte, a na twarzy dziwny grymas. Wziął wielki bukiet i odkasznął.

- Ale jak wy to zrobiliście, Rondier? Mam na myśli te kwiaty?...

Policjant uśmiechnął się.

- Kupiliśmy je wczoraj. A kiedy Serisky dowiedział się, że jadę z panem do kliniki, wydał po cichu rozkaz, żeby ukryto je w DS-ie.

- Rozumiem - powiedział Le Goff, wchodząc pod daszek. - Bardzo dziękuję, Rondier. No, a teraz nie pozostaje nam nic innego jak pójść obejrzeć z bliska tego, który będzie mnie kosztować potężną kolejkę szampana dla Brygady. Chodźmy, stary.

Ale zamiast ruszyć za nim, Rondier podniósł rękę.

- Chwileczkę, światelko się zapaliło.

Wrócił szybko do wozu, podniósł słuchawkę i powtarzał niemal krzyżąc, żeby zagłuszyć deszcz:

- Brygada każe panu przekazać, że był anonimowy telefon, z wiadomością, że Sartet znajduje się w barze „Thermomètre de la République”. Podobno je tam obiad.

W jednej chwili Le Goff podał różę matce i znalazł się przy samochodzie.

- Zawiadom oddziały Merlu i Serisky'ego, niech tam pędzą. Spotkamy się na miejscu.

Powrócił teraz pospiesznie do matki, której twarz spochmumiała.

- Wyłumaczysz mnie, mamó, przed Angelą, jak się obudzi. Ale...

- Czy mam również za ciebie ucałować twojego syna, Alanie Le Goff?

Le Goff powstrzymał głębokie westchnienie, oderwał wzrok od tej, która znała go lepiej niż ktokolwiek na świecie, i zawrócił do wozu, a tymczasem za jego plecami rozległ się sarkastyczny głos:

- A ty byś chciał, żeby był gliną, jak jego ojciec? Wolałabym

go własnoręcznie udusić!

Le Goff uśmiechnął się. Piekielna mamunia! I to ona, której ręce potrafią jedynie uzdrawiać. Usadowił się koło Rondiera i mruknął:

- Ma rację. To żaden zawód. - A żywiej dodał: - Niech się jeszcze okaże, że to fałszywy alarm!

- Niestety - westchnął Rondier, ruszając. - Ale do nas należy wszystko sprawdzić. Nawet kretyńskie wygłupy.

Stojąc w progu z naręczem kwiatów pani Le Goff długo odprowadzała wzrokiem DS-ę, oddalającą się w potokach deszczu.

VII

Zaskrobano do drzwi, a gdy Muszka otworzył, weszła Jeanne, z koszykiem w ręce. Już piąty dzień tu siedział, zakopany jak lis w norze. Cały pokój, eks-służbówka, zarzucony był dziennikami z jego zdjęciem. Różne pętaki pewnie go wszędzie szukają. I różne dranie. Wyznaczono nagrodę za wydanie go łapaczom i wysłanie z powrotem na wilgotną słomę. Kilka banków ufundowało nagrodę za donos! Pięć patoli w starej walucie. Nie taki znowu duży szmal, ale zawsze wystarczy, żeby skusić Judasza drzemiącego w każdym z nas. Muszka zamknął drzwi za kobietą Aida, uderzony jej zapachem. Mówiąc szczerze, chętnie zachowałby na własny użytek tę blond lalę, jej piękne nogi, drażniący uśmiech i fiołkowe oczy, podkrążone, rozpustne, w których zdawała się zawsze drzemać ciekawość rzeczy zakazanych. Pięknie, tylko że nie mógł tego zrobić. Ta lalunia należała do Aida. Była święta. *Off limits*. Muszka nie mógł sobie nawet pozwolić na niby przypadkowe dotknięcie żywej okrągłości, rysującej się pod niebieskim jedwabiem minisukienki, czy jakiegokolwiek gestu w kierunku dwóch zadzierzystych diabełków, usiłujących sterczącymi rogami przebić jej materiał. *Verboten*. Jakież tortury sprawiały mu ona i Teresa! Dwie piękności. Blondynka i brunetka, a obie zakazane, kiedy on czuje ogień we kiwi i mijają niezliczone godziny, w czasie których może myśleć o

ciele dziewczyny. Pięć dni już siedział w tych czterech ścianach zmagając się z pożądaniem. Pięć dni i pięć nocy, w czasie których przewracał się na materacu albo przemierzał tam i z powrotem dwa na trzy metry swojej klatki. No, w końcu pokoiak nie był taki zły. Odnowiony, należał, podobnie jak reszta głównego podestu, do Salvatore, wynajmującego z całego domu jedynie trzecie i czwarte piętro. Pierwsze piętro i resztę rezerwował on dla swego klanu i czasem przetrzymywał tu przez pewien czas towary, które zapomniano zakwestionować na którejś z granic. Jeanne położyła koszyk na małym stolyczku, wyjęła z niego talerz, sztucce i jedzenie, po czym zapytała:

- Lubi pan osso-bucco? Mama przyrządza je jak nikt inny.

Uśmiechnęła się do niego, ukazując wilgotne zęby. Pod wpływem tego uśmiechu Muszka zakaszła.

- Niech będzie. Nadal nie ma wiadomości od Salvatore ani od Ludwika?

Potrząsnęła złotymi kędziorami, spadającymi na plecy, które miałyby wielką ochotę objąć.

- Jeszcze nie. Ale wie pan, oni wrócą bez uprzedzenia. Być może dziś lub jutro.

Usiadł przy nakrytym stole, a ona unosząc pokrywkę małego rondelka z czerwonego metalu zauważyła:

- Robi pan takie wrażenie, jakby czas się panu dłużył.

Wzruszył ramionami, przy czym szlafrok pożyczony od

Aida zsunął się nieco, obnażając kark, zbyt gruby wskutek przebywania w więzieniu.

- To zupełnie nie zabawne. Ale proszę nie myśleć, że się skarżę. Tam, skąd przychodzę, było gorzej. Tyle, że trochę mi tu brak...

Nie dokończył, pozwalając jej nałożyć jedzenie na talerz. Widocznie domyśliła się, o co chodzi, bo z właściwą swojej płci kokieterią zapytała, podniecona tym, że jest sam na sam z mężczyzną uosabiającym dramat i przemoc:

- Trochę tu brak...?

Spojrzał jej w oczy, w których migotały dziwne błyski. Nie, chyba nie ma zamiaru robić mu głupich kawałów? Był zdolny

wziąć ją tu, na miejscu, w jednej chwili. Czyżby go nie rozumiała? Zdławił coś na kształt pomruku, podrapał wskazującym palcem górną wargę, ze świeżo zapuszczonym wąsem, i powiedział:

- Dobrze pani wie, co chciałem powiedzieć. Aida nie ma w domu dziś wieczór? Gdyby mógł wejść na chwilę na górę...

- Jest w mieście. Ma jakieś spotkania. W naszej sprawie.

- A Sergio?

Roześmiała się.

- Ach, on? Lata za dziewczynami.

- Szczęściarz!

Okrzyk wymknął mu się, zanim zdążył się opanować.

- Chciałby pan móc robić to samo, co? - zażartowała. - Ale musimy być grzeczni i nie wychodzić z domu. Tata wyraźnie panu zakazał.

Chwycił gwałtownie w garść kawałek chleba, wpatrzony w żonę człowieka, który pomógł mu uciec, kokietującą go swoją przekłętą, za krótką kiecką. Zdołał się jednak opanować i spuścił głowę.

- Niech pani uważa, żebym nie zapomniał, że pani jest Jeanne. Nie jestem wiele wart, ale zależy mi, żeby dla mnie została pani żoną Aida.

Nóż w jego ręce drżał; z trudem opanowywał pożądanie.

- Proszę mnie teraz zostawić i dziękuję za przyniesienie jedzenia.

- Nie chce pan, żebym trochę u pana została?

Uparcie go prowokowała. Podniósł głowę, a jego włosy pofarbowane na ciemnokasztanowy kolor rozbłysły w świetle nocnej lampki.

- Przestań mnie drażnić, Jeanne. Jestem niebezpieczny. Niech mnie pani nie zmusza, żebym zapomniał, że parę dni temu pomogliście mi uciec. Dużo wam obojgu zawdzięczam. Proszę zostawić mnie w spokoju razem z moim długiem. Jest dostatecznie ciężki.

Jego oczy pozornie łagodne, nagle rozbłysły groźnie napotykając prowokujące spojrzenie kobiety. Zrozumiała, że cokolwiek by zaszło, on potrafi się opanować i nie da się

wciągnąć w jej grę. Wystraszona, drżąc, jak tyle innych przed nią, pod spojrzeniem jego pociemniałych oczu, powiedziała:

- Dobranoc, Roger. Do jutra.

Zrozumiała, że pod tą uśmiechniętą maską istniał naprawdę morderca, Gruby Piętaszek, wróg publiczny numer jeden. Miała ochotę trochę się zabawić, a tymczasem zrobiło jej się słabo, taki chłód ją nagle przemknął. Wykrztusiła, sama nie wiedząc, czy chciałaby uciec, czy zostać zgwałcona:

- Do jutra.

- Do jutra - odpowiedział, wstając, by zamknąć drzwi.

Idąc za nią, cały czas opanowywał się, żeby nie zwracać uwagi na jej zgrabne nogi w nylonowych pończochach, smukłe pęciny, które chętnie uwieźliby w swoich silnych, złodziejskich dłoniach, na kołyszące się pod jedwabiem biodra. Starał się skupić uwagę na jakimś punkcie ponad jej jasnymi włosami, tak odurzająco pachnącymi kobietą, włosami, w których z taką rozkoszą ukryłby swą twarz ściganego, tę twarz reprodukowaną przez wszystkie dzienniki, pokazywaną w telewizji i figurującą w wykazie każdego gminy, z dopiskiem: „Poszukiwany”... Ale nie mógł sobie pozwolić na taką słabość. Na żadną słabość. Był sam ze swoim losem. Sam ze swymi pragnieniami. Ponad rok bez kobiety. Ponad rok... podczas gdy na dole, na ulicach miasta... Zamknął drzwi za żoną Sycylijczyka i wrócił do stołu, na którym stała pachnąca baranina. Ale nawet jej nie dotknął. Wychylił jednym haustem kieliszek wódki, w którą był obficie zaopatrzony, i poszedł do mansardowego okienka, otwartego na wilgotną ciemność nocy. Wychylony obserwował, jak na dole przechadzają się paryżanki, tym szczególnym krokiem, jaki nie ma sobie równego na całym świecie. Szły na randki, żeby znaleźć się w czyichś ramionach, szły w poszukiwaniu mężczyzny, w poszukiwaniu zapomnienia. Tysiące, tysiące kobiet przechodziło pod jego oknem, kobiet chętnych do miłości. A on siedzi, tu... na tej antresoli... cały w ogniu... Zapalił pall-malla, swojego ulubionego papierosa, i wrócił do okna. Minęły dwie godziny. Chodził tam i z powrotem od okna do łóżka i od łóżka do okna, paląc papierosa za papierosem i opróżniając

kolejne kieliszki wódki Tarnowskiego, która paliła mu gardło. Na dole głuchy pomruk miasta przycichał. Jedenaście uderzeń z Sacré-Coeur rozległo się na cały Montmartre. Muszka wzdrygnął się i spojrzał na swoje legowisko. Nie chciało mu się spać. Przeciwnie. Zamyślony wrócił do stołu, na który padało światło lampy, i odruchowo przykrył salaterkę, wdychając zapach, który kojarzył mu się z Jeanne. Nagle zerwał z siebie szlafrok. Musi mieć dziewczynę, choćby jedną. Nie zniesie tego dłużej. Ubrał się, włożył ciemne okulary, beret, schował do kieszeni sto franków, które na jego prośbę dał mu Aldo, i wyszedł, gasząc za sobą światło. W domu panowała cisza. Widocznie Manalese już spali. Zszedł na dół głównymi schodami i zanurzył się w wilgotny mrok ulicy. Ależ pogoda! Wiosna ciągle jeszcze zwlekała, a przecież był to już początek maja. Od razu skręcił w prawo i poszedł w górę ulicą Ordener. Mijając przecznicę, na której znajdował się komisariat XVIII dzielnicy, nie odwrócił głowy w tamtą stronę, ale kątem oka zauważył puste karetki policyjne i samochody patrolowe, gotowe w każdej chwili wyruszyć na wezwanie. Na placu Jules-Joffrin stały dwie taksówki, czekając na klientów. Minął je i podniósłszy kołnierz gabardynowego płaszcza doszedł pieszo do bulwaru Barbés. Tu zawahał się. Mógł iść dalej pieszo do ulicy Charbonnière i znaleźć sobie siostrzyczkę miłosierdzia, która pomogłaby mu pozbyć się pieniędzy. W tej okolicy było ich pełno. Każda uliczka roiała się od rogówek, mimo że prawo ich nie uznawało. Ale trzeba być idiotą, żeby się przejmować prawem. Natomiast Muszka przypomniał sobie w samą porę, że Charbonnière, Goutte d'Or i Barbés były ulicami, na których rej wodzili Arabowie, wskutek czego urzędujące tam damy były mocno zniszczone. Mając tyle forsy mógł znaleźć sobie coś lepszego. Złapał jakąś zapóznioną taksówkę i kazał się zawieźć do skrzyżowania ulic Saint-Denis i Blondel. Tam też było co poderwać. Przeszedł się tam i z powrotem po mokrym chodniku, rozglądając się, czy nie zobaczy jakiejś postaci, kryjącej się w mroku, ale zauważył jedynie ceny w oknach wystawowych. A nie tego przecież szukał. Poszedł dalej ulicą Blondel, minął dwa czy trzy bistra, do których zajrzał przez

szybę. Towar czekający w lokalu na nadzianego faceta bywa lepszy niż ten na ulicy. Wypatrzył jakąś blondynkę, która przypominała mu trochę lalunię Aida, i wszedł do środka. Grube babsko, którego ogromny biust spoczywał na przykrytej gazetą szufladzie, zastępującej kasę, przypląnęło z zachęcającym uśmiechem na umalowanych wargach.

- Pan sobie życzy? - zaćwierkała.

- Kawę - powiedział, zerkając na blondynkę w lustrze, znajdującym się za butelkami.

Blondynka odwzajemniła jego zainteresowanie. Przerwała na chwilę „421”, w które grała z koleżanką, i ruchem ust widocznym w lustrze zadała mu pytanie. Muszka odpowiedział twierdzącym opuszczeniem powiek. Dopił kawę, zapłacił i dogonił lalunię, która przed nim wyszła na ulicę.

- Na chwilę czy na całą noc, skarbie? - odezwała się pierwsza.

- Na chwilę - odpowiedział Muszka.

- Ile dajesz?

- Ile zażądasz.

Dziewczyna prowadząca go do pobliskiego hoteliku aż przystanąła. A cóż to za jeden ten typ? Święty Mikołaj? Wujaszek Rothschild? Kuzyn Dassaulta? Ile zażądasz, powiada ten nabab! Mogłaby przecież zażądać od niego Ameryki, jak taki hojny. I jeszcze Kanady, jako premii!

- Dziesiątaka - rzuciła od niechcenia.

- Ile zażądasz - powtórzył.

Popatrzyła na niego przeciągle. Któż to taki? Kasjer, który zwinął bilety za trafionego tripla? Urzędnik, który włamał się do szuflady w ubezpieczalni społecznej? Chyba to ostatnie odpadało, bo jak mówiono, była to instytucja deficytowa. A zresztą, co u diabła obchodziło ją, kim był ten facet? grunt, że płaci. I że chce płacić bez targów... Żałowała już, że nie zażądała więcej, niepoohamowana w swojej chciwości. Gdy hotelarz odprowadził ich do pokoju, zaczynając się rozbierać zauważyła:

- Wydaje mi się, że już kiedyś z tobą byłam. W każdym razie twoja twarz nie jest mi obca.

Muszka potrząsnął głową.

- Wątpię. Długo byłem w podróży.

Z podziwem przyglądał się jej dorodnemu jeszcze ciału, bezwstydnie obnażonemu przez rozpiętą nagle sukienkę.

*

Wytarłszy filizankę Muszki, gruba szefowa bistra powróciła do leżącego na kasie „France-Soir” i rozpostarła na nim swój potężny biust. Przeczytała o pikantnej zbrodni, przewróciła stronę i aż podskoczyła z nagle zmarszczonymi brwiami.

- Ależ... ależ... a to dopiero!

Po prostu odebrało jej mowę. Oczekała, aż koleżanka blondynki wyjdzie na ulicę w poszukiwaniu klienta, po czym potoczyła się do kuchni, gdzie jej małżonek, maniak porządku, ustawiał naczynia.

- Hektor!

Hektor zamknął drzwiczki od bufetu i odwrócił się.

- Zobacz - powiedziała. - Ten facet wyszedł stąd z Elia- ną. A pięć kawalków czeka na tego, kto zawiadomi gliniarzy.

Wyciągnęła do niego rękę z gazetą, w której widniała fotografia Muszki Majowej.

- Co ty jeszcze wymyślisz? - mruknął Hektor z powątpiewaniem. - Dopiero co go przecież widziałem i wcale nie wydawał mi się...

- Poczekaj - odpowiedziała, dorysowując do fotografii wąsy i obramowując oczy okularami. - A teraz?

- No tak... - zawahał się Hektor. - Oczywiście, że teraz... chociaż, wiesz, tylu jest do niego podobnych! - Wytarł nos i dodał rozmarzony: - Ale kto wie, może masz rację? Ja tam nie wiem.

Potrząsnęła gazetą.

- Co ryzykujemy, dając cynk glinom? Jak wyjdzie, żeśmy trafili, zainkasujemy pięć kafli. A jeżeli to była omyłka, i tak nam łbów nie urwą. W ten sposób przynajmniej jak tajniaki od trawy zaczną węszyć w dzielnicy, zawsze będziemy mogli się ich pozbyć, mówiąc, że staraliśmy się im pomóc. No więc jak?

Argument był ważki. Kto chce prowadzić w bistrze kuchnię, potrzebuje zawsze pobłażliwości policji. To pomaga napęłnić kasę. Hektor skapitulował.

- Dobra. Ale kogo zawiadamiamy? Gliny dzielnicowe?

Znowu podniosła krzyk:

- Mowy nie ma! Im mógłby się wymknąć. Tu piszą, gdzie trzeba dzwonić w sprawie nagłej. - Wysylabizowała, mlaskając z rozkoszą: - Brygada do walki z gangami. Służba dochodzeniowa i interwencyjna. Turbigo-9200. Pokój 142. Komisarz Le Goff.

Potoczyła się do kabiny telefonicznej.

- Pilnuj się tylko, żeby nikt z tutejszych nie dowiedział się nigdy, że to my daliśmy znać - rzucił za nią Hektor, jak zawsze ostrożny.

Uśmiechało mu się honorarium w banknotach, ale nie miał ochoty, żeby mu potem pluto w gębę.

VIII

Le Goff siedział pochylony nad aktami. Od urodzenia syna i ucieczki Muszki spał bardzo niewiele. Czas upływał mu między kliniką, którą żona miała nazajutrz opuścić, a biurem. Powodem było panujące wszędzie wzburzenie. Uciekł Roger Sartet! Najgroźniejszy bandyta, jakiego miała Francja od Szalonego Piotra nr 1 - na wolności! Ministrowie i prefekci napomykali o dymisji, dając tym powód do radości sympatycznym kolegom Le Goffa, marzącym o zajęciu jego miejsca. A przecież nie było winą szefa Brygady do walki z gangami, że jego wróg dał nogę! Ale „głowy od myślenia” z prefektury i spraw wewnętrznych, naciskane przez opinię, domagały się winnego. I mógł nim zostać on. Tylko naczelnik Policji Sądowej był po jego stronie. Ale on również musiał dbać o swoje interesy, tym- bardziej, że sprawa Ben Barki i tak już przysparzała niemało kłopotów. Po raz setny Le Goff wertował raporty swoich ludzi, mając nadzieję znaleźć w nich wskazówkę, jakiś drobiazg, pozornie bez znaczenia, który mógłby naprowadzić na trop mordercy. Ale nic takiego nie mógł z nich wyczytać. Następnego dnia po ucieczce osobiście przesłuchał parę, która widziała przestępcę wyłaniającego się spod karetki policyjnej. Początkowo, zaskoczeni, nie zdawali

sobie z tego sprawy. Ale później, kiedy o tym przeczytali w prasie, zrozumieli, jaką rolę odegrała tam kobieta z psem. Jeden tylko szczególnie zainteresował Le Goffa. Mężczyzna, przypomniał sobie, że usłyszał, jak blondynka zwracała się do swego psa: „Stój spokojnie, Salami!” Salami? Dziwne imię dla psa, zauważył Le Goff. Powiedział o tym dyrektorowi. Gdyby ogłosili w gazetach, mogłoby to naprowadzić na jakiś ślad, bo rzadko spotyka się psa o takim imieniu. Ale jednocześnie zabieg był obosieczny. Przeczytawszy o tym w dzienniku Muszka może uciec z Francji, jeżeli tu jeszcze jest. Należało szukać dalej. Po cichu. I być cierpliwym, wytrwałym. A policja była wytrwała, nikt nie mógł im w tym dorównać. Dla tych ludzi czas się nie liczył. Le Goff wziął do ręki kartkę, którą wręczył mu przybyły właśnie Rondier. Były to raporty z badań, przeprowadzonych przez Generalny Inspektorat Policji, na temat obyczajów w paryskiej żandarmerii. Wszyscy byli dobrze notowani. Nikogo podejrzanego. Nikt nie był zadłużony, nikt nie grał w karty ani nie pił. Le Goff oddał papier, wstał i podszedł do drzwi od pokoju, w którym Toupir, Serisky i Merlu przesłuchiwali od rana grupę młodych złodziejek, nakrytych podczas włamania do fabryki Levallois.

- I w dalszym ciągu twierdzicie, że byliście tam na spacerze? - podjął zniecierpliwiony Toupir.

Co najmniej po raz setny zadawał to pytanie młodym opryskom.

- Przecież mówiliśmy już - po raz setny powtórzył najstarszy z nich, dwudziestopięcioletni, z włosami sięgającymi brwi. - Lubimy rano spacerować. Powietrze jest wtedy zdrowsze.

- W skradzionym samochodzie? - wtrącił Serisky.

- I żeby przewietrzyć płuca pistoletów maszynowych, które znaleziono w waszym wozie? - zauważył Merlu, z trudem hamujący się, żeby nie dać im po pysku. - One też lubią ranne powietrze, prawda?

Za plecami Le Goffa zaterkotał telefon. Rondier podniósł słuchawkę i niemal natychmiast zawołał:

- Szeffie! Telefon w sprawie Sarteta! Podobno jest na ulicy Blondel w hotelu, z jakąś dziewczyną.

Głowy wszystkich policjantów, a za ich przykładem również włamywaczy, zwróciły się natychmiast w kierunku Rondiera. Na twarzach glin malowała się nadzieja, na twarzach opryszków - podziw. Le Goff westchnął.

- Jeszcze jeden alarm. Któryś z rzędu.

- Faktycznie - potwierdził Toupir jak echo - to już będzie chyba pięćdziesiąty raz, jak wyjeżdżamy w ciągu pięciu dni.

Serisky rozłożył ręce, na znak, że należało to do rutynowych obowiązków, a tymczasem z sąsiedniego pokoju dochodził głos komisarza, który sam teraz rozmawiał przez telefon.

- Jak pani mówi? Hotel „Printania”? Dopiero co wszedł tam z dziewczyną? Ale czy jest pani pewną, że to on? Naprawdę? Dobra, dobra, już jedziemy.

Odkładał już słuchawkę, kiedy do uszu podwładnych znowu dotarł jego głos.

- Bądźcie spokojni! - zapewnił. - Nikt nie odbierze wam nagrody, jeżeli to naprawdę Roger Sartet.

Usłyszeli stuknięcie odkładanej słuchawki, a po nim rozkaz:

- Serisky, Merlu, w drogę! Toupir, zostaniecie tutaj.

Z nieprzemakalnym płaszczem na ramieniu Le Goff już stał znowu w progu, a tymczasem dookoła trzaskały drzwi i słychać było w korytarzu ujadanie Rondiera:

- Szybko, chłopaki! Widziano Muszkę!

Skuci przestępcy obserwowali ruchy Serisky'ego, który zapinał kuloodporną kamizelkę, a na nią nakładał jesionkę.

- Pomyślnych łowów! - powiedział Toupir do Merlu, wyciągającego amerykański karabinek, jedyną nieregulaminową broń, jaką posiadała Brygada, a którą on przechowywał w swojej szafie pancernej, za cichą zgodą Le Goffa.

Francuskie supergliny wyszły, a Toupir, niestrudzony,] przystąpił znowu do ataku.

- No i cóż, naprawdę nie chcecie jeść?

- Nie jesteśmy głodni - odezwał się jeden z nich.

- Ależ będziecie jedli - roześmiał się zastępca komisarza, klepiąc się w ramię, w które kiedyś ranił go Muszka Majowa podczas strzelaniny. - W końcu zawsze zjecie, to tylko kwestia menu.

I zapalając papierosa, wytrwale, swoim dziewczęcym głosem kontynuował:

- A więc co robiliście dziś rano przed tą fabryką? Z bronią i w ukradzionym samochodzie?

- No, przecież mówiliśmy już... - zaczął kudłaty małpolud.

Przerwał. W progu stał Gibot, wracający z jakiejś późnej misji, z której chciał zdać sprawę.

- Szef wyjechał do kliniki czy jak? - zapytał.

Toupir pokręcił przecząco głową.

Nie. Muszka. Kolejne wezwanie.

- Żeby chociaż tym razem prawdziwe - westchnął Gibot, strząsając z peleryny krople deszczu.

- Oby - westchnął z kolei Toupir i upuścił popiół z papierosa na skute łapska jaskiniowca.

IX

Muszka zaspokoił swoje pożądanie pospiesznie, jakby z zawstydzeniem. Jak zawsze, kiedy poderwał dziewczynę z ulicy, choćby najpiękniejszą, pozostał mu gorzki niesmak. Nie dlatego, że płacił za pieszczoty, ale ponieważ były one bezinteresowne. Jak gdyby płatna bezinteresowność. Oczywisty bezsens. Dla niego nic nie mogło się równać z podbojem dziewczyny, o którą trzeba było zabiegać, nawet jeżeli w rezultacie była ona tysiąc razy kosztowniejsza. Ale żeby bawić się w zaloty, trzeba mieć na nie czas. A on nie miał. Czekał, aż całkowicie ochłonie, usłyszał na ulicy odgłos ślizgających się opon. Drzwi samochodu zatrzasnęły się cicho, jakby ostrożnie. Nie zwrócił na to uwagi. Pokój ich znajdował się na pierwszym piętrze, więc był to jeden z wielu odgłosów, jakie tutaj dochodziły.

Dziewczyna poprawiała makijaż przed pękniętym lustrem.

- Przyjdiesz jeszcze kiedyś? - zapytała, zgodnie z obowiązującym zwyczajem.

Wcisnęła na głowę beret i uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Może. Miła z ciebie dziewczyna.

- Naprawdę?

Komplement najwidoczniej nie zrobił na niej wrażenia. Miała w nosie gadaninę swoich klientów. Liczyło się dla niej wyłącznie gruchanie jej alfonsa, zakazanej urody Algierczyka. Nagle znieruchomiała, z krwistoczerwoną szminką uniesioną do ust. Na korytarzu dały się słyszeć stłumione kroki i szept hotelarza:

- To tutaj.

Muszka odwrócił się błyskawicznie, już znowu czujny. Prostytutka obserwowała go w lustrze. Nic nie uszło jej; uwagi, zwłaszcza instynktowny gest, jakim bandyta sięgnął po broń. Dobrze go знаła. Wychowano ją w najlepszych tradycjach ulicy.

- Gliny?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Depczą ci po piętach?

Znowu przytaknął.

- Coś poważnego?

Zagrał *va banque*. Nie było innej rady.

- Jestem Muszka Majowa.

Dziewczyna stłumiła okrzyk zdumienia. Potem przyjrzała mu się uważnie. Czy mogła przypuszczać, że ten niepozorny, mały grubasek... Chociaż, kiedy mu się przyrzec z bliska... Nagle wróciła jej pamięć. Gdyby zdjąć mu okulary, zgolić wąsy i pofarbować włosy... Byłaby to niemal ta sama twarz, którą widziało się we wszystkich gazetach! Nadstawiła ucha. Zdawało jej się, że po drugiej stronie drzwi słychać oddech tropicieli świata przestępczego. Podeszła do Muszki.

- Poznałam kiedyś Jo Kulasa - powiedziała. - Dawno temu. Na balu. Byłam wtedy jeszcze smarkata. To był zdaje się jeden z twoich kumpi? - Zaniepokojona dodała: - Masz broń?

Pokazał jej nagie dłonie uniesione w górę.

- To lepiej - zauważyła poważnie. - Zastrzeliliby cię, gdyby wiedzieli, że jesteś uzbrojony.

- I tak to zrobią - odpowiedział równie cicho. - Przynajmniej niektórzy z nich. .

Potrząsnęła głową i odrzuciła do tyłu włosy tym samym gestem, którym zrobiła to Jeanne przed dwoma godzinami. Teraz wydawało mu się, że było to sto lat temu. Ach, moc na

powrót znaleźć się w bezpiecznej służbówce!

- Nie wiadomo - szepnęła dziewczyna - masz jeszcze jedną szansę.

Zaprowadziła go w głąb pokoju, gdzie pod tapetą ukryte były drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, i szepnęła:

- Tędy się wydostaniesz. Używamy tego wyjścia, kiedy robimy skok zespołowo.

Muszka domyślił się, o co chodzi. Podczas gdy jedna dziewczyna - ta bardziej seksowna - załatwiała klienta, druga cicho otwierała drzwi i przeszukiwała jego ubranie.

- Okno wychodzi na podwórze - dodała blondynka. - Dostaniesz się na dół po rynnie, a stamtąd przejdiesz pod arkadą na ulicę Saint-Denis. Idź już.

Muszka wyciągnął garść banknotów. Odepchnęła jego rękę.

- Nie obrażaj mnie.

- Będą cię przyciskać?

- Nie muszę wiedzieć, kim jesteś. A zresztą możesz mi zaufać. Potrafię grać tak, że Bardotka przy mnie wysiada.

Mocną dłonią ścisnął jej ramię.

- Dziękuję.

Przytrzymała uniesioną tapetę, żeby mógł przejść przez ukryte drzwi. W minutę później sklepieniem przejściem przedostał się na ulicę Saint-Denis i wskoczył do przejeżdżającej taksówki.

Dziewczyna odczekała jeszcze jakiś czas, zanim przystąpiła do odegrania ostatniej sceny ostatniego aktu. Scigany bandyta musiał trochę zyskać na czasie! Następnie podniosła kurtynę... Otworzyła kurki bidetu na cały regulator, zdjęła małe jedwabne majteczki i wykrzyknęła ze zdumieniem w głosie:

- Którędy się wybierasz? Co ty wyprawiasz? Zgłupiałeś?

Zostawiła lejącą wodę i stuknęła głośno zamaskowanymi drzwiami, a następnie hałasując oknem w przyległym pokoju, zawołała w ciemność:

- Hej! Zwariowałeś? Dokąd tak lecisz?

Wróciła teraz do pokoju, zakręciła kran i udając oburzenie

zaczęła wyrzekać:

- Coś podobnego! Cóż to za facet? Jakiś stuknięty! Zboczeniec! Znowu jakiś z zachciankami. Żeby uciekać tamtędy! Coś takiego...

Drzwi od korytarza zatrzęsły się od niecierpliwych uderzeń.

- Eliana! Eliana! Otwórz, to ja, Paul!

Eliana otworzyła, udając zaskoczenie. Zgrywała się z powodzeniem na uciśnioną niewinność.

- Ach, to pan, panie Paul?

Popychany przez Le Goffa i Rondiera hotelarz dopytywał się niespokojnie:

- Gdzie się podział ten typ, z którym tu weszłaś? Coś ty mówiła przed chwilą?

Z kolei wpadł do pokoju Serisky, podczas gdy Le Goff wychylony przez okno sąsiedniego pokoju wpatrywał się w ciemność.

- Wyprzedził nas - powiedział stojący obok Rondier.

Serisky w jednej chwili wykonał półobrót i ryknął do tych, co stali na dole:

- Otoczyć okoliczne domy! Ogłosić alarm! Szybko! Podejrzany zwiął.

- No więc? - pan Paul usiłował dowiedzieć się czegoś od dziewczyny. - Co ci się stało?

Wskazała na bidet, z którego zwisał mokry ręcznik.

- Myłam się właśnie, kiedy...

Le Goff i Rondier, którzy wrócili do pokoju, przyglądali się jej uważnie.

- Kiedy co? - próbował ją zachęcić Rondier.

Dziewczyna przeniosła wzrok na policjantów. Jej spojrzenie było niewinne, a twarz aż prosiła się o pocałunek przebaczenia. Rzeczywiście Bardotka i Moreau odpadały przy niej w przedbiegach! Rozłożyła ręce ruchem Sary Bernhardt.

- Zupełnie nie rozumiałam, czego chciał ten pan. Nagle ulotnił się, nic mi nie mówiąc. I to którądy... Jakiś pokrecony widocznie. Wszyscy zresztą jesteście tacy sami.

Gestem pełnym oburzenia wskazała drzwi do sąsiedniego pokoju.

- Nigdy go pani przedtem nie widziała?

- Nigdy - odpowiedziała siostra miłosierdzia, otwierając szeroko niewinne oczęta. - A wy czego od niego chcecie?

Potem zwracając się do pana Paula, aż wijącego się z chęci dogodzenia tym panom, którzy mogli mu zamknąć jego dom schadzek, dodała:

- Kto to był, ten typ?

- Zamknij się! - wrzasnął Rondier, którego dobrodusz- ność była już na wyczerpaniu. - Dobrze wiesz, kto to był! Powiedz nam zaraz, dokąd zwiął. Jak był ubrany? Co mówił? Czy miał jakieś tiki? Jaki miał akcent? Co palił?

Eliana zgarnęła różowe jedwabne majteczki, obszyte czarną koronką.

- Odwróćcie się, żebym mogła się ubrać - zażądała.

Rondier wzruszył ramionami.

- Jesteśmy przyzwyczajeni, nie krępuj się.

- Owszem, ale ja nie jestem - odpowiedziała prostytutka. - Nie wobec glin.

Le Goff odwrócił się w kierunku Rondiera, który oglądał jakiś niedopałek w popielniczce.

- Co to za gatunek?

- Pall-mall.

- Jego ulubione papierosy - zauważył szef. - To mógł być rzeczywiście on.

I zwracając się do dziewczyny:

- Pójdzie panienka z nami. Potrzebne nam są informacje o tym człowieku.

- Ale ja przecież nic nie wiem! - obruszyła się blondynka.

- Może się okazać, że wie panienka więcej, niż się jej wydaje - powiedział Le Goff, kierując się w stronę wyjścia.

- Jazda, zdziro - Rondier strzelił palcami.

- A to? Jeszcze dostanę kataru! - prostytutka potrząsnęła trzymaną w ręku jedwabną bielizną.

- To się przyodziej, skarbie - odburknął Rondier. - Już się odwracam.

I popychając przed sobą hotelarza ruszył w stronę drzwi.

Wysiadłszy z taksówki Muszka wskoczył do ostatniego metra, po czym na pierwszej lepszej stacji powrócił na powierzchnię i znowu wziął taksówkę, której kazał się zatrzymać w dość dużej odległości od domu Salvatore. Zrobił to z rozsądku, bo przez chwilę miał szaloną ochotę przespacerować się po Saint-Ouen, gdzie mieściła się jego restauracja, „Pod Kaczorem”. Ale po zastanowieniu stwierdził, że w knajpie nie może się pokazać. Z pewnością go szukają. A zresztą, co by mu to dało? Jego córka Martine z pewnością już spała, jej matka również. Mogą sobie pogratulować sprytu, że żeniąc się zastrzegł sobie rozdział majątkowy. Knajpa była na imię Germaine, jego żony, dzięki czemu policja nie mogła na niej położyć łapy. Przynajmniej „Kaczor” zapewniał im codzienny befsztyk. Aby uniknąć nieprzyjemnych pytań sąsiadów i klientów Germaine sprowadziła brata, żyjącego skromnie na prowincji. I to on był teraz szefem w restauracji. Prosperowała nie gorzej niż za czasów Muszki, tyle że przy barze nie toczono już obecnie namiętnych dyskusji na temat łowienia pstrągów i sztuki zarzucania przynęty.

Smagany strugami deszczu, bandyta przeszedł pośpiesznie ostatnie metry dzielące go od domu Salvatore. Nacisnął automatyczny przycisk otwierający drzwi, wszedł i strząsnął wodę z płaszcza, mrużąc oczy w oświetlonym przedpokoju. Gdy zbliżał się do schodów, otworzyły się drzwi prowadzące do cukierni i ukazał się w nich Aldo. Muszka znieruchomiał, zaskoczony.

- Chodź - powiedział szeptem Sycylijszyk.

Za jego plecami rysowały się w półmroku sklepu półki z konserwami. Przepuścił Muszkę przodem i zamknął drzwi.

- Ojciec wrócił przed dwoma godzinami.

Skinął głową w stronę jasno oświetlonej jadalni, widocznej w głębi. Muszka zmarszczył brwi. W fotelu siedział Salvatore, trzymając na kolanach uśpioną Cecylię, i rozmawiał po angielsku z kimś niewidocznym. Zrobił parę kroków w kierunku ciepłego światła jadalni. Cała rodzina była w

komplecie. Nawet Maria, która widocznie wstała z łóżka, by nakarmić męża, bo spod czarnej sukni widać jej było rąbek koszuli, nakrywała teraz do stołu. Poza osobami, które Muszka znał, był tam również jakiś nieznajomy mężczyzna, siedzący po drugiej stronie niskiego, okrągłego stolika, przy którym siedział Salvatore. Miał rudoblond włosy ostrzyżone na jeża i okrągłe rumiane policzki. Okaz zdrowia, gdyby nie lekkie drżenie rąk. Pijak? Możliwe, bo jego jasnoniebieskie oczy były jakby zamglone. Gdy Muszka wszedł, stary Sycylijczyk zwrócił się do niego surowo:

- Nie powinieneś być wychodzić - powiedział zamiast powitania. - Nie miałeś prawa. Ustaliliśmy to przecież między sobą, jeśli się nie mylę.

Ostry ton, jakim zwrócił się do niego stary, bynajmniej mu się nie podobał. Nikt nigdy nie ośmielił się besztać go w ten sposób. Ale tu on zawinił. Powstrzymał się od niegrzecznej odpowiedzi, która mogła wszystko zepsuć, i przyjął naganę.

- Nie mogłem już wytrzymać - przyznał. - Przez rok odsiadki nie widziałem dziewczyny, więc...

Siedzący w kącie Sergio parsknął śmiechem, któremu zawtórował nerwowy chichot Jeanne. Stary zgromił ich spojrzeniem i powrócił do Muszki.

- A gdyby tak szli za tobą i nas nakryli? Wszystkich nas naraziłeś. Podjęliśmy dla ciebie kosztowne ryzyko.

- Za znaczki warte sto dziesięć milionów — wtrącił sucho Muszka.

Opalona dłoń starego przestała gładzić kędzierzawą głowę Cecylii.

- Sto piętnaście - sprostował. - Ale to była forsa za udzielenie ci pomocy w ucieczce. A nie za ukrycie. Nie mieliśmy obowiązku sprowadzać cię tutaj.

Muszka otwierał już usta, żeby odpowiedzieć, ale uprzedził go głos starego, władczy, ostry i jednocześnie opanowany:

- Nie mamy powodu dawać ci prezentów. Nie jesteś jednym z nas. Respektowaliśmy nasz kontrakt i dotrzyaliśmy obietnic. Dotrzymuj swoich albo zjeżdżaj. Aldo da ci pieniądze. Nigdy nie pluję na leżącego.

Wstał z fotela, a Cecylia, która ssła palec przez sen, cicho zajęczała. Teresa podeszła, by ją zabrać, ale stary, zanim oddał swój ciężar, stanowiący jednocześnie jego słabość, nakreślił dużym palcem znak krzyża na czole, do którego przyłgnęły czarne loki, wilgotne od snu. Dziewczynka zamruczała i Salvatore poczekał, aż zniknęła za drzwiami, wyniesiona przez matkę, po czym znów zwrócił się do Muszki.

- Masz dwa wyjścia. Możesz jeszcze wyjechać i wówczas tym gorzej dla naszej sprawy. Ale jeżeli powiesz „tak”, będziesz musiał robić to, co ja powiem. Tu wszyscy robią to, co ja każę. A teraz słucham cię.

Nieskończenie długi oddech wydobył się z piersi zbiega. Nie był przyzwyczajony, żeby ktoś wstawiał takie mowy. Ale zasłużył sobie na to. A co więcej, był od starego zależny. Później, może... gdyby się nadarzyła okazja... powie mu wtedy, co sobie myśli o tym jego zgrywaniu się na patriarchę. Zdjął płaszcz, na znak, że chce zawrzeć pokój.

- Niestety - wyznał - wiem, że zrobiłem źle. Ale za wszelką cenę musiałem mieć dziewczynę.

Chmurna twarz starego rozpogodziła się nieco, co oznaczało, że przyjmuje wyjaśnienie.

- Nie było kłopotów?

Morderca zawahał się, czy nie skłamać, po czym wyznał:

- Owszem. O mało co nie dałem się nakryć w hotelu. Ciągle jeszcze nie wiem, co się właściwie stało.

- Musieli cię rozpoznać - stwierdził Salvatore. - Chyba, że była to zwykła obława... Ale możesz wpaść przy byle głupstwie.

- Myślę, że to raczej o mnie chodziło - powiedział Muszka. - Może mimo wąsów i całej reszty ciągle jeszcze można mnie rozpoznać?

- Jeszcze jeden powód, żeby się nie ruszać z miejsca - zauważył Salvatore, siadając przy dużym stole i dając wszystkim znak, żeby poszli za jego przykładem.

Począł, aż Jeanne napelni wszystkim kieliszki grappą, skinął głową Marii, która poszła położyć się z powrotem, po czym zapalił jedno ze swych sękatych cygar i wycelował je w

nieznajomego, siedzącego po jego prawej stronie.

- To jest Jack. Pochodzi z Brooklynu i nie mówi po francusku.

Muszka ze swego miejsca pozdrowił Amerykanina, a tymczasem stary mówił dalej:

- Jest pilotem Boeinga, przysłanym do nas przez mojego przyjaciela Frankie.

- Więc uważa, że sprawa da się załatwić! - wykrzyknął Muszka, zachwycony szybkością, z jaką tam, w Stanach, podejmowano decyzje.

- Naturalnie - odpowiedział stary. - To tylko kwestia starannego przygotowania. Ale to nie jest zwykły napad rabunkowy. Wymaga poważnych środków. Frankie żąda dla siebie połowy całej sumy.

- Wydaje mi się to trochę dużo - zauważył Muszka.

- To mu się należy - uciął Salvatore. - Tam na miejscu będzie potrzebował wielu ludzi, a poza tym Frankie z zaskakującą dywizyjną precyzją zajmuje się drobnicą.

Muszka zaciągnął się pall-mallem.

- Ponad piętnaście milionów, drobnica? Czy to trochę nie przesada?

Stary przestał ogrzewać w dłoni kieliszek z alkoholem i opróżnił go jednym haustem, po czym rzucił, niemal pogardliwie:

- Jeżeli Frankie się zgadza, to częściowo dlatego, żeby mi zrobić przyjemność, a częściowo, ponieważ nigdy nie odmawia, gdy chodzi o poważną sprawę. Ale żeby nie wiem jak długo żył, nigdy nie przeje swojego majątku Ludwik!

Berlińczyk otworzył skórzaną teczkę, wyciągnął z niej plan, rozłożył przed swoim teściem, który mówił dalej pod adresem Muszki, ale tym razem po angielsku:

- Oto co proponuje Frankie. Na tym planie jest przedmieście Nowego Jorku. Tutaj... 35 kilometrów od miasta... - palec wskazujący starego zatrzymał się na jakimś punkcie mapy - ...znajduje się odgałęzienie autostrady, wykończone, ale zamknięte dla ruchu do pierwszych dni sierpnia. Jest tam zupełnie pusto, ponieważ nie możemy lądować ani na lotnisku

nowojorskim, ani na La Guardia, zdecydowaliśmy, że wylądujemy na tym odgałęzieniu.

- A stamtąd on? - wtrącił Muszka, wskazując Amerykanina, który kwitował skinieniem głowy każde słowo starego, wypowiedziane przez niego w złej angielsz- czyźnie.

- A stamtąd Jack - potwierdził Salvatore. - W swoim czasie był jednym z asów PANAM-u.

- Był? - przerwał znowu Muszka.

- Zwolniono go - wyjaśnił Ludwik po francusku. - Trochę za dużo pociągał i popsuł mu się refleks.

Muszka przyjął wyjaśnienie, a tymczasem Salvatore ciągnął dalej, z palcem na mapie:

- Jack wylądował na tym odgałęzieniu. Ma trzy kilometry, więc zastąpi z powodzeniem pas startowy.

- To będzie już noc! - zaniepokoił się Muszka. - Odlatując stąd o północy będziemy tam około pierwszej rano, wliczając w to zmianę czasu.

Stary podniósł głowę. Jego czoło pokryte było zmarszczkami.

- Słusznie, ale ludzie Frankiego oznakują teren i będą na nas tam czekać, na nas i na biżuterię.

- A co z pasażerami? Należałoby ich uciszyć i unieszkodliwić.

Głos Muszki, gdy mówił, stał się nijaki, beznamiętny, a mimo to powiało od niego mrozem. Wszyscy z wyjątkiem Jacka, który nie rozumiał, o co chodzi, spojrzeli na niego niemal ze zgrozą. Niemożliwe, żeby myślał o...

- Nie masz chyba zamiaru załatwić ponad sto osób? - zachnął się Salvatore. - Nigdy się na to nie zgodzę. Nikt się nie zgodzi.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Muszka - nie chodziło mi o to, żeby ich zabijać. Chociaż zdarzyło się kiedyś chłopcom, że podrzucili bombę w samolocie, żeby podjąć ubezpieczenie jednego ze swoich, ale...

Salvatore przerwał mu ruchem dłoni. I stwierdził sucho:

- Znajdzie się jakiś sposób do chwili odlotu. Mam pewien pomysł. A raczej Frankie i jego sztab wpadli na ten pomysł. Wróćmy teraz do ciebie. Tu nie jesteś na nic potrzebny,

przeciwnie. Za dwa, trzy dni każę cię odwiedzić do mojej posiadłości. Jacka również. Kobiety zajmą się wami. Nikt nie powinien domyślić się, że tam jesteście, więc same będą was żywiły. A my tu przygotowujemy cały interes. Ludwik, postarasz się o fałszywe papiery, wiesz gdzie. I świadectwa szczepienia. Każdy z nas da ci swoją fotografię. Sergio i Aldo, zajmiecie się jubilerami, macie ich pilnować, mieć oczy i uszy otwarte. Ale dyskretnie. Potem zajmiemy się ekwipunkiem i bronią.

- A moja córka? - zaniepokoił się Muszka. - Chciałbym bardzo zobaczyć się z nią, zanim się zamelinuję.

Znowu wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. O ile przed chwilą ton jego głosu był zimny, o tyle teraz stał się ciepły i ludzki. Salvatore przyglądał mu się, zagryzając wargi.

- Pomyślę o tym i postaram się, żebyś się z nią spotkał przed wyjazdem - obiecał. - Ale musimy być ostrożni.

- A co z upłynnieniem? Nic jeszcze o tym nie mówiłeś?

Raz jeszcze wszyscy spojrzeli na Muszkę. Ale tym razem z niechęcią. Odchrząknął i poprawił się, wściekły na siebie, że poniża się do obyczajów panujących w tym klanie.

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć, że zapomnieliście to omówić.

- Frankie powiedział mi, że po ekspertyzie sam zajmie się swoją częścią.

- A co z naszą?

- Gotów ją od nas odkupić.

- No tak, ale kto mógłby ją dla nas wycenić?

Nikły uśmiešek przemknął po znudzonej twarzy Sycyliczyka.

- Oni też tam mają specjalistów. Nie gorszych niż w Europie.

- Ale my ich nie znamy.

- Frankie jest przyzwyczajony z nimi pracować.

- Ale ja nie!

W okrzyku Muszki czuło się nieufność. Nozdrza Salvatore zwężyły się.

- Frankie jest moim przyjacielem.

- Moim nie jest!

Głowy zwracały się to ku jednemu, to ku drugiemu, przy każdej odpowiedzi. Z wyjątkiem Amerykanina, który nie rozumiał, zajęty opróżnianiem kolejnych kieliszków grappy.

- Wobec tego, jeżeli znasz w Europie pasera gotowego wyłożyć na stół „cash” dziesięć czy piętnaście milionów za kradzioną biżuterię, to zgoda - udał, że ustępuje, stary Salvatore. - Przywieziemy naszą część tutaj.

Na słowo „cash” pilot podniósł głowę.

- Przyznaję, że żaden paser nie może dysponować taką kupą forsy - mruknął Muszka. - Ale może w Antwerpii... gdyby się zebrali w kilku...

- Im więcej ludzi w to wciągniemy, tym bardziej będziemy narażeni na przecieki - podjął stary. - Za to tam, w Stanach, Fratikie może nam to najlepiej zorganizować. Prawdę mówiąc, poza nim na całym świecie nie ma nikogo, kto mógłby dać sobie radę z taką sprawą. Jeżeli chodzi o mnie i moich ludzi, załatwię to z nim. Ty ze swoją częścią zrobisz, co zechcesz.

- Chcę, żeby jakiś człowiek, którego dobrze znam, był tam przy wycenie - upierał się Muszka.

- Niemożliwe - oświadczył Salvatore. - Frankie by się obraził.

- Ale ja sam bym mu wytłumaczył...

- Nic nie będziesz mógł mu wytłumaczyć - uciął krótko Sycylijczyk. - W ogóle go nie zobaczysz. Nie zobaczy go zresztą nikt poza mną. Frankie nigdy się nie pokazuje. Wyłącznie finansuje i wydaje rozkazy.

- A to dobre! - oburzył się bandyta.

- Kupisz, nie kupisz, wolna wola - rzucił bezlitośnie Salvatore. - Gdybyś chciał się teraz z całej sprawy wycofać... Tym bardziej że zastanawiam się, jak się dostaniesz do samolotu, kiedy cię wszędzie szukają...

- Chyba nie macie zamiaru wysłizgać mnie teraz z interesu! - Muszka aż podskoczył. - Zdaje się, że to ja go wam nadałem!

- Czemu nie? - odparował stary. - Skoro się z nami nie zgadzasz.

Bandyta zerwał się na równe nogi. Wrodzona gwałtowność brała w nim górę. Wykrztusił z wściekłością:

- Do jasnej cholery, nikt jeszcze nigdy...

Głęboko zakorzeniony refleks sprawił, że jego ręka powędrowała w kierunku biodra, w poszukiwaniu broni. Teraz wszystkie spojrzenia wyrażały potępienie.

- W twojej sytuacji nie powinieneś sobie pozwalać na przekleństwa. A poza tym ja nie lubię, kiedy ktoś klnie w mojej obecności. A jeszcze bardziej nie lubię, kiedy mi grożą.

Muszka obrzucił szybkim spojrzeniem rodzinę Manale- se. Wszystkie twarze stały się twarde i niechętne. Tylko w żrenicach Jeanne migotało jakieś światełko, w którym nie było wrogości. Usiadł z powrotem na swoim miejscu. Skapitulował.

- O.K. Zrobimy tak, jak zdecydowaliście.

Salvatore zaciągnął się cygarem i przyjrzał mu się przez obłok cierpkiego dymu.

- Tak, to co innego. Będziesz musiał mi również zaufać w sprawie wypłaty.

- To znaczy?

- Że zebranie pieniędzy po ekspertyzie zajmie trochę czasu.

- I co z tego?

Mimo woli Muszka znowu podniósł głos. Stary przyglądał mu się chwilę, zanim powiedział:

- To z tego, że mnie tam nie będzie, żeby się z tobą rozliczyć. Nikogo stąd tam nie będzie. Jak tylko wyjdziemy z samolotu, wszyscy, z wyjątkiem Jacka, wracamy natychmiast do Francji. I to każdy inną drogą. Zaraz po przyjeździe i przekazaniu biżuterii każdy dostanie paszport i rezerwację na samolot. Jedni do Rzymu, inni do Madrytu albo Genewy. Tylko ja i Teresa wrócimy na Orly. A i to nie razem.

Muszka wytrzeszczył oczy.

- Przecież wasza córka...

Stary pochylił głowę.

- Jeanne też pojedzie. Mamy zajęcie dla obu. Przemyśleliśmy z Frankie szczegółowo całą historię. Uważamy, że natychmiastowy powrót jest najbezpieczniejszy. W Stanach rozszaleją się gliny, a ich kapusie zaczną węszyć. Na pewno wyznaczą kolosalną nagrodę. Każda nowa twarz będzie narażona na denuncjację, a lotniska tak obstawią, że mucha nie przeleci. Ale nie tak zaraz. Wyjedziemy, nim zdążą się połapać,

a nie przyjdzie im nigdy do głowy, że ludzi, którzy dopiero co przylecieli, nie ma już w Ameryce. To całkiem logiczne.

Muszka, który był dotąd największym bandytą francuskim, zaczynał czuć się przytłoczony organizacją. Z syndykatem zbrodni nie ma żartów. Przestępcy francuscy byli przy nim pospolitymi łotrzykami. Był tym zaniepokojony.

- A co ja w tym wszystkim?

Stary wyciągnął rękę, strząsnął popiół na spodek i oświadczył:

- Ty, jak sądzę, będziesz chciał się ulotnić do Meksyku czy do Ameryki Południowej. Ja w każdym razie zrobiłbym to na twoim miejscu. Wspomniałem o tym Frankiemu. Nowojorscy dokerzy są pod jego kontrolą. Chłopcy od niego znajdą ci jakiś statek do Veracruz. Nie ma sprawy.

- A moja część? W jaki sposób ją odbiorę?

- Dostarczy ci się ją, kiedy już znajdziesz sobie melinę.

- Kto mi zaręczy, że mnie nie wyrołużą?

- Moje słowo.

- To mi nie wystarcza.

Pod wpływem obelgi krew odpłynęła z twarzy starego. Aldo z zaciśniętymi w furii szczękami zrobił gest, jakby chciał się rzucić na Muszkę, ale wmieszał się Ludwik Berlińczyk.

- Nie powinieneś odzywać się w ten sposób - powiedział lodowato.

Jego teść chciał go powstrzymać, ale Muszka już zorientował się, że za wiele sobie pozwolił, i zwrócił się do Aida:

- Przepraszam.

Następnie, patrząc znowu na starego, który zacisnął szerokie i twarde palce, aż pękło w nich cygareto, powiedział:

- Przykro mi, panie Salvatore. Naprawdę mi przykro. Ale...

- przetarł ręką czoło - ...ale trzeba mnie zrozumieć.

Jestem ścigany. Jeżeli mnie gliny nakryją, życie moje nie będzie warte funta kłaków. W głowie mi się już mąci od tego wszystkiego i zaczynam gadać od rzeczy. Zdam się na was. We wszystkim.

W ciszy, jaka teraz zaległa, ważyły się jego losy. Przez chwilę nikt jej nie przerywał. Amerykanin, który co prawda

nie rozumiał, o co chodzi, wyczuwał, że sprawy nie idą gładko, i czekał sącząc grappę. Ten to mógł wypić! I prawie nie było tego po nim widać. Może ręce drżały mu trochę bardziej, a oczy były bardziej błyszczące, ale nic poza tym. Wreszcie westchnienie wydobyło się z piersi Salvatore, który przez cały czas nie spuszczał Muszki z oczu.

- Nie masz wyboru - rzucił przez stół. - Teresa!

Córka, która właśnie wróciła do pokoju, zbliżyła się do niego, czekając, aż zapali nowe cygaro.

- Zaprowadzisz naszego Amerykanina do pokoju na pierwszym piętrze - powiedział wstając. - Życzę wam wszystkim dobrej nocy.

Za jego przykładem cały klan z szacunkiem wstał. Miękkim ruchem Salami zsunął się z fotela, na którym drzemał z przymkniętym jednym okiem. Trzymając w ręku swoje nieodłączne, podłe cygaro, z foksterierem depczącym mu po piętach, stary udał się w głąb mieszkania, gdzie znajdował się jego pokój. Zanim jednak zamknęły się za nim drzwi, odwrócił się jeszcze.

- Jeanne! Żeby cię więcej nie widział w tych nieprzyzwoitych kieckach pod moim dachem. Nie rozumiem, Aldo, że na to pozwalasz...

Zniknął w pokoju, gdzie w wielkim łóżu, pod złotym krucyfiksem, którego autorstwo przypisywano Benvenuto Celliniemu, czekała na niego Maria. Pozostała w jadalni Jeanne poczerwieniała, słysząc uwagę na temat swojej minispódniczki, a Sergio wybuchnął śmiechem, bynajmniej nie świadczącym o szacunku dla bratowej.

XI

Eliana, prostytutka z ulicy Blondel, pan Paul, portier z hoteliku i właściciele bistra, którzy zawiadomili Le Goffa telefonicznie - wszyscy będą pamiętali tę noc. Od poprzedniego wieczora musieli odpowiadać na podchwytliwe pytania policjantów z Brygady. Musieli podawać rysopis mordercy, opisywać jego charakterystykę, wygląd, wszystko, co zauważyli,

a co miało z nim jakikolwiek związek. Zwłaszcza Elianę wzięto w krzyżowy ogień policyjnych pytań. Do licha! Przecież zetknęła się bezpośrednio z wrogiem publicznym! Rondier, Serisky, Le Goff, Merlu, a nawet Toupir, który powinien teraz wyciskać zeznania ze swojej bandy włamywaczy - nie odstępowali jej na krok. Ale dziewczyna była twarda. Odstawiała pierwszą naiwną, odpowiadała, że nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia. Że to przecież nie jej wina, że morderca ulotnił się przez drzwi do sąsiedniego pokoju. Ostatecznie to nie ona zainstalowała te drzwi! Pan Paul usłyszał więc, że pasy będą z niego drzeć za to, że nie powiedział gliniarzom o ich istnieniu. Nie przyszło mu to do głowy, temu łobuzowi! Ci z Brygady wściekali się, że chybili bandytę o włos! Teraz nie mieli już co do tego najmniejszej wątpliwości, znaleźli wyraźne ślady. Odciski palców na niedopałkach pall-malli, na popielniczce i na umywalce aż nadtawyraźnie świadczyły, że ich ukochany wróg zwiął im sprzed nosa. Szlag człowieka może trafić! Rysownik grupy dokumentacyjnej, wezwany w trybie alarmowym, ustalił nowy portret Sarteta na podstawie uzyskanych informacji. A o dziesiątej rano Le Goff zdecydował się odesłać wszystkich.

- Ale co z nagrodą, panie komisarzu? - bezczelnie dopominała się właścicielka bistra, popychana przez Serisky'ego w kierunku drzwi.

- Jak dotąd, nikogośmy nie zatrzymali - odpowiedział Le Goff, wyczerpany.

Żeby zaś wybić jej z głowy chęć dalszego upominania się, dodał:

- Serisky, odprowadźcie tych państwa na dół. I starajcie się, żeby się nie spotkali po drodze z Elianą albo z hotelarzem. Nie powinni dowiedzieć się, kto dostarczył nam informacji.

Trafił w dziesiątkę. Hektor, który drapał się zapamiętałe w wyhodowaną przez noc szczeciniastą brodę, gorąco doradził ostrożność swej opasłej małżonce.

- Przestań się upominać. Chodźcie już! Pan komisarz ma rację. Gdyby przypadkiem Eliana albo Paul dowiedzieli się, że to ty zadzwoniłaś na policję, uszyliby nam takie buty w całej

dzielnicy, że musielibyśmy zamknąć bistro.

Przywołana w ten sposób do porządku przypomnieniem o swojej małej podłostce nienasycona łowczyni nagród potoczyła się w ślad za swym Hektorem.

Pozbywszy się wreszcie całego towarzystwa Le Goff poglądził podbródek, na którym również zaczynała kiełkować broda. Podeszedł do okna i otworzył lufcik, by wypuścić dym, który nabierał się przez noc. Świeże wiosenne powietrze owiało mu czoło. Jak często zdarza się o tej porze roku, pogoda nagle zmieniła się i niebo, jeszcze wczoraj ołowiane, było dziś niebieskie. Może poczciwi ludzie będą mogli zaśpiewać: „Majowe słoneczko, kiedy nam powrócisz?” Le Goff nabrał w płuca głęboki haust rześkiego powietrza, wrócił do swego biura i włączył w kontakt maszynkę do golenia, stojąc przed obrazem przedstawiającym Don Kichota, który matka ofiarowała mu mówiąc, że pewnie zawsze będzie walczył z wiatrakami, zaczął się zastanawiać nad sprawą Sarteta. Przez zamknięte drzwi do drugiego pokoju dolatywały głosy Toupira i Gibota, przybyłych w charakterze posiłków i pocących się teraz nad młodymi włamywaczami, nadal bynajmniej nie skłonnyymi do zwierzeń. Wredne chłopa- czyska! Kiedyś, w epoce heroicznej, dawno by się już przyznali! W czasach, gdy pytania zadawało się brutalnie. Ale dziś metody się zmieniły. Gliny w rodzaju Le Goffa były z nowej szkoły, walczyli ze zbrodnią przy użyciu głowy, a nie przy pomocy pałki i podkutych butów. Policja śledcza miała metody współczesne. Ich rezultaty były zresztą równie dobre. Według statystyk nawet lepsze.

Le Goff skończył się golić i nacisnął guzik wewnętrznego telefonu.

- Rondier, za dziesięć minut wszyscy ludzie z Brygady mają być zebrani w sali konferencyjnej. Ci, którzy mieli nocną służbę i ci, którzy ją obejmują. Nikt nie ma wychodzić w żadnej sprawie przed tym zebraniem. Zawiadomcie również szefów innych służb, że chciałbym się z nimi porozumieć.

Wyłączył wewnętrzny telefon i zapalił gitana, wyrzucając zapalną do popielniczki, na której była wygrawerowana jego

dewiza: „Kto wątpi o sukcesie - już przegrał”. Przerzucił jeszcze raporty, zadzwonił do domu, pytając, co słyhać, i udał się w towarzystwie Toupira na salę konferencyjną.

Mimo wczesnej pory wiele miejsc było już zajętych. Ucisnął dłonie kolegów z brygad do walki z narkotykami i kryminalnej, po czym wszedł na podium, gdzie na tablicy przypięto dwa powiększone portrety Muszki. Jeden był straszny, jak wszystkie portrety antropometryczne, drugi, wyretuszowany przez rysownika, przedstawiał Muszkę tak, jak opisali go świadkowie z ulicy Blondel: w baskijskim berecie, w okularach, z niezbyt jeszcze obfitymi wąsami. Oglądając je obok siebie widziało się dość wyraźne podobieństwo, ale ktoś nieświadomy, spotykając przestępcę na ulicy mógł mieć wątpliwości. Le Goff powstrzymał ziewnięcie, wziął do ręki linijkę i wskazując portret nr 1, zaczął:

- Oto Sartet, jakiego wszyscy znamy. Taki, jakiego pokazały wszystkie dzienniki.

Linijka powędrowała do drugiego portretu.

- A oto on, taki, jakim widziano go wczoraj wieczorem. W tej chwili nasza służba fotograficzna wykonuje miliony odbitek i...

Przerwał, ponieważ na salę wszedł naczelnik policji śledczej i stanął przy drzwiach, opierając się o futrynę. Le Goff uklonił mu się. Pozostali koledzy chcieli wstać, ale „wielki manitou” dał im znak, żeby się nie ruszali, a jednocześnie zrobił gest w kierunku Le Goffa, żeby mówił dalej.

- A więc każdy z was otrzyma ten nowy portret mordercy. Chciałbym, żeby poszukiwania prowadzone były dyskretnie. Zaraz to wyjaśnię.

Odłożył linijkę na biurko i oparty na nim oburącz kontynuował:

- Jeżeli podamy tę informację do prasy, może nam się oczywiście udać. Ktoś może zawiadomić nas natychmiast o kryjówce Sarteta. Ale to nie jest pewne. Przeciwnie, możemy być pewni, że z chwilą, kiedy zobaczy w dziennikach swój portret odtworzony przez nas na podstawie uzyskanych informacji, zmieni charakterystykę, wskutek czego stracimy

szansę ujęcia go. Zastanawiam się zresztą...

Le Goff przerwał i zagryzł wargi.

- Nad czym się zastanawiacie, Le Goff? - zachęcił go naczelnik.

- Zastanawiam się, czy ktoś jeszcze widział Sarteta w tym przebraniu, poza świadkami, którzy złożyli zeznania na temat wczorajszego wieczoru. Znowu chciałbym wyjaśnić: wiemy już obecnie, że Sartet musiał otrzymać poważną pomoc, żeby zrealizować tę ucieczkę. A zatem ludzie, którzy mu pomogli, posiadają środki umożliwiające mu takie ukrycie się, żeby nie musiał ryzykować, pokazując się niepotrzebnie.

Na twarzach policjantów zebranych na sali malowało się zrozumienie.

- Musimy się więc przycziąć. Na razie nie zawiadamiamy prasy i nie przekazujemy jej portretu pamięciowego. Starajmy się uspić czujność Muszki. Jak już wspomniałem, i tak jestem zadowolony, że jeszcze nie wyjechał z Francji. Niech tu zostanie, bo dzięki temu będziemy go mieli. Należy działać delikatnie. Każdy policjant powinien mieć przy sobie jego nowy rysopis. Miejscowe brygady niech i przetrząsną swoje dzielnice ulica po ulicy. Żandarmi niech pilnują każdej wioski i każdego stawu, bo nie należy zapominać, że Sartet jest namiętym wędkarzem.

Le Goff zerknął na swojego przełożonego, który dał mu znak, żeby mówił dalej.

- I jeszcze jedno. Podczas przesłuchań dowiedzieliśmy się, że ci, którzy mu pomogli, mają psa foksteriera, wabi się Salami.

Na sali dały się słyszeć śmiechy, ale Le Goff zachował kamienny spokój. Żarty ani mu były w głowie. Zaabsorbowany był wyłącznie Muszką i jego aresztowaniem. Swój legendarny już upór koncentrował na ujęciu mordercy. Zauważył surowo:

- W tym wypadku również musimy pracować po cichu. Gdyby prasa opublikowała tę informację, dowiedzielibyśmy się prawdopodobnie, kto mu pomógł, ale Sartet wymknąłby się nam w mgnieniu oka. I prawdopodobnie na zawsze.

- Rzadko spotyka się psa o takim imieniu, nawet w Paryżu -

wtrącił szef brygady do walki z narkomanią. - To powinno nam pomóc w nakryciu przestępców.

Poparł go siedzący koło niego szef brygady kryminalnej:

- To może zająć trochę czasu, ale to ważna informacja. Salami! Co za pomysł, żeby dać psu takie imię!

- W związku z tym przyszło mi do głowy, że to mogą być Włosi - zauważył Rondier. - Nie wiem czemu, ale...

Le Goff przerwał mu:

- O tym właśnie myślałem. - Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Wszystko to jednak jest bardzo nieokreślone. A Paryż ogromny. A więc, panowie, każdy z was otrzyma nowy portret Sarteta oraz streszczenie wyników dotychczasowego śledztwa. Wydaje mi się, że to już wszystko. Bardzo wam dziękuję. Chyba, że ktoś chciałby jeszcze zadać jakieś pytanie...

Nikt się nie poruszył. Szef Brygady do walki z gangami zszedł z podium i natychmiast wpadł w objęcia dowódcy Brygady kryminalnej.

- Jak się miewa twój spadkobierca, Alanie?

- Kiedy zapisujesz go do Beaujon?⁴ - zażartował szef od narkotyków.

- Dużo jeszcze mleka musi wypić, zanim się tam zamelduje - wtrącił dyrektor, usiłując przekrzyczeć hałas odsuwanych krzesel.

Le Goff uśmiechnął się z wysiłkiem. Był wykończony. A czekała go jeszcze praca. Przeprosił wielkiego „kaida”, pożegnał się z kolegami i przywołał Toupira.

- Wracamy do biura. Musimy skłonić twoich młodocianych bandziorów do przyznania się przed dzisiejszym wieczorem. W przeciwnym razie wygaśnie okres prewencyjnego aresztu i będziemy musieli ich zwolnić.

I ruszył do siebie z papierosem w zębach, a za nim ludzie z jego brygady, którym również marzyło się spanie.

4 Beaujon - miejscowość, gdzie znajduje się szkoła oficerów policji.

XII

Martine, córka Sarteta, zjadła z matką obiad „Pod Kaczorem” i wracała teraz samotnie do rogu ulicy Pleyel. Słońce, które grzało jej policzki, wprawiało ją w radosny nastrój. Dziewczyna jednak nie uległa mu i miała się na baczności. Czowała, że ją śledzą. Nieznośna sytuacja! Od chwili, gdy jej ojciec ulotnił się z policyjnej sukni, tajniacy nie spuszczali z oka nikogo, kto mógłby ich naprowadzić na trop zwierzyny. Zatrzymała się na przystanku autobusu idącego do stacji Saint-Lazare, gdzie chciała kupić sobie buty. Teresa stanęła w pobliżu i gdy nadjechał autobus, wsiadła tuż za nią. Nikt za nimi nie wsiadł. O tej porze nie było tłoku, wszyscy byli w biurach albo w fabrykach. Martine usiadła, a Teresa zajęła miejsce naprzeciw niej. Konduktor przeciął bilety i odszedł. Oczy Teresy przez słoneczne okulary szukały spojrzenia Martine. Jej pełne czerwone usta wyszeptaly:

- Ojciec chce się z tobą widzieć. Wsiądź przy Guy-Moquet i idź za mną.

Martine drgnęła, ale szybko opanowała się. Wiadomo, po kim odziedziczyła zimną krew. I nie jej winą było, że ojciec nie zdołał kiedyś wymknąć się glinom. Od tamtej chwili nie zmieniła się, choć może jej świeżość dwudziestolatki sprawiała, że wyglądała ładniej niż kiedykolwiek. Przygnębienie po śmierci Trzyjabłka minęło niemal zupełnie. W tym wieku żałoba nie pozostawia śladów na twarzy. Niekiedy może w sercu. Martine często jednak wracała myślami do swego kochanka i strasznej tragedii, jaką przeżyła.

Dała Teresie znak, że zrozumiała, i przyjrzawszy się pasażerom stojącym na platformie zerknęła w kierunku strumienia samochodów, które zatrzymały się za autobusem. Nie zauważyła jednak zasłoniętego przez ciężarówkę Peugeota 404, z którego Barani przekazywał informacje:

- Biały do 142. Martine Sartet jedzie autobusem w kierunku dworca Saint-Lazare. Utrzymuj kontakt.

Przy Guy-Moquet Teresa wysiadła pierwsza. Martine podążyła za nią, wmieszana w grupę kilku pasażerów.

Rozejrzawszy się uważnie dokoła, Teresa poszła ulicą Jonquiére, zatrzymując się niekiedy przed wystawami sklepów. Martine szła powoli za nią, starając się nie stracić jej z oczu. Na rogu ulicy Jonquiére i Jean-Leclair Sergio, z gazetą w ręce, widząc zbliżającego się powoli Peugeota 404 z anteną, mruknął do swojej siostry przez zęby, nie zmieniając ani o włos pozycji:

- Idź dalej i nie wracaj. Ja się zajmę dziewczyną.

Teresa poszła dalej kręcąc siedzeniem, czym budziła zachwyt mężczyzn, odprowadzających ją łakomym wzrokiem. Kiedy Martine go mijała, Sergio obrzucił ją spojrzeniem rasowego podrywacza i ruszył za nią z uśmiechem, jednocześnie szepcząc:

- Niech pani nie reaguje. Proszę iść dalej, jak gdyby nigdy nic. Potem proszę zatrzymać się przed jakimś sklepem. Kiedy zobaczy pani w szybie, że mija panią szary Peugeot 404, proszę się powoli odwrócić, jak gdyby zmieniła pani zamiar. Czekam tu na panią w zielonym MG.

Martine nawet nie mrugnęła. Sergio widząc zbliżający się samochód policyjny, rzucił, udając, że ją zaczepia:

- Proszę udawać, że chce się pani pozbyć natrętnego nieznajomego. Proszę krzyknąć, żebym się odczepił.

Nadal opanowana, Martine zmarszczyła brwi i odegrała scenę dziewczyny zniecierpliwionej zaczepkami ulicznego Romea. Sergio, niewzruszenie uśmiechnięty, zawrócił na miejscu i odszedł nonszalanckim krokiem, jak ktoś, komu się nie powiodło i kto ma to w nosie. W dziesięć minut później Martine wsiadła do MG, oczekującego z zapalonym motorem.

- Gliny? - zapytał Sergio ruszając.

- Prawdopodobnie usiłują zawrócić - odpowiedziała dziewczyna. - Ale nie przyjdzie im to łatwo, bo mimo woli pojechali trochę za daleko.

- Zgubią nas - uspokoił ją Sycyljczyk.

Dziewczyna rzuciła mu bystre spojrzenie.

- Pan jest bratem Alda? Jest pan do niego podobny.

Sergio udał, że nie słyszy pytania.

- Zostawię panią na rogu ulicy Maria-Deraismes. Proszę

wejść na skwer Epinettes, przespacerować się i wybrać ławkę, w miarę możliwości wolną.

- Ojciec tam przyjdzie?

Sergio skręcał właśnie w górnej części ulicy Jean-Leclaire w prawo.

- Niech pani robi to, co się pani mówi - doradził sucho, zatrzymując wóz.

Dziewczyna przyjrzała mu się ukradkiem. Przystojny był ten facet. Ale sądząc z pozorów zupełnie niezabawny.

- Dziękuję - powiedziała wysiadając.

Ruszył pełnym gazem nie odwzajemniając nawet grzeczności. W swoim Peugeotzie 404 Barani zawiadomił Brygadę

- Straciłem kontakt. Chciałbym dostać pomoc celem przeszukania sektora.

- Zrozumiałem, Biały - odpowiedział mu ponury głos. — Zrobimy, co trzeba.

Gdy znaleźli się z powrotem na placu Guy-Moquet, Barani szturchnął łokciem kolegę, siedzącego za kierownicą.

- Przejedź się małymi uliczkami. Może będziemy mieć szczęście i trafimy na dziewczynę.

- Myślisz, że chce się tutaj spotkać z ojcem?

Barani wzruszył ramionami.

- Tu albo gdzie indziej, skąd mamy wiedzieć? W każdym razie do nas należy nie spuszczać dzień i noc z oka jej i jej matki, a właśnie ją zgubiliśmy. Może naprowadzi nas na jakiś ślad, a może nie, ale musimy traktować tę sprawę rutynowo. Czekaj, skręć w Jean-Leclaire, rozejrzemy się, czy jej tam nie ma.

Policjant posłuchał i Barani przez opuszczoną szybę lustrował przechodniów, ale nie mógł wśród nich znaleźć Martine. Przechadzała się w tej chwili po skwerze, jak polecił jej Sergio. Dzień był słoneczny, więc też wszystkie niemal ławki i krzesła były zajęte. Matki pilnowały dzieci, które robiły babki z piasku. Na krzesłach rozsiedli się starcy grający w karty i wykłócający się zawzięcie o groszowe wygrane. W ich pobliżu Martine znalazła wreszcie pustą ławkę. Usiadła i rozejrzała się. Nie zobaczyła nikogo, kto przypominałby jej ojca. Zapaliła

lucky-stricka i odsunęła się gwałtownie z wyrazem obrzydzenia, bo tuż koło niej usiadł jakiś kloszard. Nie mógł usiąść gdzie indziej, zawszony brudas? I jeszcze się drapie, wstrętny typ! Zrobiła ruch, jak gdyby chciała wstać. Nie miała bynajmniej ochoty, żeby oblażło ją robactwo! Nagle znajomy głos sprawił, że zatrzymała się, jakby wrosła w ziemię.

- ...dobry, córeczko. Zaczęłaś palić?

Zaskoczenie było zbyt gwałtowne. Dziewczyna, która zaciągała się właśnie papierosem, zakrztusiła się i zaczęła kaszleć. Koło niej głos, wywołujący tyle wspomnień, mówił:

- Nie odwracaj głowy. Patrz dalej na tę dziewczynkę, która bawi się łopatką.

Martine posłuchała, ale nie była w stanie powstrzymać się, żeby nie przyjrzeć się ojcu. Przypomniało jej się, co kiedyś powiedział Trzyjablek: „Żeby twój stary zrobił nie wiem co, zawsze będziesz go kochać”. Było to tego wieczoru, kiedy odkryła, że jej ojciec jest owym sławnym przywódcą bandy szarych koszul, Grubym Piętaszkiem, poszukiwanym przez wszystkie gliny. „To normalne - dodał wówczas Trzyjablek - przecież to twój ojciec”.

- Jak się czuje matka? - zapytał szeptem siedzący koło niej człowiek.

- Dobrze, tatku. Jasne, że to już nie to, co dawniej, ale...

- Rozumiem - mruknął Muszka przez zaciśnięte zęby, patrząc tępo przed siebie, choć tak bardzo by chciał...

Ubrany był w stare, niegdyś granatowe ubranie. Buty przywiązane były do nóg sznurkiem. Włosy zakrywała czapka ze zniszczonym daszkiem, a pofarbowane brwi były ciemniejsze niż zazwyczaj. Przez prawe ramię przewieszoną miał torbę, z której wyglądała butelka czerwonego wina. Gęsta, kręcona broda pokrywała jego policzki.

Zaczął zbierać z ziemi niedopałki i rozglądając się uważnie spod przymkniętych powiek mówił dalej.

- Musiałem się z tobą zobaczyć przed wyjazdem.

- Wyjeżdżasz?

- Na zawsze.

Dziewczyna poczuła, że coś nagle zaczyna dławić ją w gardle.

To prawda, że to jej ojciec. Był bandytą, owszem. Ale dla niej był zawsze samą dobrocią.

- Nie zobaczymy cię więcej?

Dozorca skweru przeszedł mimo nich, obrzucając kłoszarda podejrzliwym, twardym spojrzeniem. Przestępca natychmiast opuścił pokornie głowę. Dopiero kiedy tamten oddalił się, wraz z reprezentowanym przez siebie prawem, rzucił:

- Twojej matce pewnie nie zależy tak bardzo na tym, żeby mnie znowu zobaczyć. Zresztą ją rozumiem.

- Nie wierz w to, tatku! Oczywiście, że był to dla niej wstrząs, ale kocha cię nadal.

Muszka wyciągnął kartkę papieru i zawinął w nią zebrane niedopałki.

- Musisz ją namówić, żeby się rozwiodła. Powinna wyjść powtórnie za męża. Zależy mi na tym. Dla niej tak jak jest teraz, to gorzej, niż gdybym nie żył. Każ jej o mnie zapomnieć. I prosiłbym, żebyś jej nie mówiła, że mnie dziś widziałaś. Nie rób tego. Jest za słaba.

Skończył wykruszenie petów, zwilżył bibułkę językiem i dodał głucho:

- Chciałem ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Jesteś moim ojcem.

- Tak, oczywiście. Ale niezależnie od tego jesteś wspaniała. Bez ciebie nie mógłbym skontaktować się z Aldem i nie byłoby mnie tu dzisiaj.

Martine długo wpatrywała się w trzymanego w palcach papierosa, zanim odważyła się zapytać.

- Tatku? Czy to prawda, że zabiłeś kogoś podczas ucieczki?

Muszka nie od razu odpowiedział. Potarł zapałkę o wewnętrzny brzeg spodni, przytknął płomień do papierosa i wreszcie powiedział:

- Chciałem zabrać ze sobą tego faceta uciekając. Ale on nie chciał. Próbował ostrzec strażników. I wtedy...

Nie potrzebował kończyć. Martine zrozumiała. Poczula zimny dreszcz przenikający ją na wskroś. Trzymany w ręku papieros upadł na ziemię i machinalnie zgasiła go butem. Wreszcie Muszka odezwał się znowu, ochryplym głosem:

- Wiem, jaką wam zrobiłem krzywdę. Zwłaszcza tobie. Niestety w życiu nie można się nigdy cofnąć. Co się stało, już się nie odstanie.

Odwrócił z lekka głowę, pożerając ją wzrokiem. Chciał wchłonąć jej obraz, wyryć go w pamięci.

- Ślicznie wyglądasz, jak nigdy dotąd. I dobrze, aż strach, jak dobrze. Wiesz co, kochanie...

Przerwał, przyglądając się z uwagą dziewczynce, przesypującej łopatką strumienie piasku.

- ...gdybyś chciała, będziesz mogła kiedyś do mnie przyjechać. Już niedługo będę bogaty, nawet bardzo bogaty. Więcej niż bogaty.

- Nie chcę zostawić mamy.

Skinął ze zrozumieniem głową, a potem, widząc, że jakaś para go obserwuje, udał, że drapie się w plecy.

- Rozumiem cię - powiedział. - Ale tak bardzo chciałbym ci pomóc!

- W ten sposób mi nie pomożesz, tatku. Myślę, że nic już nie możesz dla nas zrobić.

Muszka w zamyśleniu gryzł swojego peta.

- To prawda. Ale później dam ci znać, gdzie mnie możesz znaleźć. Nigdy nic nie wiadomo... może kiedyś znowu zechcesz się ze mną zobaczyć.

Nagle zamilkł. Żałował teraz, że chciał się spotkać z córką. Sprawiał jej ból i zdawał sobie z tego sprawę. Nie mówiąc o tym, że on sam... Miał w życiu jedną jedyną świętość: ją. Po długim milczeniu poprosił, jakby zawstydzony:

- Zanim się rozstaniemy, chciałbym, żebyś mi coś dała. Ot, zupełny drobiazg. Może jakąś fotografię. Albo...

Martine grzebała już w torebce, wyjmując z niej amatorskie zdjęcie, na którym obie z matką stały przed „Kaczorem”, za dobrych czasów, kiedy jej ojciec był jedynie panem Sartet, znanym i szanowanym właścicielem restauracji w Saint-Ouen.

- Połóż ją na ławce - poradził.

Posłusznie wyciągnęła rękę z fotografią. Na moment ich dłonie zetknęły się. Opanował przenikający go dreszcz i szybkim ruchem wsunął pamiątkę do kieszeni. Zakaszłał.

- Odejdiesz pierwsza. Życzę ci, żebyś była szczęśliwa, kochanie. Idź już i nie odwracaj się.

A ponieważ podniosła rękę do oczu, dodał:

- Tylko nie płacz. Tylko nie to, moja duża panienczko, zaciśnij zęby i odejdz. No, idź.

Zrobił niezręczny gest, jak gdyby chciał jej dotknąć, poczuć ją, jak gdyby chciał zachować jakąś jej cząstkę w koniuszkach palców. Ale nie miał prawa tego zrobić, pod groźbą ściągnięcia na nich czyjejs uwagi. Ktoś mógłby się zdziwić. Ona była młoda, ładna, dobrze ubrana. A on brudny, odrażający. Włóczęga...

- Idź - szepnął bezgłośnie. - I nie odwracaj głowy.

Martine wstała z ławki.

- Bądź szczęśliwa... - dodał jeszcze, nagle ochryplym głosem.

Dziewczyna odeszła płacząc, odprowadzana zdumionym spojrzeniem jakiegoś przechodnia. Opuściwszy głowę, aby jej nie widzieć, Muszka wpatrywał się w ziemię. Odczekał chwilę, a potem uznał, że teraz na niego kolej. Ale zanim wstał z ławki, pochylił się, podniósł z ziemi jeszcze jeden niedopałek, lucky-strike'a, którego paliła jego córka. Wyszedł ze skweru przez furtkę, znajdującą się naprzeciw tej, ku której skierowała się Martine.

Zatopiony w myślach nie zauważył nawet Peugeota 404, przejeżdżającego powoli wzdłuż skweru. Barani obrzucił go szybkim zawodowym spojrzeniem. Kloszard i tyle... Na ulicy Jean-Leclaire Peugeot 404 Baraniego trafił akurat na Martine, która z zaczerwienionymi oczyma zmierzała z powrotem w kierunku Saint-Ouen. Policjant aż podskoczył. Skąd ona się tu wzięła? Oczywiście, musiała wyjść ze skweru! Szturchnął łokciem kolegę:

- Wysadź mnie tutaj. Rozejrzę się po tym skwerze. Jak ci się zdaje? Może Muszka tu będzie?

- Coś ty? Myślisz, że się tam spotkali?

- Skąd mam wiedzieć? - odpowiedział Barani. - Ale wszystko możliwe. Wychodzi stamtąd i beczy. Szybko, wezwij wszystkie wozy, żeby otoczyły ten skwer. Piorunem.

Wyskoczył z 404, a jego kolega nadawał pilne wezwanie.

W tym samym czasie Muszka dowlókl się powolnym krokiem kogoś, komu się nie spieszy, do ulicy Lantier. Tu, rozejrzawszy się szybko dookoła, wsunął się do przyczepy campingowej połączonej z czarną DS-ą, zaparkowaną na uboczu. Aldo, który tylko na to czekał, zajął miejsce za kierownicą i ruszył.

XIII

Wszystkie taksówki jadące w kierunku autostrady zachodniej, czy to nadjeżdżające z Lasku Bulońskiego, czy z innej strony, były zatrzymywane, a ich kierowcy legitymowani. Od uciezki Muszki trwał już taki cyrk! Gliniarze szaleli nawet w nocy. Złamane życie!

Aldo, zanim został zatrzymany, dwukrotnie dał krótki sygnał klaksonem. Policjanci ze zmarszczonymi brwiami zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu przeszkody. Ale jak zwykle nic nie spostrzegli. Skierowany rozkazującym gestem brygadiera Aldo zjechał na prawą stronę drogi, podał prawo jazdy i wszystkie papierki. Inni gliniarze w mundurach rozstawieni na chodniku, z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału, pilnowali całej operacji. Gotowi w każdej chwili zrobić z człowieka sito, dzielni obrońcy prawa! Nie można było nawet próbować wymknąć się bez kontroli! Nieposłuszny zaraz dostałby serię na drogę. Policjant oddał Aldowi papiery, zajrzał do wnętrza DS-y, po czym wskazał palcem na przyczepę.

- Można zajrzeć?

Sycyliczyk poszedł z nim na tył przyczepy i załomotał w drzwi. Jeanne otworzyła i podczas gdy Salami ujadął jak szalony, zapytała, udając zdumienie:

- Co się dzieje?

Policjant odsunął ją bez pośpiechu i wsadził tors do środka.

- Tylko rzuć okiem - powiedział.

- O, przepraszam! - dodał na widok Teresy, która siedząc z Cecylią na długiej skrzyni, przy podnoszonym stoliku rysowała coś w zeszycie. Obdarzył obie ojcowskim

uśmiechem i wycofał się.

- W porządku - powiedział do Aida, podnosząc rękę.

Sycyliczyk pożegnał go i ruszył. Policjanci zajęli się następnym wozem. Ale im dali zajęcie! Jasne, to ich zawód! Ale mimo wszystko! Zgłupieć można od takiego rzępolenia w kółko: „Prawo jazdy? Co tam jest w środku? Proszę otworzyć bagażnik. Proszę okazać zezwolenie...” itd. I tak dobrze, że nie kazali zaglądać kierowcom gdzie indziej! Chyba że rozkaz dotyczyłby babek za kierownicą!

Przed Rambouillet Aldo musiał zatrzymać się po raz drugi. Tym razem sprawdzali ich żandarmi. I znowu pozwolili im jechać dalej, kiedy stwierdzili, że w przyczepie Jeanne i Teresa śpiewają coś z Cecylią. Śliczny obrazek, całkiem jak „Anioł Pański” Milleta.

W dziesięć minut później Aldo minął tereny łowieckie prezydenta i nie dojeżdżając do Poigny-la-Foret skręcił w głąb posesji swego ojca. Nazywała się Taormina. Było to pięć hektarów ziemi i zagajników, wśród których stał solidny dom, zbudowany z otoczaków i kryty niebieską dachówką. Przed domem stała już zielona Simca 1500 Sergia, który przywiózł amerykańskiego pilota. Im również sprawdzano po drodze papiery, ale były w porządku i żaden z nich nie był podobny do poszukiwanego. Aldo wysiadł, a za jego przykładem poszły kobiety i Muszka, który przebył obie kontrole ukryty w bagażniku. Gdy tylko znalazł się na ziemi, opuściło go napięcie i odetchnął głęboko wiosennym powietrzem. Lubił naturę i czuł się tu dobrze. Był to zakątek spokojny, otoczony murem, pełen pięknych drzew, a na prawo, tam, gdzie kończyła się droga, lśniła duża tafla wody.

- Da się tam coś złowić? - zapytał, bo nagle, na widok spokojnej wody, zbudziła się w nim jego sławna namiętność wędkarza.

- Jest trochę drobnicy - odparł Sergio, który właśnie ukazał się w drzwiach domu, z Jackiem Amerykaninem deptającym mu po piętach. - Nic nadzwyczajnego. W każdym razie sprzęt jest w szopie.

Wskazał drewniany barak, ukryty niemal za starymi dębami,

o jakieś sto metrów od domu. Muszka skinął głową, rozpromieniony. Jeżeli uda mu się zarzucić wędkę, będzie najszcześniejszym ze zbiegów. Tam, w celi wspomnienie dni spędzonych nad wodą, z wędką w rękę, było dla niego prawdziwą torturą. Cóż to za radość móc zarzucić przynętę! I jak szczęśliwy jest człowiek na widok pstrąga wyskakującego w górę i połykającego muchę dokładnie w upatrzonym miejscu! Jaki podniecony, kiedy czuje rybę miotającą się na końcu żyłki przy akompaniamencie powolnego terkotania kołowrotka. Wędkarstwo, namiętność Muszki Majowej, który swej umiejętności zarzucania przynęty i sukcesom, odnoszonym nad brzegami rzek i stawów, zawdzięczał to przewisko.

- Miałbym wielką ochotę pozbyć się tych szmat kloszarda - rzekł, wskazując na swoje łachmany.

- Jeanne pokaże ci twoje legowisko - powiedział Aldo. - Zabierz walizkę. Przez ten czas wyładujemy zapasy.

- Zostajecie tutaj? - upewnił się Muszka.

- Na dziś wieczór, tak - odpowiedział Aldo. - Ale potem Sergio i ja musimy jechać z powrotem. Ojciec na nas czeka. Musimy się zobaczyć w sprawie tych fałszywych papierów z jednym facetem, który dziś w nocy przyjeżdża z Włoch.

Wchodząc do przyczepy, której okna ozdabiały kokieterijne biało-różowe firanki, dodał jeszcze:

- I przypilnuj, żeby Amerykaniec za dużo nie pił.

- Możesz na mnie liczyć - uśmiechnął się Muszka. - Będę miał oko na whisky.

Aldo wyłonił się ponownie, podając mu niewielką walizeczkę.

- Możesz teraz pójść się przebrać. Jeanne cię zaprowadzi.

Muszka wziął walizkę. Idąc za żoną Sycylijczyka usłyszał, jak Teresa woła:

- Cecylia! Żebyś mi niechodziła nad staw! Salami, do nogi!

Mimo woli Muszka spojrzął na nogi Jeanne, wchodzącej po schodkach na ganek. Ta dopiero jest zbudowana - pomyślał. I ten tyłeczek! Tylko czekać, jak sam przemówi pod cienką zieloną sukienką. Zakaszał i przeniósł wzrok na wywoskowane schody, prowadzące do pokojów na górze. Nie wolno mu było ulec, choćby tylko w myśli. Musi się pilnować.

Ale babka, cholerny świat!

- Będzie pan na pierwszym piętrze - oznajmiła Jeanne, odwracając do niego głowę. - Okno wychodzi na las. Myślę, że pokój się panu spodoba.

Oczy ich się spotkały i podobnie jak za pierwszym razem, kobieta poczuła denerwujący dreszcz, przebiegający jej po plecach. Muszka uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nie ważne, jaki pokój. Każdy będzie mi się podobał - powiedział. - Mam wrażenie, że wszystko tu będzie mi się podobało.

Jeanne odwróciła się pospiesznie i zaczęła wchodzić po schodach tym samym co poprzednio, tanecznym krokiem.

*

Od samego rana Le Goff z pomocą kolegów zaczął znowu przesłuchiwać zatrzymanych, którzy zetknęli się z Sartetem w dniu jego ucieczki. Sędziowie śledczy prowadzący ich sprawy sami, nie proszeni, dostarczyli protokoły wcześniejszych przesłuchań i teraz Brygada przesłuchiwała ich niestrudzenie, porównując nowe odpowiedzi z poprzednimi. Ale nic tu nie pasowało. Żaden z tych opryszków, jak się wydawało, nie pomógł mordercy. Nie wyglądało też na to, żeby którykolwiek z nich miał możliwość dostarczenia mu narzędzi, przy pomocy których przeciął podłogę w karetkę więziennej. Zresztą przed każdym wyjazdem z Santé klawisze rewidowali przestępców i to dokładnie. Więc skąd? - wściekali się gliniarze. Skąd się wzięły te cholerne narzędzia?

O piątej, kiedy aresztanci byli już w drodze powrotnej do swego sanatorium, do gabinetu Le Goffa wpadł Rondier, popychając przed sobą strażnika, tego samego rudzielca, który wraz z drugim eskortował Muszkę na jego ostatnie przesłuchanie.

- Szefie! - wykrzyknął Rondier. - Godzinę już magluję tego strażnika i w kółko odpowiada mi to samo, co poprzednim razem. Ale przypomniał sobie teraz pewien szczegół, który nie przyszedł mu do głowy podczas poprzedniego przesłuchania.

Le Goff wskazał krzesło strażnikowi, który stał trzymając w

ręku kepi.

- Tak? A więc cóż to takiego?

Strażnik odkaslnął.

- Wasz inspektor znowu mnie wypytywał, czy nie zauważyłem nic szczególnego, kiedy czekałem z więźniem Sartet przed gabinetem sędziego Martin. Za pierwszym razem nie mogłem sobie nic przypomnieć, ale dzisiaj... jak tylko wasz inspektor zaczął mnie pytać, zdaje mi się...

- Wydaje wam się?

Strażnik podrapał się w głowę. Le Goff cierpliwie czekał. Umiał nie wywierać presji.

- No więc - zdecydował się nagle strażnik - zdaje mi się, że przypominam sobie, kto miał okazję podejść bardzo blisko do więźnia Sartet.

- Któż to taki?

- Kolega - wyjaśnił klawisz. - Też żandarm, tak jak ja.

Le Goff podniósł brwi. Klawisz, który poczuł się dotknięty, że - jak sądził - wątpiono w jego dobrą pamięć, zaczął wreszcie mówić:

- To właśnie tak było: jakiś strażnik usiadł koło tego Sarteta. Przeprowadził więźnia, który miał sprawę do sędziego. Tak, teraz sobie dobrze przypominam.

Le Goff spojrział na Rondiera, który wyłaził ze skóry z niecierpliwości.

- No i co dalej?

- I co dalej? - obruszył się klawisz. - No więc, o ile ktokolwiek miał możliwość wsunąć niepostrzeżenie Sartetowi narzędzia, to mógł być tylko ten kolega! Siedział tuż przy nim co najmniej przez dziesięć minut.

- Na jakiej podstawie myślicie, że mógł to zrobić? Przypuszczam, że wiecie, jakie to ciężkie oskarżenie? - zapytał Le Goff.

Klawisz spojrział na Rondiera, który zachęcił go energicznym kiwnięciem głowy.

- Zaraz powiem - wyjaśnił klawisz. - Jak trochę pomyślałem, przypomniałem sobie taki jeden szczegół, który od razu w pierwszej chwili wpadł mi w oko. Ten kolega nie nosił

przy mundurze naszej tarczy herbowej.

Brwi Le Goffa podniosły się jeszcze wyżej. Nie rozumiał, o co chodzi. Rondier przyszedł mu z pomocą:

- On chce powiedzieć, szefie, że ten drugi nie nosił takiego znaczka.

Palec wskazujący jego zastępcy skierowany był prosto w pierś klawisza, gdzie na guziku od górnej kieszeni zawieszona była skórzana tarcza. U góry widniał na niej miedziany hełm z pióropuszem, w stylu rycerza Bayarda, a u dołu herb miasta Paryża.

Ręka Le Goffa znieruchomiała na teczce z aktami. W jego bładych oczach zabłysło światełko. W zamyśleniu wpatrywał się w strażnika.

- Z tego wnioskujecie, że ten strażnik mógł być fałszywy, bo inaczej musiałyby mieć wasz herb? Czy tak?

- Ano właśnie - potwierdził strażnik, który rozgadał się na dobre, dumny, że to on wyjaśnił coś szefowi Brygady do walki z gangami. Prawdziwy strażnik nigdy nie wyszedłby na ulicę bez tego herbu. Zostałby zaraz ukarany przez zwierzchników.

Potem dodał jeszcze, jakby chcąc się wytłumaczyć:

- Dopiero teraz sobie o tym przypomniałem. Przyznaję, że ten szczegół przyszedł mi do głowy dopiero, kiedy wasz inspektor zaczął mnie wypytywać, czy tamtego dnia nie zauważyłem nic dziwnego.

Le Goff przez chwilę siedział pogrążony W myślach. Nagle zdecydował:

- Rondier, odwiedźcie handlarzy starymi ubraniami, wszystkich, jacy tylko są w mieście. Wszystkie wypożyczalnie strojów i mundurów. I nie zapominajcie o krawcach, szyjących kostiumy i inne akcesoria teatralne. Wiecie już mniej więcej, o co chodzi. Jeżeli ten strażnik był fałszywy, musiał gdzieś kupić albo wypożyczyć swój mundur. Zapędźcie do roboty całą brygadę. Może wreszcie mamy nasz ślad.

- Może - zgodził się Rondier. - Ale zabierze nam to cholernie dużo czasu.

- Obaj, wy i ja, mamy jeszcze przed sobą sporo latek, zanim zaczniemy myśleć o emeryturze - osadził go szei, dając mu

jednocześnie znak ręką, żeby wyprowadził strażnika. Po czym dodał, zwracając się do wychodzącego: - Dziękuję wam za pomoc. Nie potrzebuję wam chyba przypominać o obowiązku dyskrecji. Nie chciałbym, żeby wiadomość o tym tropie trafiła do gazet.

Klawisz odwrócił się, pękając z dumy.

- Znam cenę milczenia, panie komisarzu. Proszę na mnie liczyć. Będę milczeć.

I wcisnąwszy na głowę kepi, zasalutował z rozmachem, po czym wyszedł, a raczej został siłą wyprowadzony przez Rondiera.

XIV

Słońce mocno przypiekało. Nawet zbyt mocno. W powietrzu wisiała burza, z gatunku tych, które działają ludziom na nerwy. Niepomne dobrych obyczajów lato wybuchło, nie czekając 21 czerwca. Był dopiero początek miesiąca, a już dzięki tej duchocie sprzedawcy piwa i lodów zdążyli napchać sobie kabzy. W letnich pantoflach na sznurkowej podeszwie założonych na boscie nogi, w rozpiętej koszuli, w dżinsach i w płóciennym kapeluszu, Muszka szedł brzegiem stawu, z wędką w ręce. Nie sprawiało mu to jednak tej radości co zazwyczaj. Od czasu, kiedy się zamelinował, zdążył już poznać dobrze tę sadzawkę. Wiedziony instynktem łowieckim zbyt szybko odkrył miejsca, gdzie ryba brała, a zarzucanie przynęty też nie sprawiało mu przyjemności, bo nie kryło w sobie oczekiwania na niespodziewanie piękną zdobycz. Żadna frajda, za każdym razem wyciągać małego okonia, którego i tak zarzucał znowu jako przynętę. W stawie Salvatore była sama drobniaka! Ach, móc znów wędrować wzdłuż nieznanymi brzoźmi wielkiego stawu! Wdychać jego zapach, myszkować po nim wzrokiem, obserwować go i wyszukiwać w nim kryjówki olbrzymów, w zaroślach trzciny i nenufarów! A tu, czego się spodziewać w tej wielkiej kałuży? Żadnych niespodzianek! Z góry wiadomo - same nędzne okonie. Wyskrobki. Jest tu oczywiście pełno płotek i leszczy.

Ale Muszka Majowa nie będzie łowić na jakieś paskudztwa, na różne robaki i glisty. Ocierając pot z twarzy skierował się w stronę baraku, żeby zostawić tam wędkę.

Od przyjazdu tutaj zdołał już odzyskać zdrową cerę. Widać było po nim, że mu się dobrze powodzi. Ale zaczynała go żreć nuda. Z niecierpliwością czekał chwili, kiedy będzie mógł włączyć się do akcji i mieć wreszcie forszę w garści. Kupę forsy. Tyle, że wszędzie, gdzie się znajdzie, będzie mógł pozwolić sobie na jeżdżenie Royce'em, gdy tylko przyjdzie mu ochota. Porównując w myśli Rolls-Roy- ce'a z maszyną, którą popisывał się Sergio jeżdżąc po okolicy, Muszka zapalił pall-malla i nagle zaśmiał się głośno. Royce'a? Czemu by nie? W końcu wielu podrzędnych śpiewaków czy aktoreczek, którym wdzięki zastępują talent, jeździ tego typu wozami. Nie mówiąc o różnych draniach, robiących w przemyśle, w bankach czy gdzie indziej. Te wszystkie nie znające litości rekiny bezpiecznie okradają ludzi pod osłoną czarnych marmurów, którymi tapetują sobie domy. On przynajmniej ryzykuje własną głową! I zarabia swoją forszę z bronią w rękę! Nie jest to może zbyt ładne, ale to, co robią ci bandyci z finansjery, też nie jest eleganckie. Wręcz przeciwnie. Obiecują nie wiadomo co, kłamią, zmyślają, tuczą się forszą, którą wyłudniają od prostych ludzi, i ciągle im mało, i ciągle lżą.

Szedł w kierunku domu omszałą ścieżką, osłoniętą przez liście od prażącego słońca. Z daleka dojrzał Jacka, rozpartego w fotelu na tarasie. Na podręcznym stoliku – jak należy - stało wszystko, czego potrzeba, by przepłukać gardło. Nie wyglądało na to, żeby Amerykanin zbyt cierpiał z tego powodu, że się tu znajduje. Z początku naturalnie robił, aluzje do wesołego Paryża, dziewczyn w czarnych pończochach, rozrywek Montmartre'u i wysokogatunkowego szampana - tego całego cyrku, o którym opowiadano mu w Stanach. Ale Salvatore oblał go szybko zimną wodą, oświadczając, że nigdzie się stąd nie ruszy. Stary miał rację. Taki moczymorda jak Jack zawsze ryzykuje, że w lokalu zwróci na siebie uwagę. A tego przede wszystkim należało

unikać. Przyjechał do Francji na fałszywych papierach i tak samo musi wyjechać. Nikomu w Ameryce nie powinno nawet przyjść do głowy, że mógł opuścić ukochaną ojczyznę. Toteż musiał być grzeczny. Muszka opadł na leżak i wyciągnął rękę w kierunku butelki.

- Pić się chce człowiekowi - stwierdził.

- Pić - powtórzył za nim Jack jedyne słowo, jakie ten pijaczyna zdołał sobie przyswoić we francuskiej mowie.

Muszka nalał do szklanki whisky i stwierdził, że zabrakło lodu w pojemniku.

- Jeanne! - zawołał.

Lepsza połowa Aida ukazała się na progu domu. Ona również opaliła się i nabrała krągłości. Rzucano się to w oczy. Nie miała nic pod ubraniem i białe szorty przylegały szczelnie do jej złocistej skóry, a małe piersi przykrywało coś w rodzaju marynarskiego kostiumu kąpielowego.

- Lodu! - jęknął Muszka, przyglądając się jej z zachwytem.

Zniknęła i zaraz ukazała się znowu, zbliżając się tanecznym krokiem, w oślepiającym blasku słońca. Ścigany mężczyzna poczuł, jak fala pożądania podchodzi mu do gardła. Od trzech tygodni już przebywali koło siebie i wielkiego wysiłku wymagało od niego powstrzymanie się od zrobienia jej propozycji. Czuł, że powiedziałyby tak, mimo lęku, jaki w niej budził. A może właśnie dlatego zgodziłyby się. Morderca fascynował synową Salvatore. Był uprzejmy, czarujący, zawsze uśmiechnięty. Ale pod tą ujmującą powierzchownością wyczuwało się jakąś niszczycielską siłę, drżące okrucieństwo. A poza tym, dla niej był to przede wszystkim człowiek, który zabił, i z kolei sam z pewnością kiedyś zostanie zabity. Jego przeznaczeniem nie była śmierć w haftowanej pościeli, z filizanką rumianku na nocnym stoliku. A tacy mężczyźni często podobają się pewnemu gatunkowi kobiet. Jeanne wrzuciła dwie kostki lodu do jego szklanki i zapytała:

- Złowił pan co?

- Trzy małe okonie. Wrzuciłem je z powrotem do wody.

Uśmiechnęła się, patrząc na niego prowokująco fiołkowymi oczyma.

- Dobrze pan zrobił. Przej adły się nam j už te pana ryby.

- Bo to ciągle tylko okonie. Ale gdybym tak przyniósł szczupaka, ze trzy, cztery kilo, i przyrządziłoby się go ze świeżym masłem... - Muszka mlasnął na samą myśl o tym.
- ...i do tego butelka dobrze ochłodzonego białego wina.

Roześmiała się znowu, a jej drobne piersi poruszyły się pod skąpym stanikiem pasiastego kostiumu kąpielowego.

- Białe wino tu mamy. Ale gorzej ze szczupakiem...

Muszka wypił spory łyk Whisky i odstawił szklanekę.

- Podobno pięć kilometrów od Poigny jest staw, w którym trafiają się olbrzymy. W oberży „Pod Czterema Lipami” mówiono mi, że można dostać pozwolenie na cały dzień.

- Tak, ale pan nie powinien wychodzić - powiedziała, siadając na niskiej ławeczce.

Skrzyżowała przed sobą długie nogi, a spojrzenie Muszki podążyło za pełnym gracji ruchem jej złocistych ud, przeciętych bielem szortów.

- Jak papa dowie się, że pan wychodził, urządzi piekło.

I tak już było wielką nieostrożnością, że poszedł pan do tej oberży. Mogli pana rozpoznać!

- Teraz nie poznałaby mnie nawet własna żona - odrzekł, wskazując swoje baczki i przystrzyżoną w prostokąt brodę.

- Często pan o niej myśli?

Roześmiał się głośno i odpowiedział, wściekły na siebie, że to mówi:

- Gdyby pani wiedziała, kto jest tą kobietą, o której myślę...

- Tak? A któż to taki?

Dobrze wiedziała. Domyśliła się. Powiedział jej to przelotny błysk oczu Muszki. A jednocześnie wiedziała, że on nie ulegnie. Ze względu na Aida. A ona sama, czy uległaby, gdyby posunął się trochę za daleko? Kto wie? Może tak. Nie miała pewności. Była kobietą. Chwilami chciała, żeby wziął ją gwałtem. Ale były momenty, że gotowa była opierać mu się ze wszystkich sił. Ilekroć spotykali się przypadkowo w ogrodzie, oboje zdawali sobie sprawę, że gdyby nie zaciskali zębów, wystarczyłaby lada iskierka...

Opanowując się, wypił resztę whisky, która pozostała na

dnie szklanki.

- Nie chce mi pan powiedzieć?

Uwodzicielka! Może zresztą zachowywała się tak nieświadomie? Wcale to nie oznacza, że gotowa jest oddać mu się natychmiast, tu, na trawniku. Bawi ją zmieszanie, widoczne w oczach mężczyzny - myślał Muszka, patrząc na nią z zimnym, brutalnym uśmiechem.

- Niech pani nie zapomina, co powiedziałem pani tamtej nocy, w pokoiku służbowym. I niech mnie pani nie zmusza, żebym ja z kolei zapomniał, co zawdzięczam pani mężowi.

Wstał z leżaka i nagle zdecydował:

- Do zobaczenia.

- Dokąd pan idzie? - zapytała, również wstając.

Uśmiech powrócił na jego okrągłą, brodatą twarz.

- Poszukać dla pani czegoś pod to białe wino.

Pomyślała, że Muszka żartuje.

- Idzie pan na targ?

- Nie, pięć kilometrów stąd.

- Chyba pan oszalał! Gdyby się ojciec dowiedział...

Wzruszył ramionami i idąc już w kierunku szopy rzucił przez ramię:

- Niech się pani nie przejmuje. Tam nikt gię nie domyśli, kim jestem. Wróć na kolację. Jutro jest niedziela i przyjeżdża Aldo, zrobi mu pani szczupaka w świeżym maśle. O.K.?

Wyciągnęła rękę, chcąc go zatrzymać, ale był już za daleko.

- Niech się pan nie wygłupia! - krzyknęła.

Machnął beztrąsco ręką i zniknął w szopie, gdzie przy-mocował wędkę do motoru Sergia. Sprawdził, czy działa kołowrotek, włożył płócienną bluzę, w jej kieszeni-umieścił P38, dostarczony mu przez Aida, wyszedł z szopy na dławiący upał, o mały włos nie wpadając przy tym na Jeanne, która obserwowała go, stojąc w progu.

- Nie powinien pan! - powiedziała. - Ojciec będzie wściekły.

Spojrzał na nią.

- Niech się pani nie martwi na zapas. Wszystko pójdzie dobrze. Wezmę pozwolenie nie pokazując motoru i nie podając żadnego paryskiego adresu.

Siedząc już na motorze, dodał, patrząc na nią w zamyśleniu:

- Zmiana powietrza dobrze mi robi. Tkwiąc tu za długo, mogę jeszcze palnąć jakieś kretyństwo.

Otwierała już usta, żeby zaprzeczyć, ale zamilkła, bo natychmiast odjechał nie oglądając się za siebie. Wróciła tą samą drogą, minęła amerykańskiego pilota, który opróżniał kolejny kieliszek, i weszła do domu, skąd dochodził głos Teresy, usiłującej uspić Cecylię sycylijską kołysanką.

*

To dopiero był staw! Jak okiem sięgnąć, nic tylko woda. Dopiero gdy się przyjrzeć uważniej, można rozróżnić krzewy dzikich róż, porastające brzegi i ciemniejszą linię lasu w oddali. Muszka poczuł, że odżywa. Z wędką w ręku, na łonie natury był spokojny. Zakątek okazał się cichy, wypoczynkowy, nie było widać wędkarzy. Co prawda był to piątek, kiedy wszyscy o tej porze są w pracy. Tylko na przeciwległym brzegu pomniejszony przez odległość samotny rybak - podobnie jak Muszka - próbował złowić szczupaka. Muszka od dwóch godzin już zarzucał wędkę i jak dotąd wyciągnął jedynie dość ładnego okonia, około kilograma. Czekał na coś lepszego. Na swojego pięknego szczupaka, którego chciał zanieść Jeanne, żeby zaimponować jej zręcznością. Właśnie miał znowu wyciągnąć wędkę, kiedy usłyszał za sobą trzask łamanej gałązki. Odwrócił się spokojnie. Był w porządku. Stał za nim strażnik terenów rybackich, w butelkowitzelonym uniformie, ze strużkami potu spływającymi mu na twarz spod kepi. Muszka nadal kręcił kołowrotkiem. Przybysz odczekał, aż skończy, a potem zapytał:

- Ma pan kartę?

Muszka wyciągnął wędkę, na której migotały krople wody, i srebrzysta przynęta zaślniła w słońcu.

- Proszę - powiedział, uśmiechnięty i zdyscyplinowany, podając mu kupiony w oberży świstek.

Strażnik rzucił na niego okiem, skinął głową i oddał go Muszce.

- Dziękuję. Jak idzie? Jeszcze nic? - zapytał, również z uśmiechem.

Nie odwracając się, Muszka wskazał przez ramię motor, oparty o brzozę, u stóp której miotał się jeszcze okoń.

- Owszem, okoń. Ale dość przyzwoity. Tak na oko ma z kilogram.

Roześmiał się. Strażnikowi nie chciało się sprawdzać. Też się śmiał, przecierając kepi mokre od potu.

- Powodzenia - rzucił na odchodnym.

- Do widzenia - mruknął Muszka, zarzucając na nowo wędkę, jak przystało na faceta z czystym sumieniem.

Celował daleko, tuż koło kępy trzciny znajdującej się o jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. I przynęta upadła dokładnie tam, gdzie chciał. Tam, gdzie mogła skusić zaczajonego olbrzyma. Żarłoka. Strażnik nie odszedł jeszcze, tylko stojąc nieruchomo obserwował gest i precyzję, z jaką została zarzucona wędka. Co za mistrz z tego faceta! To dopiero rybak... Ale ma bezbłędną rękę... i co za zręczność, co za... Nagle zmarszczył brwi. Przypomniał sobie instrukcję, jaką otrzymał z posterunku żandarmerii w Rambouillet, dotyczącą terenu całej Francji: obserwować uważnie wszystkich rybaków. Jednym z nich może być Roger Sartet, zwany Muszką Majową. To mistrz, zwariowany na punkcie wędkarstwa. Morderca z pewnością będzie zmieniony nie do poznania. Ale ma swój własny, zupełnie niezwykły sposób zarzucania wędki, który policja opisywała wyraźnie w instrukcji. Gest, jedyny w swoim rodzaju, jakieś szczególne odchylenie ciała, o którym wspominały zresztą w swoim czasie niektóre ofiary jego napadów. Strażnik poczuł dreszcz podniecenia. Czyżby to.. Przyglądał się, czekając na następne zarzucenie wędki. I znowu przypomniła mu się instrukcja żandarmerii. Co więcej, pasował nie tylko gest, jakim ten człowiek zarzucał wędkę, ale również jego wzrost i tusza. A jeżeli to on? Jeżeli ten facet, odwrócony do niego plecami, jest naprawdę wrogiem publicznym? Co za okazja, żeby stać się bohaterem dnia, znaleźć się na pierwszych stronach gazet! Nie mówiąc o tym, że otrzymałby awans! Wahał się jeszcze, czekając na następne zarzucenie przynęty. Nieprawdopodobne! Ten gość urodził się chyba z wędką w garści! Jego podejrzenie

zaczynało zmieniać się w pewność. Gdyby... O, cholera! Można by się urządzić na resztę życia. Nacisnął niepostrzeżenie automatyczny zatrząsk, otwierający kaburę rewolweru i natychmiast cofnął rękę, z miną dobrotliwego ojczulka, ponieważ w tej samej chwili Muszka odwrócił się w jego stronę, zdziwiony, że ciągle jeszcze czuje za plecami jego obecność. Strażnik, nadal nie zdecydowany, przybrał twarz w sztuczny uśmiech. Uspokojony, Muszka zrewanżował się tym samym i zajął się przytwierdzaniem przynęty. Strażnik zaryzykował i zrobił krok do przodu. Może powinien pójść zawiadomić żandarmów? „Jest bardzo niebezpieczny” - ostrzegwał list gończy. Tak, a jeżeli on przez ten czas się ulotni? Stracić taką okazję! Pragnienie sławy przeważyło szalę. Jeżeli nawet się myli, to w końcu nic takiego.

- Chciałbym jeszcze raz zobaczyć pana kartę rybacką - powiedział podchodząc do Muszki.

Jego ręka spoczywała na kolbie rewolweru 7,65. Muszka odwrócił się i w oka mgnieniu zorientował się w zmianie sytuacji.

- Ależ proszę, proszę bardzo - powiedział z uśmiechem, podając mu kartę.

Strażnik wziął ją od niego i wolną ręką schował do kieszeni.

- Ma pan jeszcze jakieś inne papiery?

Muszka skinął głową w płóciennym kapeluszu, zasłaniającym mu niemal połowę twarzy.

- Oczywiście.

Wyjął fałszywy dowód osobisty, dostarczony mu przez Aida. Nie był pewny, jak ma postąpić, nie wiedząc, jak daleko posunie się strażnik w swoich podejrzeniach.

- Zechce pan pofatygować się ze mną do sprawdzenia... - zdecydował wreszcie, chowając dowód osobisty do tej samej kieszeni, do której już poprzednio włożył kartę wędkarską. - To znaczy pójdzie pan przede mną aż do szopy. Tam stoi mój gazik.

- A mój motor? - Muszka wskazał wędką w kierunku motocykla, udając zaniepokojenie.

- Znajdzie go tu pan po powrocie - zapewnił strażnik. -

Idziemy.

Muszka nadal się uśmiechał.

- Nie zdaje się panu, że to przesada? Żeby nie można było nawet spokojnie łowić... A w ogóle, czy mógłby mi pan powiedzieć, czego pan właściwie ode mnie chce?

Strażnik wyjął z pochwy rewolwer i wskazał nim drogę.

- Ruszaj pan naprzód.

Nagle widocznie przyszło mu coś do głowy, bo dodał:

- Chwileczkę! Proszę podnieść rękę, obszukam pana.

Serce Muszki zabiło gwałtownie. Dwa razy. Miał uczucie, że cała krew ucieka mu z żył. A więc stało się! Wpadka nieunikniona. Przełożył wędkę do drugiej ręki i odwrócił głowę w kierunku znajdującej się w pobliżu ścieżki, udając zdziwienie.

- To pana kolega? Widać sporo was tu się kręci!

Strażnik nie był szczególnie bystry. Nie miał nigdy do czynienia z niebezpiecznymi przestępcami. Należało do niego wyłącznie polowanie na różnych łobuziaków, kłusowników zakładających sidła albo łowiących w niedozwolonych miejscach, nie na grubego zwierza. Za późno zorientował się, że to podstęp. Odruchowo odwrócił się w kierunku, w którym patrzył Muszka, a kiedy zrozumiał, że dał się nabrać, było już za późno. Dostał dwie kule. Muszka wyciągnął swój rewolwer kalibru 38 i w ułamku sekundy go załatwił. Kwestia przyzwyczajenia... Strażnik upadł, zanim jeszcze echo wystrzałów ucichło wśród prześwietlonych słońcem liści. Trzymając w ręku wędkę morderca wyjął swoje papiery z kieszeni zabitego i pognął jak szalony do motocykla. Po drugiej stronie stawu, w oddali, sylwetka drugiego rybaka jak gdyby znieruchomiała, zaintrygowana. Nie trwało to zresztą długo. Niczego nie widząc, rybak - zapewne uspokojony - zarzucił znowu wędkę.

*

Nie było jeszcze drugiej, kiedy Muszka dotarł do willi i zatrzymał się dopiero tuż przy cienistym tarasie. Piekielnie chciało mu się pić. I co za powietrze, jak z łowiu. Ta cholerna burza mogłaby się wreszcie zdecydować. W rozpiętej bluzie i

koszuli, spoa której widać było mokry od potu, owłosiony tors, podszedł do stołu, gdzie Teresa głośno pomstowała na temat pieprzonego Amerykanina, wyciągniętego obok, z nogami na podręcznym stoliczku, kieliszkiem w dłoni i mętym wzrokiem.

- Powiedz mu, że jeżeli jeszcze raz spróbuje, to go zabiję! — wrzeszczała wściekle wspaniała Sycylijka, całkowicie naga pod lekką letnią sukienką.

Muszka, który drżał jeszcze wewnątrznie po popełnionym morderstwie, spojrzał pytająco na Jeanne.

- Co za lew w nią wstąpił?

Kobieta Aida wzruszyła gładkimi, nagimi ramionami. Zdjęła szorty i była teraz w minisukience, która zmieściłaby się w pudełku od zapalek, tak niewiele materiału na nią zużyto. Pod nią była również goła jak święty turecki. Poznać to było można po wyrazistym zarysie pośladków i leniwym kołysaniu piersi pod cienkim materiałem.

- Chodzi jej o Jacka, poklepał ją po siedzeniu - wyjaśniła.

- Poklepał? On mnie macał, ta Świnia! - krzyczała córka Salvatore. - Niechbym to opowiedziała chłopom...

Muszka przyjrzał się Amerykaninowi. Widać było po nim, że sobie zdrowo popił. Na taki upał... I to on, który i bez tego zbyt często bywał zalany... Zwrócił się do niego po angielsku:

- Po diabła to zrobiłeś? Zgłupiałeś?

Facet obrzucił go łzawym spojrzeniem pijaka.

- Przechodziła tu blisko... cholera wie, co mnie ugryzło...

Teresa, nie rozumiejąc nic w tym języku, skierowała resztkę furii pod adresem Muszki.

- Niech jeszcze raz spróbuje, zamorduję go! I pomyśleć, że przynosiłam lód takiemu łajdakowi...

Muszka zrozumiał i w skrytości ducha usprawiedliwiał pilota. Chłop miał pod ręką taką bombową dziewczynę i po prostu nie wytrzymał. Ręka sama poszła w szkodę. Rzucił pod adresem niefortunnego zalotnika w jego języku:

- Na drugi raz trzymaj łapy przy sobie. Gdyby jej ojciec się dowiedział, na co sobie pozwoliłeś, byłby gotów na wszystko. Zwariowałeś? Chyba nie chcesz zaważyć całego naszego interesu? I to dla jednej dupy. Przecież powinieneś wiedzieć,

że nigdy nie należy obmacywać żon Sycylijczyków.

Wyjął mu z ręki kieliszek, wychylił go jednym haustem i doradził:

- Przeprasza przynajmniej, może trochę załagodzis sprawę.

Amerikanin potarł policzek w miejscu, gdzie wylądowała nerwowa dłoń Teresy.

- Sorry, madame - powiedział.

Ale żona Berlińczyka nie przywróciła pilota do łask. Świdrując go oczyma płonącymi z gniewu, powtórzyła:

- Jeszcze raz niech się to zdarzy, a zabiję.

I odwróciwszy się poszła w kierunku willi krokiem, który usprawiedliwiał niefortunny gest Amerykanina. Nie mogąc oderwać od niej oczu mruknął:

- Co za dziewczyna!

- Zgoda, ale zapomnij o niej - poradził Muszka, nalewając sobie ponownie whisky niezbyt pewną ręką. - Po co masz sobie komplikować życie. Niedługo będziesz mógł zafundować sobie wszystkie dziewczęta na Manhattanie.

Podniósł do ust kieliszek z nerwowym pośpiechem, zerkając jednocześnie na policzek odrzuconego Casanovy. Z Teresą nie było żartów. Jej palce były wypisane na różowej twarzy Jacka. Dziwny naród ci Amerykanie. Godzą się bez protestu, żeby dziwki nimi dyrygowały. Pozwalają się pracować po pysku, zmywają naczynia i obchodzą się z babami w rękawiczkach. Nie da się ukryć, śmieszni faceci. Różni mądrale nazywają to matriarchatem. Muszka, owszem, miał na nią wielką ochotę. Ale dziewczyna pewnie na wszelki wypadek dałaby mu po pysku... Jego kieliszek był pusty, nalał więc sobie następny i wychylił go równie pospiesznie jak poprzedni.

- Ma pan, zdaje się, cholerne pragnienie - zauważyła Jeanne po francusku.

Skinął głową, zapalając równocześnie papierosa. Ręce ciągle mu jeszcze drżały. Zabijanie nie należy do rzeczy łatwych. Tylko w książkach i w westernach trup ściele się gęsto, a mordercy wystrzelują sto naboju raz za razem, nie ładując ponownie pistoletów. Ale w rzeczywistości... Kiedy patrzy na ciebie dwoje oczu, o których wiesz, że nie ujrzą już światła

dziennego... ani tylu pięknych rzeczy... kwiatów ani kobiet... słońca i morza... deszczu, szeleszczących liści... Tylko że Muszka przekroczył tę granicę z chwilą pierwszego morderstwa. Teraz już nie mógł się cofnąć. Kiedy jest już po wszystkim i przestępca ma gliny na karku, jedyne, co mu pozostaje, jeżeli chce próbować wymknąć się swemu przeznaczeniu, to zabijać i znowu zabijać, żeby go nie dostali. To nieuniknione.

Jeanne, która obserwowała go i dostrzegła jego niepokój, zauważyła:

- Dziwnie pan wygląda. Brak dziewczyny?

Rzucił okiem na Amerykanina, zawahał się, ale przypomniał sobie, że tamten nie rozumie po francusku, przyznał:

- Owszem.

I nie mówiąc nic więcej poszedł po motor, który stał oparty o drzewo, żeby odprowadzić go do szopy. Jeanne, zaintrygowana, poszła za nim.

- Nie przywiózł pan ryb?

- O, cholera - zaklął. Rzeczywiście zapomniał zabrać swojego okonia. Ale zaraz się uspokoił. Na rybie odciski palców nie powinny się trzymać. A w każdym razie upłynie prawdopodobnie wiele godzin, zanim znajdą ciało strażnika. Dzięki temu mieszkańcy jego azylu nie będą mieli żadnych skojarzeń. Pomyślą zapewne, że morderca - przypuszczalnie jakiś kłusownik - ulotnił się w nieznaną. Wszedł do chłodnej szopy, w której trzymano zabawki, narzędzia ogrodnicze i sprzęt rybacki, a w kącie pozostawiono rodzaj łóżka polowego, na którym w dzieciństwie lubił sypiać Sergio. Muszka odstawił motocykl na jego zwykle miejsce i wytarł się do pasa z potu. Boże, ależ gorąco! Mógłby już wreszcie spaść ten deszcz, zaraz by się ochłodziło.

- Nie chce mi pan powiedzieć, co się panu stało? - Jeanne stojąc w otwartych drzwiach nie dawała za wygraną.

Muszka podniósł głowę. Widział ją teraz pod światło, tak jakby nie miała nic na sobie, jej uda odcinające się na tle cienkiego materiału sukienki i cienką strużkę potu, spływającą

między niemal obnażonymi piersiami. W nagłym przypływie złości odpowiedział, wyjmując z kieszeni bluzy rewolwer:

- Załatwiłem jednego faceta.

- Znowu?

Nie potrafiła ukryć zdumienia pomieszanego z rodzajem nabożnej trwogi.

- Kto to był? - dodała, oddychając szybko, zafascynowana mimo woli tym człowiekiem.

- Strażnik pilnujący terenów wędkarskich. Chciał, żebym z nim poszedł, więc...

Zrobiła krok do wnętrza szopy, a każdy ruch jej młodego ciała promieniował zmysłową kobiecością.

- Nikt pana nie widział?

Potrząsnął przecząco głową.

- Jeżeli mój teść się o tym dowie, będzie tragedia - zauważyła. - Zabronił przecież panu wychodzić.

- Za późno już, żeby teraz do tego wracać - mruknął, wyjmując magazynek.

Podeszła bliżej, podczas gdy on wsunął dwie nowe kule do magazynka i umieścił go na właściwym miejscu uderzeniem dłoni.

- Pan lubi niszczyć, prawda?

Stała teraz tuż koło niego, z ciałem wyrażającym gotowość oddania mu się i błyskiem szaleństwa w oczach. Muszka podniósł rękę, w której trzymał broń, jak gdyby chciał odepchnąć od siebie uosabianą przez nią pokusę

- Tak się pani tylko wydaje! Trudno jest zabić.

Położyła gorącą dłoń na jego ręce, trzymającej ciężki rewolwer, ten, z którego padły mordercze strzały.

- Co pan czuje strzelając?

Jego oczy drapieżnika wpiły się w jej źrenice, w których migotało szaleństwo.

- Kiedy pan zabija... kiedy widzi pan padającego człowieka czy... - mówiła dalej, a jej pełne czerwone usta rozchyłały się zachęcająco.

Zrozumiał, że drży cała, mówiąc o przemocy. Że podnieca się nią jak środkiem dopingującym. Histeryczka? Kobieta

znajdująca rozkosz tylko w niebezpieczeństwie? Może. Na świecie nie brak takich narwanych ryzykantek. Sto razy odważniejszych niż faceci i tysiąc razy dzielniejszych. Raz jeszcze spróbował ją odepchnąć.

- Proszę wyjść.

Wpiła się paznokciami w jego uzbrojoną rękę, domagając się natarczywie zaspokojenia chorobliwej ciekawości:

- Najpierw niech mi pan powie, co pan czuje, kiedy...

Wolną ręką uderzył ją w twarz. Twardo, bez zastanowienia, najzupełniej odruchowo. I nie pozostawiając jej nawet czasu na reakcję przyciągnął ją do siebie i wpił się w jej usta, rozpalone, jak gdyby naładowane nadciągającą burzą. Potem, zapominając Aida, zapominając o wszystkim, nawet o tym, kim był, warknął, rzucając ją na połowe łóżko.

- Mówiłem ci, żebyś się odczepiła. Za dużo chciałabyś wiedzieć. Teraz cię nauczę... ty ścierwo.

Upuścił na ziemię rewolwer i brutalnym ruchem zadarł jej sukienkę. Dwoje chłodnych, okrągłych ramion objęło go ciasnym uściskiem. I jak każdy drapieznik po dokonany zabójstwie, ryzykując życiem, wszedł w nią z chrapliwym, zwierzęcym, wydobywającym się z wnętrza pomrukiem, któremu zawtórowały uległy jęk żony Sycylijczyka. Ponad nimi rozległ się grzmot i przetaczał się długo, zagłuszając ich głosy. Mijały sekundy, minuty. Grzmot oddalił się i Jeanne otworzyła podkrążone oczy. Nagle drgnęła tak, że mężczyzna, leżący jeszcze częściowo na niej, zaniepokoił się.

- Kochanie, co się...

Muszka, który właśnie układał się wygodniej, w mgnieniu oka stanął na równe nogi. W drzwiach, o których w ogóle nie pomyśleli, stała Cecylia z otwartą buzią. Czerwona jak piwonia Jeanne rzuciła się do siostrzenicy i jej suknia sama opadła, zakrywając wspaniałe, złotobrą- zowe uda.

- Co tam robisz, ciociu Jeanne? - zapytała dziewczynka, przyglądając się im okrągłymi ze zdumienia oczyma.

Zona Aida pochyliła się do niej i zakaszła, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Zgubiłam pierścionek, kochanie. Pan pomógł mi go szukać.

Czuła się jak idiotka. Ale co miała powiedzieć? Co zrobić? Przede wszystkim trzeba było to zbagatelizować, nie przywiązywać do tego wagi. Zażegnała więc niebezpieczeństwo, jak potrafiła. Podeszła z powrotem do łóżka, przyklękła i udała, że wyjmuje spod niego pierścionek, który jednocześnie zsunęła z palca.

- Proszę! Jest! - wykrzyknęła. - A ty, czego tu szukasz, kochanie?

Dziewczynka ściągnęła brwi, aż pionowa zmarszczka przecięła jej czoło; zastanawiała się, co to wszystko ma znaczyć.

- Mojej żółtej piłki, żeby się bawić z Salamim - powiedziała, wskazując piłkę i psa, który czekał jakiś metr za nią, ustrojony w papierową czapeczkę.

- Proszę, proszę - ciotka, z sercem bijącym na trwozę, gorliwie podała jej piłkę. - Masz, kochanie. Idź się bawić.

Pochyliła się i uśmiechnęła do dziewczynki.

- ...i nie mów nikomu, że zgubiłam pierścionek. Twoja mama znowu powiedziała, że jestem roztrzepana.

Cecylia położyła palec na ustach.

- A ty jesteś za duża, żeby być roztrzepaną, - co, ciociu Jeanne?

Jeanne odgarnęła niesforny lok spadający na czoło małej Manalese.

- Tak, kochanie. O wiele za duża. Dlatego nic nie mów, a ja za to kupię ci śliczną sukienkę, którą widziałyśmy niedawno na placu Clichy. Tę różową, którą chciałaś mieć, dobrze?

- Kupisz mi ją? - dziewczynka była zachwycona. - Naprawdę, ciociu Jeanne?

- Obiecuję - przyrzekła żona Aida. - A teraz idź już się bawić. Ja zaraz pójde pomóc mamie przygotować obiad.

Z piłką pod pachą i Salamim depczącym jej po piętach, Cecylia pobiegła pokrzykując w stronę pobliskiego lasku. Muszka, blady, patrzył pytająco na Jeanne.

- Myślisz, że ona nie...

- Nie, nie - przerwała mu. - Cecylia nie jest gadatliwa. Zresztą nic nie zrozumiała. A nawet gdyby... Zawsze można przecież powiedzieć, że kłamie. Że zmyśla.

Morderca podniósł z ziemi rewolwer, leżący koło łóżka polowego.

- Nie chciałem, żeby się to stało. Brzydzę się sobą - wyznał, poważny i zamyślony.

Podniósł głowę i zaczął się jej przypatrywać, aż cofnęła się pod natarczywością jego spojrzenia i wyjąkała:

- Co ci się stało? Nie rób sobie wyrzutów. To wina okoliczności. Ta pogoda. I burza... Czy ja wiem, co jeszcze?

- Nie, to nasza wina. Wyłącznie nasza.

Teraz on z kolei zbliżył się do Jeanne, a w jego ostrym głosie brzmiał gniew.

- I żeby mi się nikt nigdy nie dowiedział. Zwłaszcza Aldo. Brzydzę się sobą. I tobą również. Zjeżdżaj teraz.

Rzuciła się do drzwi, ale złapał ją za ramię.

- Nie zapomnij! Nikt nie ma się dowiedzieć.

Puścił ją. Jeanne wchodziła już na taras, gdzie Amerykanin nadal zajmował się opróżnianiem butelki, a on jeszcze wściekał się na siebie. Pomyśleć, że za trzy dni ma nadstawiać głowy razem z człowiekiem, któremu właśnie uwiódł żonę! Ohyda! Splunął z obrzydzeniem. Najchętniej by na siebie napluł.

W dwie godziny później Muszka siedział na tarasie i nalewał sobie właśnie szklaneczkę whisky, kiedy przerwał w połowie, bo z ogromnej alei starych drzew wyłonił się Buick Salvatore. Za kierownicą zamiast starego siedział Ludwik Berlińczyk. Z tyłu siedziała Maria, jak zwykle ciemno ubrana. Rzadko zdarzało się, by starsza pani przyjeżdżała aż tutaj! Za dużo miała do roboty w sklepie, a zresztą w ogóle nie lubiła go opuszczać. Ledwie wielki samochód zdążył się zatrzymać, przydreptała Cecylia ze skaczącym dokoła niej Salamim, krzycząc radośnie:

- Dziadziunio! Dziadziunio!

Muszka zbladł i jego ręka powędrowała w kierunku kieszeni bluzy, gdzie znajdowała się uspokajająca kolba rewolweru. Gdyby przypadkiem dzieciak zaczął opowiadać... Bo Salvatore nie dałby się nabrać na historyjkę o zgubionym pierścionku. Ale dziewczynka zapomniała już widocznie o tym, co w

gruncie rzeczy nie miało dla niej żadnego znaczenia. Uwieszona u szyi dziadka, który podniósł ją w górę śmiejąc się głośno, miętoszyła w białych paluszkach jego wytworny perłowszary kapelusz.

- Przywiozłeś mi misia, takiego jak ten w telewizji?

- Oczywiście, *bambino mio*- zapewnił ją stary Sycylijczyk. - Ale zabierzesz go ze sobą z powrotem, bo wracasz z babcią do Paryża.

- A Salami też?

- Salami też.

Z dziewczynką na ręku zatrzymał się koło stolika, pod ogromnym, gęstym dębem, przyjrzał się Amerykaninowi i rzucił pod adresem Muszki i stojących obok kobiet:

- Trzeba go hamować z tym pićciem. Nie zapominajcie, że za trzy dni będzie nam potrzebny w pełni sprawny. Szczęście, że przyjechałem.

U oddając małą córcę, dodał:

- Ubierz ją. Babka zaraz ją odwozi. Nie chcę, żeby plątała się nam pod nogami, gdy będziemy zajęci tą sprawą.

Potem zwrócił się do Muszki:

- Ludwik przywiózł ze sobą plany Boeinga i wszystkie papiery na drogę. Aldo przyjedzie jutro, rano z materiałem zadekowanym w przyczepie campingowej. Mamy trzy dni na powtórkę. Jesteś w formie?

- Tak - odpowiedział ścigany mężczyzna. -I marzę już o robocie.

Ludwik wyjął z Buicka ciężką teczkę i poszedł za kobietami, które właśnie wchodziły do domu. Potężny i zwalisty, ale jednocześnie rasowy i elegancki, w ubraniu z popielatego filafilu Salvatore wyglądał niemal jak dyplomata. Jego twarde spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Muszki.

- To wszystko, co mi masz do powiedzenia?

- Mój Boże... - zaczął Muszka z wahaniem.

- Nie wyjeżdżałeś dziś motorem?

Muszka nie próbował zaprzeczać.

- Skoro pan już wie, że...

Twarz Sycylijczyka spochmurniła, jakby powiał na nią

lodowaty wiatr.

- Piętnaście kilometrów stąd jest obława. Żandarmi szukają faceta na motocyklu. Wiesz dlaczego?

Muszka rozłożył ręce gestem bezsilności.

- Nie miałem innego wyjścia! Słowo daję. Strażnik chyba mnie rozpoznał i...

- Niebezpiecznie mieć z tobą do czynienia - stwierdził Salvatore. - Niebezpiecznie, bo jesteś napiętnowany. Żałuję, że zgodziłem się, żeby Aldo pomógł ci w ucieczce.

- A jeżeli uda nam się skok, też będzie pan żałować? Najpiękniejszy numer, jaki zrobiono kiedykolwiek!

Morderca powiedział to sucho, nawet arogancko. Stary Sycylijczyk, który był przyjacielem kaidów z Cosa Nostra i brał udział w konferencji w Apalachin⁵, nie odezwał się. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się tylko bez mrugnienia w ściganego mężczyznę. Wreszcie powiedział:

- Może również będę żałował. Ty jesteś napiętnowany.

Szybkim krokiem podszedł do Amerykanina i wierzchem dłoni wytrącił mu z ręki kieliszek, który potoczył się daleko.

- Wystarczy! - rzucił po angielsku. - W przyszłym tygodniu będziesz już mógł pić, ile zechcesz.

Pilot, zdumiony, uniósł się z krzesła i widać było, że chce coś powiedzieć, kiedy zatrzymały go słowa Sycylijczyka.

- Ciekawy jestem, co robi Frankie, jak się dowie, że przez cały czas, kiedy tu byłeś, nie wytrzeźwiałeś.

Frankie musiał stanowić dla Amerykanina największą groźbę, bo opadł z powrotem na krzesło, bełkocząc:

- Niech się pan nie złości. Głowę mam całkiem jasną i gotów jestem dyskutować o operacji.

- O to mi właśnie chodziło - podsumował Salvatore, idąc w kierunku domu. - Od tej chwili obowiązuje dyscyplina. I do roboty. Ruszcie się, zaczynamy.

Muszka strzelił palcami, dając w ten sposób znak pilotowi, żeby wstał, i obaj posłusznie udali się w kierunku ganku.

5 „Konferencja na szczycie” szefów gangów amerykańskich.

Rondier szturchnął w plecy kierowcę DS-y.

- Zatrzymaj. To tutaj.

Wysiadł z samochodu z rysownikiem grupy dokumentacyjnej i obaj weszli do nędznie wyglądającego sklepiku u wylotu ulicy Lepie. Stare babsko przesadnie wymalowane, na kilometr zalatujące była prostytutką, przyjęło ich olśniewającym uśmiechem sztucznych zębów.

- Co panowie sobie życzą?

- Komisarz Le Goff z policji - przedstawił się szef służby śledczej, pokazując legitymację. - Powiedziała pani jednemu z moich ludzi, że dwa miesiące temu wypożyczono u pani mundur strażnika?

Stara skinęła twierdząco głową, na której, jak wielkanocna baba, sterczała wytapirowana fryzura.

- Zgadza się. Jakiś pan pożyczyl ode mnie taki mundur, mniej więcej w tym czasie.

- I nie oddał go pani?

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Nic nie szkodzi. I tak zastaw, który się wplaca, pokrywa stratę.

- Zdarza się, że nie odnoszą pani wypożyczonych rzeczy?

- Czasami. Niektórzy klienci zatrzymują sobie kostiumy.

Uśmiechnęła się, a jej oczy przysłonięte długimi sztucznymi rzęsami patrzyły na nich cynicznie.

- Różni nie przystosowani faceci, którzy uwielbiają się przebierać, nie zawsze oddają kostiumy. Chcą wyglądać jak Ludwik XV, Neron, muszkieter, a czasem jak baletnica, czy jeszcze coś innego. Podnieca ich, że mogą potajemnie być kimś, kim nie są.

- Przecież nie wypożycza pani wyłącznie stukniętym! - wykrzyknął Rondier. - Są chyba i tacy, którzy przebierają się dla zabawy

Burdelmama wskazała upierścienioną dłonią pełne szafy.

- Oczywiście, że nie. Mam również klientelę artystyczną, a także wypożyczają ode mnie kostiumy na bale maskowe.

- A ten mężczyzna, o którym mówiliśmy? Do jakiego środowiska by go pani zaliczyła? Do teatralnego? Do zboczonych? Jak się pani wydaje?

Tym razem Le Goff sam zadawał pytania. prostytutka wyraźnie była zakłopotana.

- O ile sobie przypominam, był chyba normalny. Przystojny chłopak.

- Blondyn?

Le Goff pamiętał rysopis podany przez strażnika, który doprowadzał Muszkę do sędziego Martin.

- Tak - potwierdziła kobieta. - Teraz dobrze go sobie przypominam. Blondyn, oczy niebieskie, piękna męska twarz.

- Między trzydziestką a czterdziestką?

- Tak, koło trzydziestu pięciu.

- Podbródek?

- Dość ciężki. Widać, że ma charakter.

Stara odpowiadała bez zastanowienia.

- Wzrost?

Tym razem zawahała się na moment, nie chcąc się pomylić.

- No... czy ja wiem? Jakiś 1,80 m. W każdym razie piękny facet. Widziałam go prawie rozebranego do rosołu, jak przymierzał mundur.

Roześmiała się obleśnie.

- Twarz?

- Podłużna.

- Znaki szczególne?

- Mój Boże...

W miarę, jak odpowiadała, specjalista z grupy dokumentacyjnej rysował w szkicowniku.

- Bo ja wiem... - podjęła kobieta z wahaniem - jak się teraz zastanawiam, wydaje mi się, że miał coś w rodzaju blizny koło ust, w lewym kąci.

Uniosła w górę pulchną dłoń, jakby chcąc zatrzymać rysującego.

- O, to się nie rzucało w oczy. Nie jestem nawet całkiem pewna. Ale...

- Podobny był do tego człowieka?

Rondier podał jej rysunek antropometryczny. Kobieta potrząsnęła przecząco głową, aż przekrzywiła się jej na głowie baba wielkanocna.

- A do tego?

Pokazał jej następny. Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał tytułem wyjaśnienia: -

- Jeżeli na portretach, które pani pokazujemy, zauważy pani jakiś szczegół, przypominający pani tamtego klienta, proszę powiedzieć. Czasem może to być tylko podbródek, kształt nosa albo ucha, usta... Jednym słowem, coś, co się pani będzie kojarzyło z tym człowiekiem. Proszę wówczas to wskazać.

W grubo upudrowanej twarzy zabłysła nowiutka sztuczna szczeka.

- Jasne. Wy to nazywacie portretem pamięciowym?

- Zgadza się - odpowiedział Rondier. - Usiądźmy i do roboty. Ale najpierw powinna się pani dowiedzieć, że wyznaczono pięć tysięcy nagrody, jeżeli dzięki pani doprowadzimy sprawę do końca.

- Pięć patyków? Niemożliwe! Święty Boże, szybko, niech pan sobie wygodnie usiądzie.

I ruszyła cwałem w kierunku ogromnego stołu, z którego zaczęła uprzątać walające się na nim odpadki i puste butelki po piwie i pepsy-coli.

XVI

„Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą, błogosławionas ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twójego Jezus”.

Kościół pogrążony był w przejmującej ciszy, jaka zwykła towarzyszyć zakończeniu mszy wieczornej. Proboszcz poprzedzany przez małego ministranta niosącego mszał, udzielił błogosławieństwa nielicznym wiernym i zniknął, jakby wchłonięty przez ścianę.

Salvatore Manalese klęczał, przesuwając w palcach paciorki różańca. Chwilami do jego uszu docierał łagodny głos Marii. Dotąd nie potrafiła się przyzwyczaić do cichej modlitwy. Było

to silniejsze od niej, potrzebowała głośnego uzewnętrznienia swojej pobożności. Może sądziła, że w ten sposób łatwiej przebłąga Boga, by nie zsyłał zbyt wielkich cierpień na ród Manalese. Nagle po prawej stronie Sycylijczyka zrobiło się zamieszanie. Jakiś odgłos, przypominający stłumione gdakanie, zakłócił spokój świętego miejsca. To Cecylia, siedząca pomiędzy matką i dziadkiem, zobaczyła, że kościelny zaczyna gasić świece, i nie mogąc już wytrzymać w milczeniu zaczęła gaworzyć sama do siebie. Teresa podniosła rękę, żeby dać jej klapsa, ale stary ją powstrzymał. Dla wnuczki był samą wyrozumiałością. Cecylia spuściła głowę, udając zawstydzenie. Ale były to tylko pozory. W obecności dziadka nigdy nie mogła jej spotkać żadna przykrość. Przeciwnie. Maria, znajdującą się po lewej ręce Salvatore, przywołała swoich do porządku, głośnym: „Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

Amen”. Wszyscy poszli za jej przykładem i przeżegnali się, nawet dziewczynka, która wpatrzona w kościelnego pękała z niecierpliwości. Z głową rodziny na czele skierowali się do wyjścia

Wkrótce Buick starego gangstera, uchodzącego powszechnie za godnego szacunku kupca, zatrzymał się przed sklepem. Salvatore odprowadził kobiety do progu, ale sam nie wszedł do środka. Pochylił się, podniósł do góry dziewczynkę, uściśnął ją pospiesznie i kreśląc jej krzyżyk na czole, szepnął z uśmiechem:

- Bądź grzeczna, bambina!

Potem, oddając dziewczynkę matce, powiedział:

- Wiesz, gdzie można mnie znaleźć. Mam jeszcze robotę przed wyjazdem.

Teresa skinęła głową i weszła do domu, ciągnąc za sobą córeczkę. Jej rodzice patrzyli na siebie w milczeniu. Nie trwało to długo. Kaid rodziny Manalese wykonał już półobrót kierownicą, przygotowując się do odjazdu.

- Do zobaczenia, żono.

- Niech Bóg cię strzeże, Salvatore.

Odczekała, aż odjedzie, i dopiero potem weszła do środka.

Nie zadawała nigdy pytań. Nigdy też nic jej nie mówiono. Ale wiedziała wszystko. Intuicja. Ileż razy w ciągu ich długiego 'życia żegnała się z mężem, nie wiedząc, czy powróci! Najczęściej nie знаła krajów, do których wyjeżdżał. Raz tylko, kiedy dostał postrzał, sprowadził ją do Bogoty, w Kolumbii. Ale było to już bardzo dawno temu. Zanim dzieci przyszły na świat. Teraz do trosk, wiążących się z Salvatore, dołączył się nowy niepokój: synowie poszli w ślad ojca. Nie mogła się temu przeciwstawić. Miała jedynie prawo znosić to i cierpieć. Należała do rodu Manalese, którego głową był jej Salvatore.

*

Czarna DS-a z anteną, pełna glin, zatrzymała się przed sklepem Cartiera, wyprzedzając pancerną furgonetkę, za którą stanęła druga czarna DS-a z taką samą zawartością. Sześciu motocyklistów z eskorty, w kaskach i wysokich butach, ustawiło się po bokach konwoju. Siedzieli na motorach pracujących na pełnych obrotach, podpierając się jedną nogą o ziemię. Wszystko obliczone było z zegarkiem w rękę, gdyż w trzy sekundy później dyrektor słynnej firmy wyszedł, trzymając w rękę małą walizeczkę. Wszyscy policjanci obserwujący okolicę odprowadzili go wzrokiem, gdy przechodził przez chodnik. Tył furgonetki otworzył się do połowy i dyrektor zniknął w środku ze swym cennym bagażem. Rozległ się trzask zamykanych drzwi, ostry zgrzyt wewnętrznego zamka i cały konwój ruszył. Sergio opuścił pośpiesznie bistro, z którego obserwował cały manewr, i wskoczył do Simki.

*

Mimo dość późnej godziny Orly wypluwało ze swoich wnętrzności podróżnych przybywających ze wszystkich stron świata. Salvatore okazał kartę lotu i wyszedł na płytę. Przed nim szedł Jack. Sam po niego pojechał, bo nie mając do pilota zaufania, wolał zająć się nim osobiście. W tym niesłychanym wyczynie, jakiego mieli dokonać, on był ich najważniejszym atutem. Nie wolno było go utracić, pozwalając mu się upijać, latać za dziewczynami albo wręcz wycofać się. Od wielu już dni Salvatore nie popuszczał mu cugli. Bez przerwy deptał mu

po piętach, a jego wszechwładna obecność była dla pozbawionego uprawnień pilota nieustannym zagrożeniem. Czyż stary nie reprezentował Frankiego Vittorio? Dla Amerykanina zaś, który zgodził się wejść w konflikt z prawem, Vittorio był synonimem życia lub śmierci. Bogactwa lub betonowego grobu.

Znalazłszy się na górze, w oszklonym hallu, z którego można było obserwować odloty i przyloty, Salvatore udał się do urzędu pocztowego i zaczął przeglądać książkę telefoniczną. Sergio przeszedł obok, potrącił go i mruknąwszy jakieś zdawkowe przeproszenie szepnął:

- O.K. Ładują.

Salvatore nawet nie spojrzął w jego stronę. Pochyłony nad książką telefoniczną, przepisał z niej pierwszy lepszy numer i wrócił do hallu. Widząc go, nikt nie domyśliłby się, kim jest naprawdę. Rękawiczki pekari, kapelusz „eden”, nieskazitelnie oczyszczone czarne buciki, ciemnopopielate ubranie, wyśmienicie skrojony płaszcz gabardynowy i elegancka walizeczka w rękę - wszystko to składało się na sylwetkę pełną surowej godności.

Pracownicy lotniska i bagażowi uwijali się dookoła ogromnego Boeinga 707, sprawiającego wrażenie, że lada chwila ziemia rozstąpi się pod jego potwornym ciężarem. W łagodnym, nieruchomym powietrzu unosił się mdlący zapach benzyny. W górze migotały roje świateł, a na ziemi wyły silniki gotujących się do odlotu Caravelles.

U stóp mostka, prowadzącego do pierwszej klasy, uzbrojeni policjanci utworzyli szpaler, gotowi w każdej chwili przywołać do porządku ewentualnego napastnika., Ale któż by się na to odważył... Ich dowódca dał znak konwojentom furgonetki i tylne drzwi otworzyły się. Jubilerzy wynurzali się kolejno. Było ich ośmiu. Sama śmietanka: Clerc, Boucheron, Cartier, Chaumet, Albuquerque, Van Cliff i Arpels, Mauboussin i Harry Winston. Ich sklepy znajdowały się wyłącznie w takich miejscach jak plac Vendôme czy ulica de la Paix, gdzie „mrowiskowce” należą do rzadkości. Każdy z jubilerów niósł w rękę walizeczkę umocowaną na łańcuszku przytroczonym do

paska. Niełatwo byłoby ulżyć im w dźwiganiu tych ukochanych ciężarów! Wspięli się po schodkach, a tuż za nimi dwóch policjantów, specjalnie wyznaczonych do towarzyszenia im w podróży. Dodatkowa ostrożność, na której zależało specjalnie wielkim bonzom świata jubilerskiego. Była to zresztą wyłącznie formalność, gdyż w Nowym Jorku miała na nich czekać potężna obstawa policyjna, by eskortować ich w bezpieczne miejsce. Kiedy już wszyscy siedzieli w swoich od dawna zarezerwowanych fotelach, konwojujący ich do samolotu policjanci wykonali „w tył zwrot” i tupiąc głośno odmaszerowali, odprowadzani pełnym podziwu spojrzeniem bagażowych, pocących się w niebieskich płóciennych kombinezonach.

*

Ludwik Berlińczyk i Teresa, nadal - nawet w fałszywych papierach - pozostający mężem i żoną, czuwali bez przerwy przy izbie chorych na Orly. Matowa szyba nie pozwalała im widzieć, co się dzieje w środku, ale wiedzieli, że znajduje się tam Muszka. Zgodnie z planem Jeanne zaprowadziła go tam po przybyciu na lotnisko. Bez trudu udając młode zakochane małżeństwo spacerowali tam i z powrotem, pozornie pogodni i beztroscy, w rzeczywistości jednak cały czas w czujnym pogotowiu. Nie zwolnili kroku nawet wówczas, gdy dostrzegli żandarma i inspektora z Orly wchodzących do ambulatorium. Czyżby wszystko miało się zawalić? Czy też... Wiedzieli, że morderca nie da się ująć żywy. Byli tam, żeby zająć się Jeanne w razie wpadki, podczas gdy Muszka z bronią w rękę próbować miał swej ostatniej szansy. W razie wyspy mieli się wszyscy spotkać u starego. Kiedy obaj policjanci zniknęli w izbie chorych, para zatrzymała się nie opodal małej Chinki, ubranej tradycyjnie w długą czarną suknię, gotowa w każdej chwili błyskawicznie znaleźć się na zewnątrz, gdzie czuwał Aldo.

Wchodzący do ambulatorium żandarm i inspektor grzecznie pozdrowili obecnych. Lekarz dyżurny, nie wstając zza metalowego biurka, wskazał siedzącego przed nim Muszkę:

- Jeśli nie byłoby to dla panów zbyt kłopotliwe, wołałbym,

żebyście załatwili tutaj formalności związane z przejściem tego pana do samolotu. Był we Francji operowany przez profesora Margoutier i byłoby ze wszech miar wskazane oszczędzić mu męczącego oczekiwania na wspólnej sali.

- Czy ma pan przy sobie paszport? - zapytał żandarm, ugrzeczniony, jak wszyscy cwaniacy z jego branży.

Muszka ani drgnął. Zmieniony był nie do poznania. Ręce w szarych rękawiczkach oparł na białej lasce niewidomego, umieszczonej między kolanami, wąsy miał krótko przystrzyżone, sterczące, a na oczach czarną opaskę. Materiał i krój jego ubrania z daleka załatywały „made in USA”. Natomiast Jeanne przebrana była za luksusową pielęgniarkę: buciki na niskich obcasach, niebieskawy kostiumik gabardynowy, lekki płaszcz, a na głowie jasnoniebieski czepek, stanowiący oprawę jej ładnej buzi. Teraz wtrąciła szybko:

- On nie mówi po francusku. Ja mam wszystkie jego papiery i odwożę go do Stanów.

Wyjęła amerykański paszport Muszki. Piękna robota. Lepsza, niż gdyby był prawdziwy. Wykonany przez włoskich ekspertów. Ci makaroniarze mogliby zrobić karierę w „Arts et Lettres”, gdyby nie było to tak ekskluzywne środowisko. Gliniarze zaledwie rzucili na niego okiem. Inspektor spojrzał jednak pytająco na lekarza, który potrząsnął plikiem zaświadczeń ze znanej kliniki.

Przyjechał na operację do jednego z naszych najsłynniejszych specjalistów i teraz wraca do domu. Za miesiąc będzie mógł zdjąć opaskę. Profesor Margoutier to mistrz nad mistrze!

Młody lekarz był pełen podziwu. Gliniarz, szowinista, jak każdy porządny żabojad, pokiwał głową z uznaniem. Ponownie zwrócił się do Jeanne.

- Pani jest również obywatelką amerykańską? Pani akcent...

Posłała mu uśmiech, od którego serce zabiło w nim na alarm.

- Nie, jestem paryżanką. Proszę, tu jest mój paszport. Ale

mówię biegle po angielsku, więc powierzono mi towarzyszenie w podróży naszemu choremu.

- Widzę - stwierdził żandarm, przeglądając pobieżnie dokument. - Tak, pozostaje nam więc tylko życzyć państwu miłej podróży. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli ambulans dowiezie go do samolotu?

Spojrzał na doktora, który oddawał właśnie fałszywe dokumenty żonie Aida.

- Tak, załatwiłem już w tej sprawie wszystko, co trzeba - odparł lekarz. - Przepraszam, że panów fatygowałem, i dziękuję za uprzejmość.

Gliniarze pożegnali się. Już w drzwiach inspektor zwrócił się do Muszki po angielsku:

- *Good bye, sir. And good health.*

- *Good bye* - odpowiedział Muszka, którego twarz ani na sekundę nie zdradziła straszliwego napięcia nerwowego, w jakim się cały czas znajdował. - *And thank you for your wishes.*

Policjanci wyszli, mijając Berlińczyka i Teresę, którzy powstrzymali westchnienie ulgi. Szczęście, że pomysł Salvatore chwycił! Gdy trzeba wymyślić jakiś podstęp, nie ma to, jak stara gwardia gangsterska! Podeszli do drzwi wejściowych, dyskretnie dali Aldowi znak, że wszystko w porządku, i skierowali się ku ruchomym schodom, by dołączyć do szefa klanu. W tym samym czasie pielęgniarze pomagali Jeanne w przewiezieniu Muszki do samolotu.

*

Po otrzymaniu wiz pasażerowie przeszli do pomieszczenia przeznaczonego dla oczekujących na wejście do samolotu. Nikt z zewnątrz nie miał już do nich dostępu. Po dopełnieniu formalności byli „tabu”. Niektórzy drzemali, inni najwyraźniej obawiali się podróży samolotem, co widać było po ich zatroskanych minach. W kącie młoda matka karmiła niemowlę, obnażywszy obie piersi. Jakiś naftowy książe arabski, czarno-białym ubraniem przypominający Rudolfa Valentino z filmu „Syn szejka”, palił w milczeniu, nieco nonszalancki i czarujący. Naprzeciw niego siedział grubas,

uskarżający się po holendersku, że zdarli z niego skórę, każąc płacić za nadwagę bagażu. Manalese nie znali się. Stary był z Jackiem. Teresa w ciemnych okularach gwiazdy filmowej, by ukryć oczy zbyt podobne do oczu ojca, w dalszym ciągu gruchała ze swym Berlińczykiem. Aldó w rogowych okularach, nienagannie ubrany, pogrążony był w rozwiązywaniu krzyżówki. W drugim końcu sali Sergio kokietował jakąś młodą piękność zrobioną na angielską pensjonarkę, której pilnował cerber, rzucający mu mordercze spojrzenia. Ale młody podrywacz nic sobie z tego nie robił. Stojąc obok pięknej dziewczyny, łaskotał ją w szyję trzymaną w rękę gazetą. Dziewczyna w minispódnicy, niewiele zakrywającej, zachichotała i cerber posłał Sergiowi zabójcze spojrzenie, które bynajmniej go nie speszyło. Obserwujący go ze swego kąta Salvatore zakaszłał, przywołując do porządku niesfornego potomka. Nie był to najlepszy moment na wywoływanie skandalu z powodu spódniczki. Ach, ta młodzież! Wszędzie muszą coś narozrabiać! Niczego nie uszanują. Usłyszawszy ostrzeżenie, Sergio zerknął na ojca i grzecznie się odsunął. Niezbyt daleko wprawdzie. Nadal posyłał angielskiej dzidzi ogniste spojrzenia.

Tuż za oszklonymi drzwiami zatrzymały się dwa autokary i stewardesa Pan American Airways oznajmiła po angielsku:

- Pasażerowie odlatujący do Nowego Jorku. Z czerwonymi kartami prosimy do tych drzwi. Z zielonymi do następnych. /

Salvatore i Jack podeszli do niej, gdy powtarzała wezwanie po francusku. Reszta komanda skierowała się do drzwi przeznaczonych dla pasażerów klasy turystycznej.

Po krótkiej jeździe autokarem Salvatore i Jack weszli do kabiny zarezerwowanej dla pierwszej klasy. Sycylijczyk podał stewardesie kapelusz i płaszcz, został jednak w rękawiczkach pekari i zatrzymał przy sobie walizczkę podróżną. To samo zrobił Amerykanin. Stary szybkim spojrzeniem obrzucił pomieszczenie i jego pasażerów. Muszka z Jeanne przy boku zajmowali dwa pierwsze fotele w prawym rzędzie. Za nimi siedzieli parami, dobrani na zasadzie wspólnych zainteresowań, dyrektorzy firm jubilerskich i dyskutowali.

Naftowy książe, samotny, nadal zachowujący wzdarcliwy dystans, usadowił się z nieodłącznym papierosem w ustach koło wyrzekającego Holendra. Salvatore pozwolił zaprowadzić się do środka. Przechodząc rzucił okiem na dwóch gliniarzy w cywilu. Ale nie zauważył w nich nic szczególnego. Ubrani byli przyzwoicie, nie mogli jednak ukryć ani charakterystycznych twarzy, ani kwadratowych podbródków.

Po zakończeniu ostatnich przygotowań, zapowiedzi stewardesy i życzeniach dobrej podróży od kapitana, pasażerowie zapięli pasy, zgasili papierosy i włożyli do ust cukierki, ofiarowane im przez hojne linie lotnicze. Zary- czały odrzutowe motory i potwór zaczął toczyć się powoli ku pasom startowym. W kwadrans później 140 ton i 180 pasażerów unosiło 'się już na tle granatowego nieba upstrzonego gwiazdami. Stewardesa, ładniutka zielonooka blondynka, pochyliła się nad Muszką, któremu Jeanne odpinała właśnie pas.

- Mogę przynieść mu coś do picia?

- Nie, dziękuję - odparła Jeanne. - Przede wszystkim musi odpocząć. Ale ja chętnie napiłabym się whisky.

Blondynka zniknęła. Muszka, który czuł ciepłe udo żony Aida tuż przy swojej nodze, mruknął przez zęby:

- Kto pani kazał decydować za mnie, czy mam ochotę napić się, czy nie?

Pochyliła się nad nim, udając, że poprawia mu pod głową oparcie.

- To moja zemsta. Ciągłe jeszcze pana pragnę - szepnęła.

- Skończmy z tym, nigdy już się nie zobaczymy. Pani wraca do Francji. Ja nie.

Powiedział to sucho, po francusku. Zwróciła mu na to uwagę:

- Niech pan nie zapomina, że ma pan mówić wyłącznie po angielsku!

Drażnił go jej zapach, jej usta muskały jego wargi.

- Uważaj, żeby twój teść nie zauważył, co robisz - warknął. -I odsuń się, do jasnej cholery. Zwariowałaś, czy co?

Nie posłuchała, nadal cynicznie ocierała się o niego udem.

- Zaraziłeś mnie swoją namiętnością, czuję ją w sobie.

Cisnął z całej siły białą laskę. Kobiętę przeszedł dreszcz rozkoszy.

- Często będę o panu myślała - powiedziała. - O drewnianej szopie, i o burzy, która była tamtego dnia. A pan?

- Odczep się.

Jej śmiech rozplątał się w ogłuszającym warkocie od-rzutowych silników. Zwrócił ku niej twarz, pozbawioną Wyrazu z powodu zakrywającej oczy opaski. Roześmiała się znowu, ubawiona jego przymusową bezsilnością.

— Z przyjemnością zadałby mi pan ból, co?

Otworzył usta, a jego krótko obcięte wąsy zjeżyły się pod wpływem wściekłości.

- Zamknij się, na miłość boską!

Ujęła jego rękę i wbijając mu paznokcie w nadgarstek osłonięty rękawem marynarki, szepnęła: - Uwielbiam, jak się wściekasz.

- Szlag by to trafił.

Prawie krzyknął. Zaśmiała się, podniecona, ale zaraz zamilkła, bo stewardesa podniosła właśnie znajdujący się przed nią składany stolik, a w chwilę później barman w białej kurtce stawiał już na nim whisky z wodą. Poczekała, aż odejdzie, i unosząc w górę kieliszek, powiedziała:

- Twoje zdrowie.

Odwrócił głowę, tak, że widoczny był teraz jedynie jego profil, przecięty czarną opaską. Jeanne wypila i spojrzała w stronę Salvatore, który z Jackiem deptającym mu po piętach zmierzał w stronę ruchomego baru, przeznaczonego dla pasażerów pierwszej klasy. Zdziwiło ją to, bo normalnie bar ten znajdował się za fotelami pierwszej klasy, a nie przed nimi. Stary wyglądał imponująco, szkoda gadać. Tym bardziej, że nie zdjął rękawiczek, podobnie jak niektórzy eleganci podczas podróży albo podczas prowadzenia samochodu. On jednak miał ku temu jeszcze inny powód, ten mianowicie, że zarówno on sam jak odciski jego palców figurowały w kartotece Interpolu. Tylko on i Muszka zostali w rękawiczkach. Inni, nie znani policji, nic nie ryzykowali,

nawet gdyby po napadzie - co należało przewidywać - policjanci z amerykańskiego wydziału śledczego zdejmowali w samolocie odciski palców. Spod opaski Muszka dostrzegł zarys pleców starego.

- Dokąd on idzie? - szepnął.

- Rozejrzeć się w terenie, jak sądzę.

- To trzymaj się ode mnie z daleka. Z baru może nas zobaczyć.

Jej zęby zadzwoniły o szklanke.

- Boi się go pan, prawda? - zapytała półgłosem, z ironią.

Przechylił głowę do tyłu, żeby móc obserwować, co robi stary, nie podnosząc zbyt opaski.

- Kretynka. Boję się wyłącznie o ciebie. Powinnaś znać Sycylińczyków lepiej ode mnie, skoro zostałaś żoną jednego z nich.

Odsunęła się nagle od niego i zagłębiła we własnym fotelu. To prawda, że w wypadku zdrady małżeńskiej z tą rasą nie było żartów. Zadrżała znowu, ale tym razem wewnątrz. Mimo wszystko nie żałowała. Owego słynnego popołudnia, w szopie, była z Muszką szczęśliwa, mimo że ją spoliczkował, a może właśnie dlatego. Zerknęła w stronę baru, nadal nie oddzielonego zasłoną. Jej teść, z kieliszkiem w ręku, rozmawiał swobodnie z Jackiem, co nie przeszkadzało mu rozglądać się uważnie dookoła. Nagle usłyszała koło siebie głos Muszki:

- Ponieważ wszystko jest zaplanowane co do minuty, nie będę już miał okazji z nim porozmawiać ani później zobaczyć się z nim. A właśnie uświadomiłem sobie, że zapomniałem mu powiedzieć o pewnej sprawie.

- O jakiej?

- O kolekcji znaczków. Proszę, niech mu pani powie, żeby oddał ją mojej córce.

Odwróciła głowę w jego stronę i przyjrzała mu się. Dziwny z niego człowiek. W takiej chwili, kiedy przygotowują się do największego napadu wszechczasów, on myśli o swojej córce.

- Nie zapomnę - obiecała.

- Dziękuję. Niech jej to dostarczy, kiedy sam uzna, że jest najlepszy moment.

Opróżniła do dna szklankę i wyznała w przyplwście
szczerości

- Dziwny pan jest.

- Mogę na panią liczyć? - Niczego nie zapomnę.

- Dziękuję - powtórzył, wyciągając nogi i przechylając się do tyłu razem z fotelem. - Czy mogłaby pani poprosić, żeby mi dano pled? Chyba się trochę zdrzemnę. Obudzi mnie pani, kiedy nadejdzie pora.

Jej fiołkowe oczy zrobiły się okrągłe.

- Będzie pan mógł zasnąć, przed tym wszystkim, co nas czeka?

Zobaczyła, że pod trochę śmiesznym, przypominającym szcztokę wąsem, błysnęły zęby.

- Potrafię spać byle gdzie. Myślę, że gdyby nie udało mi się uciec, mógłbym nawet spać w noc poprzedzającą moją własną egzekucję.

- Poczuela, że znowu przeszedł ją dreszcz, ale nic nie odpowiedziała, gdyż w tej samej chwili zatrzymało się na niej spojrzenie teścia, stojącego nadal przy barze, po czym zaraz przeniosło się na jubilerów, układających się do snu.

- Czy mogłaby pani przynieść pled dla mojego pacjen- tu? - zwróciła się do stewardesy, która właśnie przechodziła kołyszając się w biodrach, odprowadzana zachwyconymi spojrzeniami mężczyzn.

- W tej chwili, proszę pani - odpowiedziała blondynka odchodząc. - Dla pani również?

- Owszem, poproszę - zgodziła się Jeanne, wyciągając się na fotelu.

*

Jedne po drugich gasły papierosy i fajki, cichły rozmowy. Zmęczenie zaczęło dawać się we znaki pasażerom Boeinga, unoszącego ich ku Stanom z szybkością 950 kilometrów na godzinę. Niemal wszyscy już spali, zarówno w klasie pierwszej, jak w turystycznej. Nad wejściem prowadzącym do pierwszej klasy elektryczny zegar wskazywał dwunastą czterdzieści. Aldo, siedzący w środku prawego rzędu foteli, sprawdził zegarek w niebieskim świetle nocnej lampki. Szedł

punktualnie co do sekundy. Otworzył torbę podróżną, wyjął z niej Berettę i ukrył w kieszeni. Zgodnie z planem, dokładnie za godzinę Boeing powinien wylądować. Oczywiście według czasu nowojorskiego. Na wszelki wypadek Salvatore dopilnował, by całe komando uregulowało zegarki według amerykańskiego czasu. Wylatując o jedenastej z Orly mieli lądować o pierwszej, wliczając w to naturalnie zmianę czasu. Aldo wyciągnął się i zapalił papierosa, ale zakrztusił się dymem i zaczął kaszleć, wstał więc i wyszedł, przepaszając śpiącego sąsiada, który tylko gniewnie zamruczał. Wnętrze latającego statku tonęło w błękitnawej poświacie. Zdjąwszy buty, przykryci do kolan pledami, pasażerowie klasy turystycznej pogrążeni byli we śnie. Widocznie niektórym coś się śniło, bo rzucali się niespokojnie. Inni, nieliczni! czytali przy świetle indywidualnych lampek. Aldo skierował się w głąb samolotu w poszukiwaniu Sergia. Zmarszczył brwi nie widząc młodszego brata tam, gdzie powinien się znajdować, to jest w ostatniej parze foteli po lewej stronie. Uspokoił się jednak, zobaczywszy go w przedostatnim fotelu na prawo. Nie marnował chłopak czasu! Leżeli z angielską pensjonarką przytuleni do siebie jak stare małżeństwo obchodzące złote gody. Aldo rozejrzał się w poszukiwaniu cerbera pilnującego niewinności i dostrzegł ją w fotelu, koło wolnego miejsca. Spała z zaciśniętymi pięściami, za to usta miała szeroko otwarte i rozgłośnie chrapała. Sergio odczekał zapewne, aż zmęczenie weźmie w niej górę, i szybciotko dogadał się z milusińską, która najwyraźniej nie była od tego. No cóż, często tak właśnie, znienacka i wśród niewygód poczęte bywają najpiękniejsze dzieci! Te, które biją wszystkie konkurencje i zdobywają wszystkie nagrody! Niemniej należało przywołać chłopaka do porządku, żeby wiedźma widząc ten czarujący obrazek nie narobiła hałasu. Pochylił się nad bratem i trącił go w ramię.

- Czego chcesz? - ziewnął Sergio, niezadowolony. - Co się...

Spoczywająca na jego piersi zdobywcza westchnęła głęboko i uwiesiła mu się na szyi. Spojrzał na brata, którego twarz zmieniona przyciemnionymi okularami tonęła w półmroku.

- Przygotuj się - szepnął Aldo.

Sergio pocałował w czoło angielską dzidzię i wyzwoliwszy się delikatnie z jej objęć wrócił na swoje miejsce. Następnie wyciągnął spod fotela torbę Air France i otworzywszy ją, zaczął wyjmować jej zawartość. Uspokojony, Aldo odwrócił się i zabierając po drodze swoją torbę podróżną przeszedł do przedniej części samolotu, gdzie znajdowali się Ludwik i Teresa. Dotknął szwagra palcem, żeby sprawdzić, czy śpi. Napięte mięśnie świadczyły, że Jest już w pogotowiu. Awanturnicy, których krew nie zgęstniała od nadmiaru żarcia i wygod, mają szybki refleks. Rzuciwszy okiem na elektryczny zegar, Berlińczyk obudził Teresę. Aldo udał, że idzie do w.c., w rzeczywistości zaś zatrzymał się w ciasnym korytarzyku, oddzielającym klasę turystyczną od pierwszej. Tymczasem Ludwik odrzucił pled przykrywający mu nogi, przyciągnął do siebie skórzaną teczkę i wyjął z niej ciężki pistolet, do którego zamontował ruchomą kolbę. Teresa szperała w swojej walizeczce.

Na przodzie samolotu Salvatore szturchnął w bok Jacka i w błękitnym półmroku ruszyli obaj w stronę baru. Przechodząc obok jubilerów stary stwierdził, że śpią, podobnie zresztą jak domniemani gliniarze. Ci to mają spokojne sumienie! A jacy ufni! Któż by pomyślał, patrząc na nich teraz, że wiozą ze sobą coś, za co można by opłacić kilka dni wojny w Wietnamie? Przed podniesieniem zasłony oddzielającej bar Sycylińczyk zatrzymał się i zapalił trzymane w zębach czarne cygaro. Również bez słowa, Jeanne zdeptała nogą cygaro Muszki, który podobnie jak Berliń- czyk obudził się w ciągu sekundy. I kiedy Jeanne wstała i zachowując się swobodnie podeszła do swego teścia, on - zsunąwszy czarną opaskę - dwoma ruchami złożył znajdujący się w teczce pistolet maszynowy i wprowadził do lufy nabój. Rozległ się metaliczny szczęk stali. Muszka znieruchomiał nasłuchując, ale dźwięk nie zwrócił niczyjej uwagi. Za nim wszyscy spali. Okrył pledem pistolet spoczywający na kolanach i obserwując zasłonę oddzielającą bar, łowił uchem każdy dźwięk, dochodzący od strony najbliższych pasażerów.

Tymczasem za zasłoną wypadki toczyły się szybko Siedząc przy barze, dwie stewardesy i barman skracali sobie ostatnie godziny lotu popijając whisky. Nareszcie przyszła ich kolej, żeby sobie poflirtować. Na widok Salvatore i Jeanne, którzy nie zwracając na nich uwagi szli w kierunku kabiny pilota, barman próbował zagrozić im drogę.

- Ależ...

Na widok rewolweru, który Jeanne błyskawicznym ruchem skierowała w jego brzuch, zatrzymał się jak wryty

- Proszę nie ruszać się z miejsca - uprzedziła. - Chodzi o pana życie.

Widząc, że stewardesy próbują się poruszyć, szybko wycelowała broń w ich kierunku.

- Ostrzeżenie was również dotyczy.

Amerykańskie stewardesy patrzyły na Jeanne w osłupieniu. Dziwna pielęgniarzka! I jeszcze dziwniejsze metody pielęgnacji! Chyba to niemożliwe! Czyżby miał to być dowcip? Jeżeli tak, to głupi żart w koszarowym stylu! Uparta blondyneczka spróbowała jednak wyjść spoza kontuaru.

- Czyżby nie zależało pani na spotkaniu księcia z bajki i urodzeniu mu kupy dzieci? - zatrzymała ją Jeanne, nadal posługując się angielskim. - Uprzedzałam, żeby zachować spokój.

Oczy jej błyszczwały - w niebezpieczeństwie żona Aida była w swoim żywiole. Miała to we krwi. Nie była stworzona do zdobywania nagród wzorowej gospodyni i przyjmowania gratulacji od samego wielkiego Charles'a wraz z medalem dla matek wielodzietnych. Każdy musi iść własną drogą. I nie każda kobieta może być kurką domową.

W momencie gdy Salvatore miał je rozsunąć, drzwi do kabiny pilota otworzyły się i ukazał się w nich radiotelegrafista, w samej koszuli, z camelem w zębach i kroplami potu na czole.

- Odwróć się - rozkazał Salvatore.

Gdyby samolot nagle zaczął tańczyć jerka, radiotelegrafista zapewne nie wytrzeszczyłby bardziej oczu. Zrobiły się one wielkie jak latające spodki.

- Jazda, odwróć się - powtórzył Salvatore, popychając go do środka lufą swojego specjalnego rewolweru policyjnego, kalibru 38.

Wstrzymując oddech, mężczyzna wykonał polecenie. Z kolei do kabiny wszedł Jack z bronią w rękę i zwrócił się do siedzącego za sterami pierwszego pilota:

- Wykonasz posłusznie to, co teraz usłyszysz. Nie masz innego wyjścia.

Drugi pilot, drzemiący w fotelu po prawej stronie, porwał się na równe nogi, jakby go coś ukąsiło w siedzenie.

- Co? Co? - wrzasnął.

- Ty siadaj! - zgromił go Jack. -I zamknij się.

Salvatore, który przezornie obmacywał kieszenie ich bluz, wiszących na hakach, był pełen podziwu. Proszę bardzo, ten Jack nieźle sobie radzi. Trzeba go tylko pilnować, żeby nie wprowadzał zbyt w czyn swojej dewizy: „Motor wymaga tankowania”.

Drugi pilot odruchowo wykonał gest, jakby chciał się bronić, ale w tej samej chwili kolba pistoletu Jacka trafiła go w podstawę czaszki i stracił przytomność. Salvatore przyklęknął teraz koło pierwszego pilota, który włączył pilota automatycznego.

- Nie ma pan wyboru. Proszę robić to, co się panu każe.

- A jeżeli odmówię?

Był atletycznej budowy, a jego męskie rysy musiały siać spustoszenie w sercach płci pięknej. Salvatore uniósł w górę swój „38”.

- Wówczas...

Mężczyzna roześmiał się głośno, nie przestając przez cały czas obserwować licznych informacji, pojawiających się na tablicy świetlnej.

- A kto będzie pilotować, jeżeli mnie wykończycie?

Salvatore ruchem głowy wskazał Jacka, który groźbą starał się zmusić radiowca, by usiadł z powrotem na swoim miejscu.

- On. Zna Boeinga równie dobrze jak pan.

W świetle fosforyzującej busoli pierwszy pilot usiłował

rozpoznać rysy Jacka. Ale jego twarz nic mu nie mówiła, nie kojarzyła mu się z żadnym wspomnieniem. A więc miał do czynienia z kolegą! Skąd on się tu wziął? W każdym razie na pewno był to rodak. Jego akcent wykluczał pomyłkę.

- Chodzi wam oczywiście o brylanty? - powiedział, raczej stwierdzając fakt, niż pytając.

- Oczywiście - powtórzył za nim Salvatore.

- Jeszcze ich nie macie. Na lotnisku międzynarodowym w Nowym Jorku gliny wygarną was jak kurczęta. Wasz napad skazany jest na fiasko. Trzeba być wariatem, żeby się porwać na coś takiego.

Wolną ręką Sycylińczyk wyjął plan i podsunął go pod jedną z lampek.

- Nie lądujemy na międzynarodowym, tylko tu.

Lufą rewolweru pokazał jakiś punkt na planie. Komendant Boeinga aż podskoczył.

- Oszaleliście? Tam nie ma pasów do lądowania!

- Toteż wylądujemy na odcinku autostrady jeszcze nie otwartym dla ruchu, łączącym autostradę Major z autostradą Walley. Dokładnie w tym miejscu. Ma cztery i pół kilometra. Więcej niż nam potrzeba.

Komendant wpatrywał się w zamyśleniu w dym, wydobywający się z czarnego koślawego cygara, tkwiącego w wąskich ustach Sycylińczyka.

- Pan jest Włochem? W każdym razie pali pan włoskie cygaro.

- Proszę nie zadawać pytań. Niech się pan zacznie zastanawiać, jak najlepiej wylądować.

Zimny błysk pojawił się w oczach pierwszego pilota.

- Odmawiam wzięcia udziału w napadzie.

Stary na moment się zawahał. Początkowo zrobił gest, jakby chciał mu grozić, ale potem uśmiechnął się i powiedział Wskazując Jacka, który zajął miejsce drugiego pilota i założył jego słuchawki związawszy mu najpierw ręce na plecach.

- Jak pan sobie życzy. Bill się tym zajmie. Ale zmusi mnie pan, żeby pana unieszkodliwił.

Wszystko było ustalone w najdrobniejszych szczegółach.

Jack został Billem, żeby później wprowadzić w błąd policję. Salvatore wyprostował się i ostrzegł radiotelegrafistę:

- Przy pierwszej próbie zawiadomienia kogokolwiek, co tu się dzieje, jest pan martwy. Bill będzie miał pana na oku. I dobra rada: niech się pan weźmie do swojej roboty. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Radiotelegrafista spojrział pytająco na swego szefa, który zagryził wargi. Salvatore ułatwił mu decyzję.

- Poproszę wobec tego, żeby pan wstał. Ten pan zajmie pana miejsce - powiedział, wskazując Aida, który się właśnie pojawił, w jednej ręce trzymając Berettę, opartą na biodrze, a w drugiej torbę podróżną.

- Wygląda na to, że wszystko pan przewidział - stwierdził komendant, wyławiając fajkę z kieszeni koszuli.

- Wszystko - potwierdził stary. - Oświetlenie terenu lądowania i tym podobne. I na pana miejscu pomógłbym w posadzeniu na ziemi tego pudła. My nie możemy się już cofnąć. I dlatego jesteśmy raczej niebezpieczni. Pan natomiast jest szefem tego Boeinga, odpowiedzialnym za powierzone sobie dusze. Ma ich pan na pokładzie 180 i od pana zależy ich los. W każdym razie zależał. Bo my możemy obejść się doskonale bez pańskiej pomocy, niech mi pan wierzy, tylko że...

Ręka w rękawiczce podniosła do ust cygaro. Zaciągnął się, wypuścił kłęb cierpkiego dymu i dokończył:

- ...Tylko, że gdyby pan się zgodził, byłbym po prostu spokojniejszy... gdy chodzi o pana pasażerów.

Zaśmiał się krótko, niewesoło.

- Z panem czy bez pana, i tak będę miał tę biżuterię. Po to jestem, a ja nie mam zwyczajów żartować.

Kapitan samolotu zaczynał się domyślać, że ten dystyngowany bandyta nie żartuje! I mimo woli ulegał jego potężnej osobowości. Co miał zresztą robić? Stawić opór? W powietrzu? Ze 180 osobami na pokładzie, których los od niego zależał, jak słusznie zauważył ten siwowłosy pirat? Wiedział, jak go zagiąć: odwołując się do jego odpowiedzialności pierwszego pilota, człowieka, któremu tysiące ludzi rocznie powierza swoje życie.

Skapitulował.

- Zgoda. Poprowadzę samolot. Pański wspólnik może mnie kontrolować, radiotelegrafista też będzie robił, co do niego należy. Czy mógłbym za to prosić pana, żeby się pan nie znęcał nad moimi pasażerami?

Stary zgasił cygaro w popielniczce znajdującej się w poręczy fotela.

- Jeśli nikt nie będzie stawiał oporu, obiecuję. Chcę tylko dostać biżuterię przeznaczoną na wystawę, nic więcej. Nie dotknę nawet tej, którą mają przy sobie pańscy pasażerowie, ani ich pieniędzy. Ma pan moje słowo.

Komendant zdumiony przyjrzał się uważnie staremu. Tego się po nim nie spodziewał. Kim byli ci bandyci? Robin Hoodami?

- O.K. - powiedział w końcu. - Wierzę panu. Nie wiem, czemu, ale panu wierzę.

Kaid klanu Manalese przełknął komplement bez mrugnięcia okiem.

- Czy zechciałby pan wydać polecenie swoim stewardesom i barmanowi, żeby podporządkowali się moim rozkazom?

- O.K.-powtórzył pierwszy pilot. - Obawiam się tylko, że może pan wywołać większą panikę, niż podczas przymusowego lądowania. Zapomina pan, że lecimy z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę, na maksymalnej wysokości, i że na widok waszej broni ludzie zaczną się miotać i krzyczeć ze strachu. Może nam to cholernie skomplikować całą imprezę.

Siwowłosa mężczyzna uniósł dłoń.

- Tym już niech się pan nie kłopotce. Wszystko zostało przewidziane i w tej chwili moi chłopcy załatwiają delikatnie sprawę nawet w klasie turystycznej, żeby nie wywołać paniki. Na razie poproszę tylko o zapalenie świateł w pierwszej klasie.

Strzelił palcami i Aldo znikł. W kilka sekund później był już z powrotem, prowadząc przed sobą obie stewardesy i barmana. Teraz, gdy minęło pierwsze zaskoczenie, załoga samolotu zupełnie dobrze znosiła trudną sytuację. Co prawda opanowanie należało do ich zawodu. Komendant wskazał im Salvatore.

- Macie robić to, co on wam powie. Interesują go tylko jubilerzy. Zapalcie światła w pierwszej klasie i w razie potrzeby uspokójcie pasażerów. Na razie myślmv wyłącznie o nich.

Długonogie dziewczyny odwróciły się do wyjścia, ale Aldo zatrzymał je swoją Berettą.

- Najpierw światło. Ty zostaniesz ze mną. Siadaj na ziemi, koło drugiego pilota.

Barman posłuchał natychmiast. Nie miał bynajmniej ochoty zarobić dziury w głowie. Jedna z dziewcząt włączyła światło, a tymczasem Aldo, rzuciwszy w kąt torbę podróżną, stanął za plecami pilotów, z bronią gotową do strzału. Idąc za stewardesami stary wrócił do pierwszej klasy, dokąd weszła już przed nim Jeanne. Stała teraz na środku przejścia, a książkę z tysiąca i jednej nocy przyglądał jej się wzrokiem pełnym aprobaty. Pod wpływem zapalonego brutalnie światła pasażerowie ziewali, mrużyli oczy, przeciągali się. Jeden z nich, reprezentant Cartiera, spojrział na zegarek - oczywiście firmy Cartier - i głośno dał wyraz swemu zdumieniu.

- Co to, już? Przecież to za wcześnie! Nie możemy być jeszcze na miejscu.

Nie ruszając się z miejsca przy barze, ze stewardesami po obu stronach i swoim specjalnym „38” w ręku, Salvatore wyjaśnił spokojnie, tak jak gdyby jego to nie dotyczyło:

- Panowie, to napad. Panie proszone są o zachowanie spokoju, nic im się nie stanie.

Ostatnie zdanie odnosiło się do czterech kobiet, które na wpół rozbudzone, słysząc słowo „napad” usiłowały wstać z miejsca. Nie da się ukryć, bywają miłsze przebudzenia! Na przykład w ramionach argentyńskiego tancerza! Nie tylko one próbowały wstać ze swoich miejsc. Trzech jubilerów zdążyło już zerwać się na równe nogi, ściskając w chciwych łapach walizeczki zawierające skarby. Nie tylko oni zresztą zachowali się tak nieroztropnie: obaj gliniarze poszli za ich przykładem... W mgnieniu oka Muszka zerwał się z miejsca i wycelował w najbliższej stojących pistolet maszynowy. Na szyi zwisiała mu niepotrzebna już czarna opaska.

- Niech to diabli - zaklął jeden z policjantów, mocując się z

rewolwerem, którego nie mógł wyciągnąć.

Jego kolega, najwidoczniej wzorujący się na Jamesie Bondzie, zdołał już wyjąć swój „7,65” i trzymał go przepisowo, gotowy do strzału.

- Uwaga! - odezwał się ostrzegawczo za jego plecami jakiś stłumiony głos.

Dzielny obrońca odwrócił się, a za jego przykładem poszli wszyscy. Z pistoletem maszynowym w ręku Ludwik Berlińczyk wynurzył się powoli z wąskiego korytarzyka, prowadzącego do klasy turystycznej, zamknął za sobą bezszelestnie drzwi i oparł się o nie plecami. Wyglądem swym budził lęk, nie tyle nawet z powodu broni, ile ze względu na maskę przeciwigazową, zakrywającą mu twarz.

- Wszyscy ręce do góry! - rzucił krótko Salvatore. - I siadać na swoich miejscach.

Księżę z tysiąca i jednej nocy zrobił ruch, jak gdyby nie miał zamiaru podporządkować się groźbom. W tej samej chwili Jeanne przystawiła mu pistolet do burnusa.

- Pana to nie dotyczy - powiedziała. - Proszę usiąść z powrotem, może pan się nie obawiać o swoje oszczędności.

Jej ton był ironiczny. Odpowiedział również kpiąco, obrzucając ją jednocześnie płomiennym spojrzeniem:

- Piękna i niebezpieczna, co? Bardzo to lubię. Gdyby zechciała pani odwiedzić mnie w moim pałacu w Kuwejcie...

Uśmiechnęła się, jednocześnie popychając go pistoletem, tak że zmuszony był usiąść.

- Obiecuję, że kiedyś się zjawię. Ale na razie grzecznie usiadziemy.

Co rzekłszy pospieszyła uwolnić walecznego policjanta od trzymanego przez niego potulnie nad głową rewolweru. Obszukała również jego kolegę, odebrała mu broń i zwróciła się do starego, który właśnie wyjaśniał sytuację jubilerom:

- Chodzi nam wyłącznie o wasz bagaż. Łańcuszki możecie zachować na pamiątkę. Potem zapniecie pasy i nie ruszycie się z miejsca, cokolwiek by się działo. Nie zmuszajcie nas do użycia broni. Musicie zrozumieć, że nie mamy odwrotu.

Jego szare oczy przesunęły się po twarzach pozostałych

pasażerów.

- Nic absolutnie wam się nie stanie. Mamy sprawę wyłącznie do tych panów.

Wskazał rewolwerem mistrzów fachu jubilerskiego.

- A raczej do tego, co przewożą. No, panowie, pospieszcie się łaskawie - zwrócił się ponownie do jubilerów.

- A jeżeli odmówimy? - zaryzykował jeden z nich, prawdopodobnie również zapalony czytelnik Jamesa Bonda albo „Trzech Muszkieterów”.

Powiedział to w tonie zaczepnym, ale występ jego był krótki, zapomniał bowiem o stojącym w pobliżu Muszce, który uciszył go uderzeniem kolby. Natomiast inni jubilerzy zachęteni jego wyczynem nabrali nagle odwagi:

- Właśnie, dlaczego mielibyśmy ustępować? - zaryzykował jeden z nich.

- Dlaczego... - postanowił przyłączyć się do niego drugi.

Nie zdążył jednak dokończyć, bo właśnie ich nieostrożny kolega wylądował nosem na siedzeniu fotela, zsunął się z niego powoli i znikł z pola widzenia. Widocznie udał się tam, by oddać się marzeniom o koronnych klejnotach. Pozostali zamilkli natychmiast, za to przemówił Salvatore.

- Proszę podać walizeczki. Panienci będą łaskawe zanieść je i złożyć przy wyjściu z samolotu. Wykonać. Potem proszę założyć te dwie maski i przejść do klasy turystycznej. Czeka was tam praca.

Podał im dwie maski przeciwgazowe, które przyniosła mu Jeanne. Dziewczyny posłusznie je wzięły. Stary zwrócił się teraz do Muszki:

- Bez niepotrzebnej brutalności. Chyba że będą oporni.

Poddani przemocy, sterroryzowani, obezwładnieni bezprzykładną zuchwałością jubilerzy wypełniali kolejno rozkaz bandytów. Ich bogactwa powędrowały na stertę przy wyjściu, a niepotrzebne już łańcuszki pozostały przymocowane do pasków.

Po wykonaniu zadania stewardesy zniknęły, wyprowadzone przez Jeanne, a stary dał znak Muszce, który wyciągnął z torby metalowy cylinder w kształcie małej gaśnicy. Odkręcił w nim

zawój, podniósł do góry rączkę i postawił go na ziemi. Z cylindra zaczął się wydobywać cichy syk.

- A to co takiego?... - wykrztusiła przerażona jedna z pasażerek.

Salvatore, zanim odpowiedział, zerknął na Ludwika, który stojąc w głębi kabiny otwierał właśnie zawór identycznego cylindra. Po chwili drugi syk zawtórował pierwszemu.

- To nic takiego - wyjaśnił Sycylijczyk. - Zwyczajny środek ostrożności. Ten gaz jest zupełnie nieszkodliwy. Ale potrzebny mi jest wasz sen przez kilka godzin. Nie mam ochoty, żebyście się nam plątali pod nogami podczas lądowania ani żebyście zbyt wcześnie zawiadomili o nas policję.

Na końcu rzędu jeden z pasażerów - oczywiście znowu gliniarz - odpiął pas i usiłował wstać, najwidoczniej nie mając ochoty zasnąć. Też sobie wybrał moment na dawanie złego przykładu! Berlińczyk wymierzył mu cios w kark. Bez gniewu, ale również bez taryfy ulgowej. Policjant opadł na fotel, z którego pod żadnym pozorem nie powinien był wstawać. Stary własnoręcznie zapiął mu pas i uspokoił pozostałych pasażerów:

- To nie będzie przykre. Gdybyśmy chcieli zrobić wam coś złego, byłoby już po wszystkim. Możecie więc nam zaufać. I nie obawiajcie się o przedmioty osobistego użytku.

Przyjrzał się, jak Muszka odkręca trzeci pojemnik, i właśnie zdecydował, że należy wyjąć maskę z walizeczki, gdy zobaczył Teresę wchodzącą z dzieckiem na rękę i w masce na twarzy. Zdjęła ją na chwilę i powiedziała po włosku:

- Wszystko idzie dobrze. Stewardesy pomagają, podnoszą oparcia i zapinają pasy. Bałam się tylko, że ten malec...

- Więcej dzieci tam nie ma? - przerwał jej stary, również w rodzimym języku.

- Nie, tylko nastolatki, po dziesięć, piętnaście lat. Z nimi nie ma sprawy.

- Wszyscy śpią?

- Tak.

- Nikt się nie stawiał?

Kciukiem wskazała przez ramię Ludwika, który pilnował, czy jubilerzy reagują prawidłowo.

- On się nimi zajął.

- Dobra, idź z dzieckiem do przodu i poczekaj tam na mnie.

Teresa zniknęła w przejściu, prowadzącym do baru, z dzieckiem, które spało nie wiedząc, że jest świadkiem największego napadu wszechczasów i że nigdy nie będzie mogło o nim opowiadać. Wówczas stary założył maskę, a za jego przykładem poszedł Muszka. Wyglądał groźnie, gdy tak stał w przejściu między rzędami foteli, z bronią na biodrze, w oczekiwaniu, aż gaz uspokoi całe to szlachetne towarzystwo. Podobnie zachowywał się Ludwik Berliń-czyk. Wzięci w dwa ognie pasażerowie zmuszeni byli poddać się biegowi wypadków. Nie mieli zbyt wiele czasu na zadawanie sobie pytań, bo zanim doliczyli do trzech, gaz pogrążył ich w rajskich snach, pełnych anielskiej muzyki.

Jedna po drugiej głowy opadały na piersi, a podbródki kryły się w fałdach ubrania.

W dole widać już było światła Nowego Jorku. Wszyscy pasażerowie Boeinga chcąc nie chcąc słodko spali. W błękitnym świetle nocnych lampek majaczyły niewyraźnie kształty śpiących spokojnie postaci, gdzieś rozlegało się chrapanie. Tylko Ludwik i Sergio spacerowali w głównych przejściach między rzędami foteli, na wypadek, gdyby ktoś miał trudności z zaśnięciem. Reszta ekipy znajdowała się na przodzie samolotu. Każde z nich miało numer przytwierdzony do wierzchniego okrycia.

Do wieży kontrolnej lotniska międzynarodowego, gdzie zaniepokojono się nagłą zmianą kursu Boeinga 707, radiotelegrafista przekazał wiadomość:

- Nie niepokójcie się. Mamy mały kłopot, nic poważnego. Łądujemy najpóźniej za trzy kwadransy.

Jack, który pilnował każdego drobiazgu, skinął z zadowoleniem głową pod adresem Salvatore stojącego za ich plecami. Aldo stał obok niego. W kącie, wyzwoleni z masek, spali słodko barman i stewardesy. Teresa miała na kolanach dziecko, przytrzymała mu przy buzi pochłaniacz, by lżej mu było oddychać.

W masce, jak wszyscy, pierwszy pilot możliwie najłagodniej

schodził do lądowania w kierunku odcinka szosy oświetlonego przez pochodnie. Ależ ci bandyci mają zimną krew! I jaką organizację! Rzeczywiście, gazety pisały o 80 milionach dolarów! Najbardziej nieśmiały nabralby tupetu, największy dureń mógł stać się geniuszem. Zwracając się do Jacka przez łączący ich mikrofon, powiedział:

- Będzie to dość ryzykowne. Autostrada nie jest przystosowana do gwałtownego lądowania 140 ton.

Pilot, amator whisky, uszczęśliwiony, że znowu prowadzi samolot, uśmiechnął się, trzeźwy i zdecydowany.

- Ty i ja do spółki wylądujemy przepięknie. Ty jesteś odpowiedzialny za swoich pasażerów, ja za moich przyjaciół. Wiem, że nawierzchnia może pęknąć od uderzenia, ale to niegroźne. Jestem dobrej myśli. We dwóch damy sobie radę.

Komendant Boeinga przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, a potem, przygotowując się do lądowania, zapytał.

- Jak to się stało, że tu jesteś? Wygląda na to, że się znasz na swojej robocie?

Jack odwrócił głowę, a gdy wygaszał wszystkie światła Boeinga, na jego twarzy nie było już uśmiechu.

- Nie zadawaj pytań. Uważaj teraz, co robimy!

Przed ich doświadczonymi oczyma rozpościerał się betonowy odcinek autostrady, nieznanymi i być może niebezpiecznymi. Wydawało się, że maszyna leci prosto na niego. Pierwszy pilot mruknął półgłosem:

- Zachowaj swoją tajemnicę. Ale...

Przerwał na chwilę, zajęty obserwowaniem aparatury, po czym dodał:

- ...i tak nie podam im twojego rysopisu. Nigdy.

Jack był tak zajęty trudnym manewrem, że nie od razu dotarł do niego sens tego, co usłyszał. Kiedy wreszcie potwór dotykał już niemal długiej ścieżki, oświetlonej przez ludzi Frankiego Vittorio, odpowiedział głucho:

- Dziękuję, stary.

Uczepieni pionowych urządzeń kabiny Aldo i Muszka unieruchomili kolanami ciała barmana, stewardes i drugiego

pilota, ciągle jeszcze zamroczonego. Asfalt zawył pod straszliwym uderzeniem 140 ton i spod ogromnych opon buchnęły snopy iskier. Małe przednie koło zaczęło się grzać, ale na szczęście nie zapaliło się, chłodzone silnym podmuchem. Przez chwilę zdawało się, że ogromna maszyna zaryje nosem w ziemię, ale zakołysała się tylko i o mało nie wylatując z autostrady poddała się posłusznie wprawnym dłoniom dwóch mężczyzn, którzy przywrócili jej równowagę i właściwy kierunek. Za to ich czoła zlane były zimnym potem. Nie żeby myśleli o sobie! Bali się o te wszystkie uśpione ciała, o bezbronnych ludzi, których istnienie zależało od nerwowych ruchów ich rąk. Zdecydowanym gestem kapitan odwrócił ciąg czterech potężnych silników odrzutowych Pratta i Whitneya i gwałtownie zatrzymana maszyna przechyliła się na moment do przodu, po czym stanęła z przeraźliwym trzaskiem pękającego betonu, w który zaryły się koła. Wprawdzie zrobiła jeszcze półobrót w miejscu, jak uderzona pięścią olbrzyma, ale uniknęła skapotowania. Pot spływał teraz jak łzy po twarzy kapitana Obaj z Jackiem siedzieli jeszcze przez kilka sekund z zaciśniętymi zębami, przychodząc do siebie, po czym kapitan pierwszy otrząsnął się i zdjął maskę.

- Dobra robota, stary - stwierdził lakonicznie.

Jack również uwolnił się od maski, wstał i powiedział, nie ośmielając się podać mu ręki:

- Do widzenia.

Tymczasem Muszka zbliżał się już do kapitana z tamponem chloroformu, a Aldo z własnej inicjatywy przykładał drugi do twarzy radiotelegrafisty, zdjąwszy mu poprzednio maskę. W mgnieniu oka Jack znalazł się między Muszką a kapitanem i krzyknął:

- Nie! Jego nie!

Muszka byłby go uspokoił przy pomocy kolby, gdyby Salvatore nie złapał go za rękę. Jack chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pierwszy pilot go powstrzymał.

- Daj spokój. Ja to rozumiem.

- Bardzo mi przykro - zwrócił się do niego Salvatore, po czym dodał, patrząc na Jacka: - Ja również cię rozumiem, ale

ze względu na nasze bezpieczeństwo...

Natomiast Muszka rozumiał jedynie, że dano mu zielone światło. Błyskawicznie przyłożył tampon do twarzy kapitana i przytrzymał, dopóki tamten nie osunął się bezwładnie na fotel. Na sąsiednim fotelu Teresa ułożyła dziecko, otuliła je starannie i dołączyła do pozostałych, zebranych koło wyjścia. Równocześnie z nią zjawili się Ludwik i Sergio, na którego ustach pozostały resztki szminki. Aldo otworzył drzwi. Wokół Boeinga panowały ciemności. Zgaszono wszystkie pochodnie, słychać było jedynie warkot silników samochodowych, dochodzący niemal spod brzucha samolotu. Przed gangsterami, usiłującymi przebić wzrokiem ciemności, wyrosły nagle ruchome schodki, u stóp których zabłysła latarka. Schodzili kolejno, niosąc walizeczki z klejnotami i własne bagaże. W momencie gdy któryś dosięgnął nogą ziemi, czyjeś ręce odbierały to wszystko, latarka oświetlała jego numer i inna niewidoczna postać prowadziła przydzielonego sobie człowieka do jednego z samochodów, który natychmiast odjeżdżał.

Z chwilą gdy latarka oświetliła numer 1, przypięty do płaszcza Salvatore, jakiś głos oznajmił z szacunkiem:

- Tędy, proszę pana.

W minutę później niemal niedosłyszalnie zatrzasnęły się za nim drzwiczki Rolls-Royce'a.

- Jak poszło, Salvatore? *Come sta?*

- *Bene*. A ty, Frankie?

Kaid tutejszego terenu uśmiechał się w świetle umieszczonej pod sufitem lampki, a tymczasem samochód unosił ich coraz dalej od Boeinga, wokół którego ziała teraz pustka, jakby nagle został dotknięty zarazą.

- Moje gratulacje - odezwał się Frankie. - Odwaliliście kawał dobrej roboty.

Frankie Vittorio był w tym samym wieku co Salvatore. Tęgawy, niewysoki, uprzejmy, ubierał się z dyskretną elegancją. Lucky Luciano nazywany był za życia „Szefem”, Louis Bulchater, alias Lepke - „sędzią Louistem”, Frank Costello „Premierem”, natomiast Frankie Vittorio nosił przydomek „Uczony”, dzieciństwo miał ciężkie, podobnie jak

większość jego rodaków, ale był nieprzeciętnie inteligentny, dużo czytał, uwielbiał sztukę i pięknie oprawne książki, obrazy, spokojny tryb życia i od dawna już usunął się w cień. Był to co prawda cień złoty, bo nie mówiąc o zawrotnych ilościach pieniędzy, posiadał również w światowych przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych liczne akcje, czego bynajmniej nie ukrywał. On i Lepke byli pierwszymi, którzy zrozumieli, że należy płacić regularnie podatki, by bezwzględni urzędnicy skarbowi nie mogli dobrać się im do skóry. W ten sposób właśnie wpadli Lucky, Capone i wielu innych! Tylko bardzo nieliczni gangsterzy widywali Frankiego, a przynajmniej nikt z nowej fali. Nie miał zaufania do ich brutalnych metod i bezwzględnej rywalizacji. Utrzymywał stosunki wyłącznie ze starszymi Sycylijszymi i to nie ze wszystkimi... Natomiast Salvatore zaliczał się do jego najbliższych przyjaciół. Podobnie jak on sam, dostał się nielegalnie do Stanów w latach dwudziestych, w błogosławionej epoce ogłoszenia prohibicji. Łączyło ich pochodzenie, przynależność do tego samego klanu i wreszcie po prostu przyjaźń. O ile jednak w wyniku szaleńczego skoku Salvatore musiał odsiedzieć trzydzieści lat, o tyle Frankie,; który pozostał na wolności, zbierał przez ten czas śmietankę. I to jaką! Pierwszego gatunku!

Nacisnął teraz guzik, który opuszczał klapę stolika, otwierając jednocześnie podręczny barek, w sąsiedztwie ekranu telewizyjnego. Wyżej, za szeroką szybą widać było głowy kierowcy i goryla z obstawy.

- Pamiętam, że zawsze miałeś słabość do Cazaneuve - powiedział, wyjmując z podróznego pojemnika z lodem datowaną przed kilku laty butelkę. - Napijemy się za powodzenie tej sprawy i za nasze wspomnienia.

Korek wyskoczył z hukiem, który zabrzmiał jak wystrzał, i boski trunek pieniąc się napełnił wysmukłe kryształowe kieliszki.

- Za zdrowie Marii - wzniosł toast Uczony.

- I Florencji - odrzekł Salvatore. - A co u niej słyhać? Jak dzieci?

- *Bene* - uśmiechnął się kaid amerykańskich gangsterów. -

Oczywiście żona tęskni trochę za starym krajem, podobnie jak twoja Maria. Ale dzieci nie. To Amerykanie. Zdecydowanie i przede wszystkim. Zresztą ja obecnie również. Uzyskałem wreszcie obywatelstwo.

Mówiąc ostatnie zdanie, podświadomie się wyprostował.

- Lubisz Amerykę, co? - zapytał Salvatore tonem stwierdzenia.

- Lubię Amerykę - przyznał Uczony. - To wielki kraj. Silny i odważny. Najdzielniejszy kraj na świecie.

Poczęstował go cygarem hawańskim kilometrowej długości, ale Salvatore wolał własne, czarne i nierówne.

- Lubię Amerykę, bo można tu sobie wywalczyć własne miejsce i nie czepiają się człowieka z powodu różnych przesądów - kontynuował Frankie - dotyczących urodzenia czy wykształcenia. Jednego wymaga się tu od człowieka: żeby pokazał, co potrafi.

Przytknął zapaloną zapałkę do długiego jak tyczka cygara i zauważył w zamyśleniu:

- Czy znasz drugi taki kraj, w którym pozwalano by na pokazywanie w filmach i sztukach teatralnych oficerów zdrajców albo tchórzy, politykujących i popełniających krzywoprzysięstwa policjantów, czy wreszcie młodych wykolejeńców w nimbie męczenników? Bo ja nie. Wiele podróżowałem po świecie i nigdzie nie widziałem czegoś podobnego. Spotykałem się wyłącznie z hipokryzją.

Wyrzucił wypaloną zapałkę, zaciągnął się cygarem i mówił dalej, tym samym marzycielskim tonem:

- A przecież, żeby ranę wyleczyć, trzeba ją ujawnić, a nie ukrywać. Ale na to trzeba mieć charakter. Tutaj go mają. I tym nadrabiają braki w innych dziedzinach.

Uchylił ciemną firankę, zasłaniającą boczną szybę.

- Czy znasz choćby jeden kraj, który zapraszałby inne narody do uczestniczenia w swoich doświadczeniach w przestrzeni kosmicznej, w swoich próbach z bronią atomową? Który by zapowiadał je z góry, nie obawiając się fiaska i narażenia się na kpiny? Ja nie znam. I wreszcie, widzisz... - Jego wypielegnowana ręka o grubych palcach strząsnęła popiół

z cygara. - Kocham ten kraj, tym bardziej że w tej chwili cały świat jest przeciwko niemu. - Szybkim ruchem podniósł dłoń, jak gdyby chciał ubiec sprzeciw Salvatore. - O tak, wiem, co chcesz powiedzieć! Zacząłem od przemytu alkoholu i potem przez dłuższy czas tym się zajmowałem. I cokolwiek bym zrobił, dla wszystkich pozostanę zawsze Frankie Vittorio. Ale na mnie sprawa się kończy. Nie obciąża to moich dzieci. Najstarszy syn jest znanym adwokatem. Drugi jest wybitnym dyrektorem przedsiębiorstwa, a najmłodszy zostanie kiedyś dobrym chirurgiem, sądząc z tego, co mówią dziś o nim jego profesorowie. Obie dziewczyny wyszły za mąż za ludzi należących do najbardziej tu szanowanych środowisk. Jak sądzisz...

Przerwał, żeby zaciągnąć się hawańskim cygarem.

- ...jak sądzisz, czy te małżeństwa i cała reszta byłyby możliwe gdzie indziej? W którymkolwiek z krajów europejskich, zasklepionych w swojej głupiej pysze, żyjących z klapkami na oczach, pielęgnujących przestarzałe i śmieszne obyczaje i w dodatku wierzących w wyższość urodzenia, kasty, szlachectwa i inne brednie? Jestem pewny, że nie.

- Stałeś się prawdziwym Amerykaninem - stwierdził Salvatore, biorąc do ręki kieliszek Cazaneuve.

- I to jakim! - wykrzyknął jego przyjaciel i wybuchając nagle śmiechem, dodał: - Kto wie, czy w przyszłości jeden z moich wnuków nie zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych!

Teraz i Salvatore Manalese roześmiał się.

- Czemu nie? W każdym razie wysoko mierzysz.

Uczony wzruszył okrągłymi ramionami, okrytymi płaszczem z niebieskiego tweedu.

- Ilu potężnych ludzi, w Europie i poza nią, uważanych za wyrocznie w wielu dziedzinach życia, przed którymi wszyscy gną się w ukłonach (mam na myśli książąt, królów i innych nadętych pyszałków) pochodzi od bandytów? Wszyscy, mój kochany! Wszyscy dobrze urodzeni pochodzą od dawnych przywódców band, od rabusiów, zbójów napadających podróżnych, gwałcicieli dziewic, wszelkiego rodzaju mistrzów przemocy i okrucieństwa.

- To jakby przodkowie gangsterów - zauważył ubawiony Salvatore.

- Oczywiście - potwierdził jego przyjaciel, podnosząc słuchawkę telefonu, ponieważ zapaliło się przed nim światelko sygnalizujące rozmowę.

- Tak? - powiedział.

Słuchał długo, a w końcu rzucił zdecydowanie:

-, Niech uruchomią. Postaraj się podać mi nieco dokładniej liczbę za pół godziny.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do przyjaciela:

- To Cezar. Pamiętasz go?

- Jasne. Chętnie bym się z nim spotkał.

- On nie wie nawet, że to ty zrabowałeś brylanty, które bada w tej chwili w specjalnie do tego celu przygotowanym samochodzie, jadącym w kierunku Nowego Jorku.

- Zastosowałeś maksimum ostrożności!

- Wiesz, że zawsze byłem zwolennikiem rozdzielania zadań. W ten sposób unika się kłopotów. Kiedy się o niczym nie wie, nie ma się nic do opowiadania.

- A co on ci powiedział?

- Że eksperci określają to w tej chwili na oko na jakieś pięćdziesiąt milionów dolarów. To wprost kolosalna suma!

- Myślę, że wycenią więcej - podkreślił Salvatore.

- Jestem nawet tego pewny - stwierdził Uczony. - Nie obawiaj się. Nikt nas nie wystawi do wiatru. Cezar należy do tych rzadkich ludzi, do których można mieć całkowite zaufanie.

Trącił kieliszkiem o kieliszek swego gościa.

- Za pomyślność największego wyczynu naszych czasów. Co zrobisz z tymi wszystkimi pieniędzmi?

- Kupię ziemię, ile się tylko da, położoną powyżej Taorminy. Tam, gdzie moi rodzice pracowali kiedyś dla innych.

Wychylił jednym haustem zawartość kieliszka i odstawił go na miejsce.

- Od lat o tym marzyłem. A ty?

- W moim życiu te miliony niewiele zmienią. Powiedzmy, że będzie to jeszcze jeden krok, który przybliży moim potomkom fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych.

On również odstawił kieliszek i podając przyjacielowi płaską paczuszkę, dodał:

- Oto twój nowy paszport i bilet na samolot. Za godzinę odlatujesz z Newark Airport. Wszystko obliczone co do minuty, tak jak się umówiliśmy. W południe będziesz w domu. Oddaj mi tamten paszport, z którym tu przyleciałeś.

- A inni? - zapytał Salvatore, spełniając jego życzenie.

- Teresa i Jeanne odlatują z nowojorskiego lotniska międzynarodowego, Ludwik z Tetenboro, przez Montreal, a Sergio i Aldo z La Guardia. Jutro, a raczej nawet dziś wieczór wszyscy będziecie w domu. Muszka Majowa jest już w drodze do doków, skąd za cztery dni odpłynie do Veracruz na jednym z naszych statków. Tam dostarczę mu pieniądze.

- Co z twoim pilotem?

- Pewna dziewczyna, w której on się kocha, a która z kolei nie może odmówić Cezarowi, zabiera go dziś rano w bardzo długą podróż dookoła świata. Zwykła ostrożność.

- Twój pomysł z natychmiastowym odjazdem jest genialny - stwierdził Salvatore. - Żadnemu policjantowi nie przyjdzie do głowy, że opuściliśmy Stany natychmiast po wyjściu z Boeinga. Będą nas szukać tutaj, gdy tylko dostaną nasze rysopisy. Tutaj, a nie gdzie indziej. W każdym razie w pierwszych dniach. A później na co im się zdadzą rysopisy? Świat jest szeroki.

- Sądzę, że było to rozwiązanie idealne - potwierdził Uczony.

- Natychmiast po wylądowaniu najlepiej było was rozdzielić i wysłać z powrotem, ze zmienionymi dokumentami. A propos...

Przerwał, bo sygnał telefoniczny znowu się zapalił.

- Tak? - powiedział do słuchawki. - Ile? Prawdopodobnie ponad sześćdziesiąt pięć milionów dolarów? Że to sensacyjne? I że to najpiękniejsze brylanty, jakie kiedykolwiek widzieli? No to brawo! Dopilnuj, Cezar, niech dalej wyceniają. Do zobaczenia, będę niedługo.

Odłożył słuchawkę, zaciągnął się cygarem i mówił dalej:

- Słyszałeś? To naprawdę nadzwyczajne. Moje gratulacje. Wybacz, że nie będę ci towarzyszył w drodze do samolotu, ale nie trzeba, żeby ktokolwiek zobaczył mnie w twoim towarzystwie. Zbyt jestem znany. Niestety... Dlatego za pięć

minut inny samochód zabierze cię i odstawi na lotnisko.

- Rozumiem - zgodził się Salvatore.

- Miałem wielką ochotę uściskać Teresę i chłopców, ale woląłem tego nie robić. Trzeba się było spieszyć. Uściskaj ich ode mnie, tak samo Marię i Cecylię.

Uśmiechnął się, włożył rękę pod ławeczkę i wyciągnął stamtąd paczkę.

- Daj to małej. To taki gadget. Mały niedźwiadek, który sam chodzi, śpiewa, tańczy i mówi. Bardzo zabawny.

Ponownie uchylił firankę i po chwili milczenia stwierdził:

- Dojeżdżamy na miejsce. Zostaw torbę i broń. Dadzą ci inną torbę podróżną, żebyś nie odlatywał z pustymi rękami.

Wkrótce potem Rolls-Royce zatrzymał się łagodnie koło ciemnego Jaguara, który stał ze zgaszonymi światłami. Dwaj Sycylijczycy uściskali się.

- Ciao, Salvatore.

- Ciao, Frankie.

Salvatore, z paczką pod pachą, raz jeszcze pozdrowił przyjaciela unosząc w górę dłoń i wysiadł z samochodu, który natychmiast odjechał. W dwie sekundy później Jaguar pędził już w kierunku lotniska.

XVII

Dziesięcotonowa ciężarówka do przewozu mebli zaparkowana została przed świtem naprzeciwko wielkiego sklepu spożywczego. Na żółtych ścianach bocznych czarnymi literami wypisano: Boulier, przeprowadzki. Barani i Merlu, ubrani w granatowe kombinezony, zdjęli tylne koła z tej strony, która była widoczna z okien sklepu, i zastąpili je lewarem, dzięki czemu wóz meblowy wyglądał nieszkodliwie i był zabezpieczony przed zakusami drogówki, czyhającej na okazję do wlepienia mandatu. W środku Le Goff, Rondier i Serisky nie spuszczały sklepu z oczu. Czekali cierpliwie, obserwując życie ulicy. Doprowadził ich tu pewien ślad. W gruncie rzeczy głupi, dziecinny, nic nie znaczący, jeden z tych drobiazgów, na które liczył Le Goff, a które czasem pozwalają policji znaleźć

rozwiązanie. Żona jednego z inspektorów IV Brygady dzielnicowej powiedziała swojemu mężowi, że kupiec, u którego zaopatruje się we włoską szynkę i czarne oliwki, ma psa, wabiącego się Salami. Od chwili rozpoczęcia śledztwa znaleziono w Paryżu tylko jednego psa o tym imieniu. Ale jego właścicielka była wdową po rosyjskim arystokracie, osobą przyzwoitą. Brygada do walki z gangami porzuciła więc ten trop i gorliwie zajęła się innym, gdy - niespodziewanie - żona kolegi dostarczyła tę informację. W tym wypadku wyglądało to poważnie. W zamkniętej ciężarówce, na stole oświetlonym bladym światłem lampki, leżały rozłożone archiwa Interpolu, dotyczące Salvatore Manalese. Miał on już do czynienia z policją, co prawda nie we Francji, tylko w Stanach. Ale fakt, że było to przed czterdziestoma laty, nie miał w tym wypadku znaczenia. Facet był podejrzany. Owszem, tu uchodził za spokojnego i szanowanego człowieka, ale tam co najmniej raz wpadł, i to poważnie. Zostało popełnione morderstwo. Co więcej, była jeszcze owa słynna konferencja w Apala- chin, gdzie Sycylijczyk został nakryty. Tłumaczył się wprawdzie, podobnie jak pozostali goście Joego Barbara, że była to wyłącznie proszona kolacja z gigantyczną pie- czenią z różna. Oczywiście ani obyczajówka, ani tym bardziej FBI nie dały się na to nabrać. Ale ponieważ nie mieli żadnych dowodów przeciw niemu, podobnie jak przeciw pozostałym Sycylijczykom...

Mimo wszystko ten człowiek z przeszłością interesował Le Goff a. Mógł to być ów trop, o który im chodziło. Ukryty w ciężarówce przekształconej w pracownię, szef dochodzeniówki aż drżał z podniecenia. Przez niewidoczne z zewnątrz otwory kamera Zoom, teleobiektyw i lornetka wycelowane były nieprzerwanie w sklep Salvatore. Le Goff widział przez lornetkę, jak Maria stojąc na zalanym słońcem progu karcii młodą pracownicę, piorącą coś w olbrzymich wiadrach. Od czasu do czasu przejeżdżający samochód lub przechodzień zasłaniał obserwującym pole widzenia. Jakiś żebrak utykający na nogę, z niedopalkiem w zębach, zatrzymał się przed Marią i zdjął sztywną od brudu czapkę. Musieli się znać, bo stara

uśmiechnęła się. Poszperała w kieszeni czarnego fartucha i wyciągnęła półfrankówkę, którą żebrak pospiesznie schował. Skłonił się teatralnym gestem i powlókł się w kierunku najbliższej winiarni. Nie uszedł jeszcze dwudziestu kroków, gdy za Buickiem starego zatrzymała się Simca Sergia, który wysiadł szeroko ziewając. Młody Włoch musiał spędzić miły wieczór, bo podchodząc do matki rozkosznie się przeciągał, za to ona zwymyślała go na dzień dobry. W teleobiektywie widać było wyraźnie jej szybko poruszające się usta i gniewny wyraz twarzy. Widocznie stara niechętnie godziła się na nocowanie poza domem. Fakt, że Sergio był już dawno pełnoletni, nie robił na niej wrażenia. Popchnięty przez nią zniknął we wnętrzu domu, nie omieszkawszy po drodze klepnąć w siedzenie zamiatającą dziewczynę.

- Najmłodszy Manalese - skomentował Le Goff, przeglądając notatki. - Bez określonego zawodu. Żyje przy rodzicach.

- Proszę! Mamy i tatusia!-zawiadomił Rondier, tkwiący przy teleobiektywie.

Le Goff pospiesznie wrócił do swojej lornetki, a Serisky zaczął nastawiać kamerę, chcąc sfilmować starego, który nie wracał do domu, tylko właśnie z niego wychodził, w sportowym ubraniu. Za nim szła Teresa z Cecylią, tulącą w ramionach misia. Salami skakał, ujadając dookoła dziewczynki. Pochód zamykały dwie sprzedawczynie, obładowane zapasami żywności, które włożyły do bagażnika samochodu starego.

- Wygląda na to, że wyjeżdżają na wieś - zauważył Rondier.

Le Goff złapał za telefon, a tymczasem Serisky robił zdjęcie za zdjęciem.

- Czerwony do Białego. Czerwony do Białego. Biały, czy mnie słyszysz?

W telefonie coś zatrzęszczało, po czym odezwał się słabo słyszalny głos Toupira:

- Biały dobrze cię słyszy, Czerwony. Możesz mówić.

Le Goff nacisnął jeden z guzików.

- Buick 4777 RJ 75 będzie jechał w waszym kierunku. Nie spuszczać go z oka. Potwierdzić odbiór. Skończyłem.

- Zrozumiano, Czerwony – potwierdził zastępca komisarza. Nie odrywając oczu od lornetki, Le Goff połączył się z następnym wozem.

- Czerwony do Niebieskiego. Czerwony do Niebieskiego. Nawiąż kontakt z Białym i jedźcie obaj za Buickiem 4777 RJ 75. Potwierdzić odbiór. Skończyłem.

- Zrozumiałem, Czerwony - odpowiedział jakiś zachrypnięty głos.

Le Goff odłożył słuchawkę. Po drugiej stronie ulicy Teresa i Cecylia odjeżdżały w Buicku, prowadzonym przez Salvatore.

- Potrzebna jest nam przede wszystkim fotografia zięcia - stwierdził Le Goff, zapalając gitana, od którego natychmiast zaczęła kaszleć. - Tylko on pasuje do rysopisu fałszywego strażnika.

- Miejmy nadzieję, że się niedługo pokaże - westchnął Serisky rozprostowując plecy. - Zaczynam mieć dość. Już cztery godziny tu sterczymy.

- I nie jest wykluczone, że będziemy tu jeszcze wieczorem - zauważył Le Goff. - A nawet jutro, jeżeli nie zdobędziemy tego, co jest nam potrzebne.

Spojrzał w stronę Rondiera, który odkręcał termos z kawą, wziął podany przez niego kubek i zamruczał z rozkoszy, upijając parę łyków gorącego płynu.

- Świetnie mi to zrobiło - stwierdził, oddając kubek Serisky'emu, który spróbował i mlasnął z uznaniem.

- Niezła. Żeby tak jeszcze były do tego ze dwa rogaliki...

- Przydałoby się masło i konfitury - zakpił Rondier, biorąc od niego kubek. - A najlepiej w ogóle byłoby w domu, z żoną i dziećmi... O, właśnie, szefie, jak się miewa następca tronu?

Le Goff, który zdążył już wrócić do swojej lornetki, odwrócił się natychmiast z uśmiechem.

- Bez zarzutu. Prawdziwy olbrzym. Nigdy nie sądziłem, że mleko może komuś tak dobrze robić. My, Bretończycy, jesteśmy raczej zwolennikami czerwonego wina. Jak widać jednak, mleko ma również swoje dobre strony. Ten drab przybrał już pięćset gramów od chwili urodzenia. Zaczynam się zastanawiać, co będzie, jak tak dalej pójdzie!

Pokręcił głową, spojrzął przez lornetkę i wykrzyknął:

- Uwaga! Jest synowa!

Serisky rzucił się do swojego aparatu. Jeanne wychodziła z magazynu. Była w dzinsach, a włosy miała związane w koński ogon. Nie odeszła daleko. Kupiła całą stertę pism w sąsiednim kiosku i wróciła do domu. Le Goff spostrzegł Baraniego, który siedząc w pobliskim bistrze nie spuszczał jej z oczu. Zwrócił się do Serisky'ego, kończącego serię zdjęć:

- Trzeba natychmiast wywołać te fotografie i pokazać je małżeństwu, które zeznało, że w dniu ucieczki Muszki widzieli blondynkę.

Serisky skinął głową, podszedł do wanienki, znajdującej się w ciemnym kącie i zabrał się wprawnie do obróbki filmu. Po dziesięciu minutach Le Goff podniósł słuchawkę.

- Czerwony do Zielonego. Czerwony do Zielonego. Przyślij Merlu. Potwierdzić odbiór. Skończyłem.

- Zrozumiałem, Czerwony - odpowiedziano po drugiej stronie.

Czekając przez chwilę Le Goff pisał jakieś polecenie na karteczce. Merlu zjawił się w stroju kierowcy, pokręcił się trochę koło ciężarówki, pochylił się, udając, że ogląda lewarek, i odpowiedział coś policjantowi ze służby ruchu, który chciał się dowiedzieć, co się stało z kołem. Gdy wspinał się wreszcie do szoferki, Le Goff wsunął natychmiast przez szparę w małych drzwiczkach kopertę ze zdjęciami.

- Instrukcja w środku. To pilne. O wynikach dajcie mi znać tutaj.

- Jasne, szefie - szepnął Merlu, chowając dużą kopertę.

Wyszedł z szoferki i od razu wmieszał się w tłum. W dwie godziny później zdawał sprawę z wyników konfrontacji. Świadkowie nie rozpoznali kobiety na zdjęciach. Pamiętali ją dosyć mgliście, upłynęło już sporo czasu, a poza tym wówczas nie przypatrywali się jej przecież specjalnie! Nie mówiąc o tym, że była wtedy w białych butach i białym skórzanym kapeluszu. Równie dobrze mogła to być ona, jak ktoś inny. W sumie policjanci nie byli nic mądrzejsi. Gdy Le Goff odnotowywał to niepowodzenie, Rondier oznajmił:

- Dziewczyna odjeżdża z mężem.

Le Goff wrócił do lornetki. Widać było Jeanne i Aida wychodzących ze sklepu i idących w kierunku garażu. Teleobiektyw, lornetka i kamera zatrzymały się na jego drzwiach. W chwilę później ukazało się w nich małżeństwo w czarnej DS-ie, ciągnącej przyczepę campingową. Le Goff zanotował szybko numery samochodu i zawiadomił wozy, Żółty i Zielony, żeby wzięły parę pod obserwację. I znowu zaczęło się monotonne, ciągnące się w nieskończoność oczekiwanie. Mijały godziny. Pracownicy Brygady do walki z gangami wymieniali się przy teleobiektywie, śmiertelnie zmęczeni. Zawiadomiono Le Goffa, że Buick Salvatore Manalese wjechał w głąb jego posesji w Poigny-la-Forêt, a w jakiś czas później nadjechał również syn, samochodem z przyczepą campingową. Wszystkie te informacje nie przedstawiały dla komisarza większej wartości. Chodziło mu przede wszystkim o fotografię zięcia starego, żeby móc ją pokazać żandarmowi i kobiecie prowadzącej wypożyczalnię ubrań. Ale niestety, Ludwik Berlińczyk nie pokazał się. I nie bez powodu. Po prostu jeszcze nie wrócił. Skierowany do Montrealu, skąd dopiero miał wylecieć do Orly, został zatrzymany przez poważne uszkodzenie samolotu: podczas startu urwało się przednie koło. Wracał więc z dużym opóźnieniem, ale telegrafował do domu, żeby uspokoić rodzinę i uprzedzić, że przylatuje pod wieczór. Tego jednak Le Goff nie wiedział.

*

Aldo sprawdzał starannie ogumienie kół przyczepy, zaglądał pod maskę, badał szczegółowo cały samochód, żeby upewnić się, że jest gotowy do drogi. Następnego dnia mieli wyjechać z Jeanne na wakacje na Sycylię. Wakacje te połączone były z konkretnym zadaniem, bo po przyjeździe na miejsce Aldo zamierzał wy badać warunki i poczynić przygotowania do kupna ogromnych terenów, tak upragnionych przez jego ojca, tych samych, na których niegdyś ród Manalese w pocie czoła pracował dla właścicieli. Odwrócił głowę, gdy za jego plecami rozległ się ogłuszający warkot Simki Sergia. Ci młodzi wszyscy

są postrzeleni. Podobają im się wyłącznie rzeczy hałaśliwe i gwałtowne. Nic dziwnego, rozkład cywilizacji, przejawiający się w widocznym na każdym kroku okrucieństwie, nie jest najlepszym przykładem. Młodszy brat otarł się niemal bokiem wozu o jego stopy zakręcił ostro i gwałtownie zahamował na niewielkiej wysepce cienia, przed gankiem. Jednym susem wyskoczył z samochodu i jak burza wpadł do bawialni, której chłód i atmosfera spokoju sprawiały, że chwile niebezpieczeństwa, przeżyte podczas ryzykownego napadu rabunkowego, wydawały się bardzo odległe. Tu był inny świat. Aldo wzruszył ramionami i wycierając ręce ze smarów wszedł za bratem po schodkach. Jego przyjazd uświadomił mu, że chętnie by się czegoś napił.

Teresa, która właśnie stawiała koło fotela ojca mrożony pastis Duval, aż podskoczyła, gdy Sergio wpadł z hałasem do pokoju.

- Pssst - syknęła, przykładając palec do ust - Salami, do nogi!

Ale pies zdążył już skoczyć do Sergia i najmłodszy Manalese chwycił go w locie na ręce. Salvatore, zapatrzony w ekran telewizora, nawet nie drgnął. Siedząca obok niego Jeanne zerknęła przez ramię i uśmiechnęła się do Sergia. Chłopak puścił na ziemię psa, który zaczął szczekać, aż Salvatore poruszył się ze zniecierpliwieniem w fotelu. Nie znosił, żeby przeszkadzano mu w oglądaniu telewizji, zwłaszcza gdy szedł western, tak jak to miało miejsce w tej chwili. Lubił, gdy na ekranie strzelano, gdy trup padał gęsto, a szeryf zostawał zwycięzcą. Uważał za rzecz moralną, że wszyscy rabusie zostają podziurawieni jak sito, pokrojeni w plasterki, zlinczowani, zmacerowani, usmażeni i wysłani do piekła. Lubił szczęśliwe zakończenia, w których bohater otrzymywał w nagrodę buziaka, a bandyta sznur konopny. Był prostolinijny. Teresa podeszła szybkim krokiem do młodszego brata, żeby przyhamować jego ruchliwość, i spojrzała na niego pytająco. Odpowiedział jej zmrużeniem oka i wzdychając znacząco wskazał pełne milczącej dezaprobaty plecy ojca.

- Zdecydowałem, że prześlę się tutaj. W Paryżu dziś za

gorąco.

- Chciałeś powiedzieć, że będziesz spał w Rambouillet, prawda? Z tą kelnerką spod „Czterech Lip”.

Uszczypnął ją w ramię i odsunął się od drzwi, bo właśnie wchodził Aldo ze śrubokrętem w ręku, po czym zapytał łakomie:

- Co macie do przegryzienia? Jestem głodny.

Plecy ojca w fotelu zaczęły się groźnie prostować. Teresa pochyliła się nad bratem.

- Ciii... i nie mów na razie o jedzeniu. Jest dopiero szósta.

Sergio poklepał po głowie psa, który zadowolony usadowił się na powrót u nóg starego. Usta Salvatore były zaciśnięte, co zapowiadało wybuch gniewu. Cecylia, jak zwykle śpiąca na kolanach dziadka, z misiem od Frankiego Vittorio przytulonym do policzka, cicho zamruczała, wyrwana ze snu hałaśliwym powrotem wujka Sergio. Ziewnęła, otworzyła oczy i zaczęła kaprysić, tym razem głośniej. Ręka Salvatore uspokajająco pogłaskała ją po głowie.

- Śpij skarbie, śpij.

Dziewczynka przekornie wysadziła nos spod kłapy marynarki i spojrzała na ekran telewizora. Nagle krzyknęła:

- O, zupełnie jak ciocia Jeanne i pan Muszka w szopie! Wtedy, jak leżeli na łóżku!

Stary o mało nie udławił się własną śliną. Pionowa zmarszczka przecięła mu czoło i zaczął przyglądać się uważnie scenie, która spowodowała reakcję dziewczynki. Pozostali poszli za jego przykładem. Twarz Jeanne byłd biała jak płótno. Na ekranie para kochanków padła właśnie na łóżko i bohater namiętnie wpił się w usta wybranki swego serca. Z kolei śniade twarze rodziny Manalese stały się popielate. Teresa, zaskoczona, zwróciła się do córeczki:

- Co ty pleciesz, mały głuptasie!

Ale dziewczynka urażona, że zarzucają jej kłamstwo, wskazując palcem na ekran powtórzyła z uporem:

- A tak, właśnie że tak robiła ciocia Jeanne w szopie. Nawet pan Muszka szukał jej pierścionka!

Teresa spróbowała zabrać ją z kolan ojca.

- Chcesz klapsa? Ja cię nauczę kłamać!

Ale stary odepchnął ją, a Cecylia coraz bardziej obrażona oświadczyła tonem wykluczającym pomyłkę:

- Tak, tak, byli w szopie i szukali pierścionka. I nawet...

Dziadek podniósł ją do góry w wyprostowanych rękach i szepnął czułym, porozumiewawczym tonem, bagatelizującym całą sprawę:

- Ciocia Jeanne i ten pan byli w szopie? I szukali na łóżku pierścionka, o to ci chodzi? Prawda, *bambina mia*?

Mała spryciara zamachała nogami w powietrzu i złapawszy starego za szyję wysapała:

- Nawet ciocia obiecała kupić mi sukienkę, żebym o tym nie mówiła. Bo się bała, że dostanie burę za ten pierścionek...

Rodzina Sycylijczyków wyglądała teraz jak gdyby wszyscy nie mieli w żyłach kropli krwi. Ich twarze były martwe, szare, skamieniałe w posągi zemsty. W zapadłej nagle ciszy rozległ się suchy trzask przypominający wystrzał. To w rękach Aida pękł na dwoje śrubokręt. Jeanne zerwała się z krzesła, coraz bardziej przerażona i próbowała jeszcze zaprzeczyć.

- Zwariowała! Co ona jeszcze wymyśli?

Ale nic więcej nie była w stanie powiedzieć. Wszystkie oczy były w nią wpatrzone, a to, co w nich wyczytała, sprawiło, że mróz przeszedł jej po kościach. Zwłaszcza w oczach starego, chociaż i Aldo... Próbowała ich jeszcze przekonać:

- Przecież chyba nie będziecie wierzyć dziecku!

Zamilkła jednak pod spojrzeniem starego, który oddał dziewczynkę matce, wskazując jej, żeby zabrała małą do ogrodu. Począł, aż wyjdą, i rozkazującym ruchem powstrzymał Aida, który ściskając w dłoni złamany śrubokręt zbliżał się do żony. Aldo był tak przyzwyczajony do posłuszeństwa, a raczej do szacunku wobec ojca, że natychmiast zatrzymał się, dygocząc, pochylony jak do skoku.

- Sergio, połącz mnie z Nowym Jorkiem. Frankie Vittorio, U.N. 37 894 - rzucił krótko Salvatore.

A zwracając się do wszystkich powiedział:

- To łajdak. Jak śmiał, pod moim dachem... A ona... żona jednego z Manalese...

Jeanne zrobiła krok w stronę szefa klanu, ale on nawet na nią nie spojrział. Nieruchomym wzrokiem patrzył w ekran telewizora, gdzie kończył się właśnie western. Kończył się pocałunkiem, otrzymanym przez bohatera, zgodnie z dobrą tradycją, którą tak lubił.

- Dranie - mruknął przez zaciśnięte zęby. - Tu. U mnie.

Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Cecylia nie mogła tego wymyślić. Za dobrze ją znał. Co więcej, zareagowała spontanicznie, natychmiast po przebudzeniu, kiedy jej wzrok padł na telewizor... Świnie. Aldo, który cały drżał z hamowanego gniewu, z trudem wydobył z siebie głos:

- Co chcesz zrobić?

Ale stary nie odpowiedział. Zapalił jedno ze swych szpetnych cygar, ręką, która nawet nie drgnęła. Wreszcie, kiedy Sergio zamówił już Nowy Jork w międzymiastowej, polecił mu:

- Zadzwoń do domu. Na razie nie mów nic twojej matce. Niech powie Ludwikowi, żeby przyjechał tu do nas, jak tylko wróci, i niech przyjedzie razem z nim. Załatwimy to w rodzinie. Jutro Teresa wróci z Cecylią do Paryża, bo nie chcę, żeby dziewczynka tu była.

Teraz wszyscy czekali. I wszyscy milczeli. Nawet Teresa, która wróciła z ogrodu, skąd dochodziły radosne krzyki Cecylii i dzikie ujadanie Salami. I wszyscy, z wyjątkiem starego, który zdawał się jej nie dostrzegać, wpatrywali się w Jeanne wzrokiem pełnym wrogości i pragnienia zemsty. Mimo chorobliwego upodobania do ryzyka i niebezpieczeństwa, zaczął ją ogarniać strach. Wystarczy, żeby stary kiwnął palcem i dał im zielone światło, żeby... Jej skóra nie będzie wówczas warta pięciu groszy. Ośmieliła się przyprawić rogi mężczyźnie z rodu Manalese. I to ona, obca. Była tak osaczona przez ich nienawiść, przez ich pragnienie zemsty, że powietrze wydawało się jej aż gęste od wiszącej w nim vendetty. Nogi odmówiły jej nagle posłuszeństwa i oszołomiona osunęła się na fotel. Chętnie stawiałaby im czoło, rzuciła im w twarz wyzwanie, ale czuła, że nie starczy jej sił. Za wielu ich było. Ten zwarty, bezlitosny blok przerażał ją. Okrutne oczy, źrenice, w których czytała wyrok na siebie, sprawiały, że oblewał ją zimny pot.

Nawet Sergio, ten dobry kumpel, o którym sądziła zawsze, że to młody narwaniec i że tylko mu dziewczyny w głowie... Nawet on... Nikt jej nie przepuści. Nikt. Zaciśnęła usta, bojąc się wyjść do ubikacji. Gdyby przynajmniej mogła krzyczeć, może bałaby się trochę mniej! Ale to pogorszyłoby tylko jej sytuację. Przecież to wszystko dzikusy, tylko pozornie cywilizowane. Co stary w końcu zdecyduje? Może gdyby zaprzeczyła, gdyby z uporem udawała uciśnioną niewinność - uwierzyłby jej? W końcu to, co gada dzieciak, nie jest żadnym dowodem. Jeżeli się nie przyzna, ma jeszcze ostatnią szansę wybrnięcia z tej sytuacji. Ale co knuje ten stary piekielnik? Dowiedziała się o tym wkrótce, gdy tylko dostali połączenie z Nowym Jorkiem, dzięki temu, że rozumiała dialekt sycylijski, którym klan się porozumiewał. Połączywszy się z hotelem Sergio poprosił recepcjonistę o przywołanie Frankiego Vittorio, po czym podał aparat ojcu, który z miejsca przystąpił do rzeczy:

- Frankie, w sprawie paczki nastąpiła zmiana programu. Nie wysyłaj jej już do Veracruz. Muszę ją dostać tutaj jak najszybciej. Zostałem oszukany. Podle oszukany. - Przez chwilę słuchał uważnie, potem nagle przerwał: - Nie, nie, nie zajmuj się tym. Odeślij mi ją. To sprawa honorowa. Że jak? Jutro? Tak, o ile to możliwe. Mówisz, że wyślesz ją samolotem, który ląduje na Orly o piątej? To Air France? O.K., Frankie.

Cygaro rozjarzyło się w ustach Salvatore, który słuchał uważnie, po czym odpowiedział:

- Tak, sprawa honorowa. Liczę na ciebie, Frankie. Z góry dziękuję. Ciao.

Stary oddał aparat Sergiowi i wyprostował się powoli. Imponujący spokój jego potężnej sylwetki sprawiał, że wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

- Muszka Majowa będzie tu jutro - wyjaśnił, nie zaszczycając synowej ani jednym spojrzeniem.

- Nie sądzisz, że może wpaść? - wtrącił Aldo.

Ojciec zerknął w jego stronę.

- Wiesz dobrze, że po wylądowaniu gliny nie interesują się na ogół paszportami. Obawiać by się można wyłącznie

celników, ale Muszka nic nie będzie miał ze sobą, poza torbą podróżną...

Zaciągnął się cygarem, wydmuchując chmurę żółtego dymu.

- ...nie zapominaj też, że policja powinna nadal przypuszczać, że ukrywa się we Francji. Nie przyjdzie im nigdy do głowy, że udało mu się uciec, a teraz wraca z własnej woli.

Roześmiał się głośno, odganiając dłonią dym.

- Kiedy mówię „z własnej woli...”

Jego szarozielone oczy spotkały się na moment z oczami syna.

- Kiedy się tu znajdzie, będzie musiał mówić. I opowiedzieć nam, co robił w szopie... z twoją żoną, Aldo.

Znowu wszystkie spojrzenia pobiegły ku Jeanne, nieludzkie, ciężkie od gróźb. Zerwała się z krzesła, czując, że się dusi. Wiedziała, co ich czeka. Muszkę i ją. Klan zmusi ich do przyznania się, wykazując sprzeczność ich relacji. Użyją w tym celu wszelkich środków. Gdyby jeszcze ten Muszka mógł nie przyjeżdżać, gdyby udało mu się uciec...

Chciała zwrócić na siebie uwagę starego, który nie dostrzegał jej bardziej niż kiedykolwiek, chciała się bronić.

- Zapewniam was, że...

- Aldo - przerwał jej stary, odwracając się do niej plecami - niech ona tu nie siedzi. Niech idzie do swojego pokoju.

Aldo wzdrygnął się. Szpikulec śrubokrętu, groźny jak biała broń, drżał w jego zaciśniętej dłoni.

- Słyszałaś? - wykrztusił z trudem pod adresem żony, głosem zdławionym z wściekłości.

- Ależ Aldo... - zająknęła się Jeanne.

Stary odwrócił się błyskawicznie i wymierzył jej policzek, jednym wymachem dłoni tam i z powrotem. Upadła ogłuszona, przewracając stolik, na którym stały kieliszki. Minęła dłuższa chwila, zanim przyszła do siebie. Wstała powoli, ale nikt nawet nie spróbował jej pomóc. Zostawili ją na ziemi, jak bezwartościowy przedmiot, przyglądając się jej obojętnie, z wyjątkiem starego, który wyszedł do ogrodu przyjęty tam radosnym okrzykiem Cecylii.

- Chodź szybko, dziadziusiu, Salami znalazł wiewiórkę!

I szef klanu powędrował potulnie, ciągnięty przez dziewczynkę w podartej sukience, z zarumienioną buzią i włosami w nieładzie, a za nimi biegł w podskokach Salami, obgryzając pięty Cecylii.

*

W fałszywym wozie meblowym pachniało piwem, stęchlym dymem papierosowym i wyschniętym chlebem.

Czołówka brygady śledczej, czuwająca od świtu, miała już tego wyżej uszu. Nie mówiąc o słońcu, które tak rozgrzało blaszany dach, że w prowizorycznym laboratorium nie sposób było wytrzymać. Le Goff, Serisky i Rondier zdjęli marynarki, koszule, skarpetki i pomimo to czuli się jak w łaźni. Co chwila wycierali pot, a siusiali w razie konieczności do pustej puszki po piwie.

- I pomyśleć, że moja żona jest pewna, że się wesoło bawię...
- westchnął Serisky.

- Nic dziwnego! Jak to w młodym małżeństwie: jest o ciebie zazdrosna! Później będzie Boga prosić, żebyś nie wracał - pokpiwał Rondier, pełniący właśnie wartę przy teleobiektywie.

Słumił wybuch śmiechu, w wozie zaraz zrobiło się mniej duszno.

- Przynajmniej tak twierdził zawsze Larméno - dodał, nagle poważniejąc.

Gdy padło nazwisko kolegi zastrzelonego przez Muszkę Majową, policjanci, jakby nagle zawstydzeni, pospuszczali głowy. To już rok. Cały rok. A ten bydlak morderca... kiedy już zdawało się, że jest gruntownie załatwiony, kiedy kat już czekał...

- Uwaga! - szepnął nagle Rondier. - Do ciebie mówię, Serisky. Zdaje się, że to nasz ptaszek.

Le Goff i jego zastępca dopadli lornetek. Tuż przed nimi, tak blisko, że niemal mogli go dotknąć, Ludwik Berlińczyk wysiadał z taksówki. Ponieważ nadjechał z przeciwnej strony, musiał się zatrzymać naprzeciw sklepu, po drugiej stronie jezdni. Był z gołą głową, bez okularów, przez ramię miał przerzucony płaszcz gabardynowy i torbę United Airlines w rękę. Kamera Serisky'ego wydała charakterystyczny cichy

pomruk i podczas gdy blondyn płacił za kurs, został pospiesznie sfotografowany. Robota na medal, zważywszy że znajdował się tuż przed nimi, jak na dłoni...

- Myśli pan, że to ten nasz facet? - szepnął Serisky do Le Goffa.

Szef potwierdził skinieniem głowy, nie odrywając oczu od lornetki.

- Według rysopisu to chyba on. Jak klisze?

- Powinny być dobre - odpowiedział jego zastępca.

Wszyscy trzej, z sercami bijącymi nadzieją, odprowadzili wzrokiem blondyna przechodzącego przez jezdnię. I wszyscy trzej jednocześnie westchnęli, gdy wszedł do sklepu. Le Goff już telefonował.

- Czerwony do Zielonego. Czerwony do Zielonego. Przyślijcie Merlu i Baraniego, żeby założyli koła. Pilne. Skończyłem.

Le Goff odłożył słuchawkę i z uznaniem spojrzał na Serisky'ego, który podszedł do naczynia z wodą.

W pięć minut później wóz zadrżał od uderzeń. Dwaj policjanci, przebrani za mechaników samochodowych, przytwierdzali koła pod fachowym okiem funkcjonariusza służby ruchu, zadowolonego, że się ich wreszcie pozbędzie. Uporawszy się szybko z robotą Barani i jego towarzysza wsiedli do szoferki i ruszyli, a w środku ich koledzy ubierali się pospiesznie, by natychmiast po powrocie przystąpić do badania świadków.

XVIII

W pomieszczeniach Brygady do walki z gangami panowała atmosfera jak w noc przed szturmem. Było po drugiej rano, a pomimo to wszyscy byli na miejscu, z wyjątkiem dwóch grup, które obstawiały sklep i posiadłość w Poigny. Le Goff i jego chłopcy działali sprawnie, ale trzeba przyznać, że i szczęście dopisywało... Nie tylko udało im się odnaleźć późnym wieczorem żandarma, który odprowadzał Muszkę do sędziego Martin, ale również zastali jeszcze w sklepie właścicielkę

wypożyczalni ubrań. Obydwoje rozpoznali blondyna. Tak, to ten obywatel wypożyczył mundur. Tak, to ten sam, który w przebraniu strażnika usiadł koło Muszki na ławce w korytarzu Pałacu Sprawiedliwości. Tak, to ten sam człowiek. Strażnik rozpoznał nawet na jednej z fotografii Sergia i stwierdził, że to on był tym fałszywym aresztantem. Był tego najzupełniej pewny. Wszystko szło jak po maśle. Pozostała część akcji zapowiadała się banalnie. Może być co prawda niebezpiecznie, ale w granicach normy. Teraz należało już tylko śledzić cierpliwie i sprytnie klan Manalese, co musiało doprowadzić do ujęcia Muszki, którego ciągle obiecywano zaczynającemu się niecierpliwic społeczeństwu. Le Goff kierował akcją ze swego biura. Nie czuł już zmęczenia. Był pewny, że teraz schwyta mordercę. Tego, który zabił Larméno i Vrillarda i obrabował dziesiątki banków i urzędów pocztowych. Tym razem mu się nie wymknie. Chyba że... Le Goff w zamyśleniu grzebał w paczce gitanów. Chyba że przestępca jest już bezpieczny w jakimś odległym zakątku świata...

Co pół godziny otrzymywał przez radio lub przez telefon raport o sytuacji w dwóch obserwowanych punktach. Ale z zapadnięciem nocy zarówno sklep jak i willa pogrążyły się w ciemności. Dokoła wszystko wydawało się spokojne. Ludwik Berlińczyk, po zjedzeniu obiadu w sklepie, wsiadł do jednego z Peugeotów i pojechał do Poigny, by przyłączyć się do reszty rodziny. Obecnie - mówił ostatni raport zastępcy komisarza, Toupira - wydaje się, że wszyscy w posiadłości śpią. Le Goff złamał właśnie zapalną, gdy otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Rondier.

- Szefie, telefon do pana. Zdaje się, że to ważna wiadomość.
- Jeszcze jedna - westchnął Serisky, który porównywał zestaw fotografii z portretem pamięciowym Berlińczyka, wykonanym przez jednego z kolegów z grupy dokumentacyjnej. Rondier wzruszył ramionami.

- Trudno, trzeba próbować wszystkiego.

Obaj zamilkli nagle, ponieważ na twarzy Le Goffa, odbierającego telefon, malowało się osłupienie.

- Co takiego? Co pani opowiada? Że Sartet, zwany Muszką

Majową, przylatuje jutro z Nowego Jorku na Orly? O piątej po południu?

Spojrzał na swoich ludzi z wyrazem niebotycznego zdumienia.

- Niemożliwe! Przysięga pani? Mówi pani, że możemy go z łatwością zgarnąć? Tyle tylko, że będzie w przebraniu? Przynajmniej tak pani sądzi?

Le Goff zmrużył oczy w jaskrawym świetle lampy. W głosie jego brzmiało niedowierzanie. Zdusił niedopałek w popielniczce i powtórzył jeszcze bardziej sceptycznie:

- Jutro, na Orly? Odlatujący z Nowego Jorku! Coś podobnego! Ale przede wszystkim kim pani jest? Halo? Halo?

Drgnął, słysząc po drugiej stronie trzask odkładanej słuchawki.

- Jakaś kobieta - wyjaśnił swoim zastępcom z powątpiewaniem. - Oznajmiła mi, że Muszka przyleci jutro na Orly. Samolotem z...

Przerwał, wyprostował się powoli za biurkiem, a z bladoszarych oczu zniknął mu wyraz nieufności.

- Z Nowego Jorku - powiedział ciszej, z zadumą w głosie. - Z Nowego Jorku...

- Pewnie jakieś wygłupy - stwierdził Serisky.

- Jeszcze jedna wariatka - zarechotał Rondier. - Muszka w Nowym Jorku! I miałby stamtąd wrócić... ot, tak sobie... żeby powiedzieć dzień dobry!

Roześmiał się serdecznie, a Serisky mu zawtórował:

-Ta dopiero jest bezkonkurencyjna! Muszka nawiał do Stanów i teraz tu wraca, żeby dać się przymknąć! Ona jest naprawdę wspaniała!

Ale Le Goff ich nie słyszał. Nie spiesząc się wstał z krzesła i zamyślony podszedł do stołu, na którym piętrzyły się dzienniki, zwyczajowo wysyłane przez redakcje policji. Wziął do ręki pierwszy z brzegu, zatrzymał przez chwilę wzrok na jakimś tytule, po czym rzucił go na stół swoich zastępców, przerywając ich atak wesołości.

- A jeżeli to on...

Zastępcy pochylili się jednocześnie nad gazetą, w której wielkimi czcionkami wydrukowano: „W Boeingu relacji Paryż-Nowy Jork największy napad wszechczasów. Zrabowano brylanty wartości około 40 miliardów starych franków. Z zeznań świadków wynika...

W pokoju pełnym papierosowego dymu zapadła nagle cisza, przerywana jedynie nieustającym terkotem aparatów telefonicznych w sąsiednich gabinetach. Serisky podniósł wreszcie głowę. Już się nie śmiał.

- Naprawdę, szefie, sądzi pan, że...

- Nic nie sądzę - uciął krótko Le Goff. - Ale płacą nam za to, żebyśmy wiedzieli, że należy on do tych nielicznych ludzi, dostatecznie odważnych, żeby porwać się na coś podobnego. Co o tym myślisz, Rondier?

Nie czekając na odpowiedź swego zastępcy mówił dalej:

- Nie wiem, czym kierowała się ta kobieta, telefonując do mnie, ale zaczynam się zastanawiać... -I nagle zdecydował: - Spróbujcie dowiedzieć się, skąd dzwonił.

Rondier rzucił się do telefonu.

*

Wstrzymując oddech, żona Aida wchodziła ostrożnie po schodach. Kości zostały rzucone. Zawiadomiła gliny. Nie było to trudne, od kiedy ukazało się w gazetach ogłoszenie, gdzie i jak można ich znaleźć, gdyby ktoś chciał im przekazać informacje, dotyczące mordercy! Była to jej ostatnia szansa. Muszka, aresztowany natychmiast po wylądowaniu, nie będzie wiedział, skąd padł cios. A w każdym razie nie posądzi o to nikogo z rodziny Manalese, którą miał w rękę po ostatnim napadzie! Nie! raczej pomyśli, że to przypadek, albo że rozpoznał go jakiś bystrzejszy od innych gliniarz. Nigdy nie przyjdzie mu do głowy, że to Jeanne, chcąc siebie ratować... Bo na to właśnie liczyła. Gdy zamkną Muszkę, nikt nie zmusi jej, żeby się przyznała, że mu wtedy uległa. Będą ją podejrzewać, zadręczać gadaniem, ale niczego jej nie dowiodą. Tego tylko chciała: zyskać na czasie. Gdy Muszka raz się tu znajdzie, już nie wypuszczą ich ze swoich pazurów. Zaczną go wypytywać, przycisną go tak, że będzie musiał pękać. Mogliby nawet pójść

na to, żeby wziąć na świadka dziewczynkę. A potem ich wykończą. Najzwyczajniej w świecie, tak, jak się wrzuca ząbek czosnku do barszczu. Wytrzymać i uniknąć konfrontacji, od tego wszystko zależy. Resztą już zajmie się sama. Jak tylko rodzinka trochę się uspokoi, da nogę, o ile się uda, z częścią zdobyczy.

Wchodząc na ostatni stopień dotknęła dłonią policzka, w miejscu, gdzie uderzył ją stary. Przyjdzie jeszcze dzień, że mu za to zapłaci. Na początek udaremniła jego plany.

Przytrzymując jedwabny szlafrok, by nie szeleścił, przemknęła jak cień do swojego pokoju, gdzie zamknął ją Aldo-Otello. Sam wyniósł się gdzie indziej. Nie mógł przecież spać z zadżumioną! Zręcznie zamknęła za sobą drzwi, używając w tym celu szpilki do włosów. Mądrale! Myśleli, że nie poradzi sobie z zamkiem! Wróciła do łóżka i z rozkoszą wyciągnęła się w pościeli. W końcu nie było wcale tak źle spać samej. A zresztą, to tylko chwilowo.

Zawsze jakiegoś faceta sobie znajdzie. Kto wie? Może nawet Aldo... gdyby mogła mu udowodnić.. Dla takiej dziewczyny jak ona, co wszystko ma na swoim miejscu, żadna sprawa nie jest całkiem przegrana. Mężczyźni to beznadziejni głupcy! Ale żeby miało się to udać, Muszka nie mógł wrócić.

XIX

Alan Le Goff zainstalował swój sztab w biurze kolegi, pracującego na lotnisku. Mógł się stąd porozumiewać z wszystkimi podlegającymi mu radiowozami. Większość z nich, przy pomocy wozów żandarmerii, obstawiała dyskretnie posiadłość rodziny Manalese w Poigny. Pozostałe, rozproszone po parkingach Orly, czekały gotowe do akcji. Pułapka została zastawiona. Szef miał być zawiadomiony, czy sieć, w którą miał wpaść Muszka, działa sprawnie. Tej nocy nie położył się ani na chwilę, podobnie zresztą jak cała jego ekipa. Przekazał pilnie, techniką telefotograficzną, zdjęcia członków klanu Manalese nowojorskim policjantom, prowadzącym śledztwo w sprawie rabunku w Boeingu. Potwierdzili już otrzymanie zdjęć i obecnie

zajmowali się poszukiwaniem pasażerów i personelu z obsługi samolotu. Le Goff, siedząc za biurkiem, przerzucał właśnie dzienniki, w poszukiwaniu opisów napadu, gdy zjawił się Serisky i podał mu jakiś papier.

- Szefie, kablogram stamtąd.

Le Goff pospiesznie zabrał się do czytania.

„Wielu pasażerów odpowiada, lub mogłoby odpowiadać, rysopisowi Rogera Sartet. Jeden z nich leci w pierwszej klasie, nazywa się Erick Wellum, obywatel amerykański. Ubrany w jesionkę i garnitur z jasnego tweedu, kapelusz tyrolski, broda przycięta prostokątnie, ciemne okulary. Zwracamy uwagę, że zdaje się towarzyszyć mu dwóch mężczyzn. Ich nazwiska figurujące na liście rezerwacji: Luigi Briaco i Tom Marling. Dwaj pozostali, odpowiadający rysopisowi, znajdują się w klasie turystycznej. Porozumieliśmy się drogą radiową z kapitanem samolotu, żeby podał nam dokładniejsze rysopisy. Przekażemy je wam później”.

Le Goff odłożył papier i przeciągnął się, ziewając. Zegar ścienny wskazywał szesnastą czterdzieści pięć. No - pomyślał - już tylko kwadrans.

- Kawy, szefie? - zaproponował Rondier i podał mu filiżankę.

Le Goff dmuchnął w czarny, gorący płyn, popijał powoli, obserwując Serisky'ego, który ze słuchawką przy uchu mało nie wyskoczył ze skóry.

- Co się znowu dzieje? - zapytał zaniepokojony.

Jego zastępca uniósł rękę, dając mu znak, żeby cierpliwie czekał, i po chwili odłożył słuchawkę. Był oszołomiony i jednocześnie uradowany.

- Nie domyślilibyście się! Barani zawiadomił nas, że jest tu Sergio, najmłodszy Manalese.

Palce Le Goffa zacisnęły się na uszku filiżanki. Natomiast Rondier wykrzyknął:

- Więc jednak! Jeżeli on tu jest, to znaczy...

- Jakim samochodem przyjechał? - przerwał mu Le Goff, zwracając się do Serisky'ego.

- Buickiem swojego ojca.

Oczy komisarza zabłyśły, ale w tej samej chwili zadzwonił drugi telefon.

- Halo! - krzyknął niecierpliwie w słuchawkę Rondier.

Przez dłuższy czas słuchał uważnie, po czym odkładając słuchawkę poinformował:

- Zastępca komisarza kazał panu przekazać wiadomość, że Teresa Bardan opuściła posiadłość ze swoją córeczką i jedzie w kierunku Paryża. Wraca prawdopodobnie do sklepu. Jeden z naszych samochodów jedzie za nią.

Le Goff skinął głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że wszystko odbywa się po jego myśli, wypił resztkę kawy i odstawił pustą filiżankę. W momencie, gdy to robił, Serisky podał mu następny kablogram policji nowojorskiej : „Luigi Briaco i Tom Marling figurują w naszej kartotece. Podejrzani o przynależność do gangu Cezara Catali- no, który z kolei jest podwładnym Frankiego Vittorio. Pozostali dwaj pasażerowie klasy turystycznej, odpowiadający rysopisowi Rogera Sartet, to Hans Balauer, obywatel RFN, i Raul Boutin, Francuz. Śledztwo szybko postępuje naprzód. Pozostajemy z wami w kontakcie”.

Szef Brygady do walki z gangami westchnął głęboko. Gdyby tak okazało się, że Muszka rzeczywiście jest w samolocie! I gdyby jeszcze w dodatku ofiary napadu rozpoznały fotografie członków rodziny Manalese... byłaby to najpiękniejsza operacja w jego karierze! Taka, która w jednej chwili zmienia mamie płatnego gliniarza w bohatera dnia. Zaraz rozległyby się hymny pochwalne na jego cześć. Ale Le Goffowi nie chodziło o zaszczyty. On chciał dostać w swoje ręce Sarteta, tego, który sprzątnął mu dwóch ludzi. Oddałby swoje całoroczne zarobki, byleby udało mu się aresztować mordercę. Stało się to jego prywatną sprawą. Włączył krótkofalówkę, żeby porozumieć się z Baranim.

- Czerwony do Żółtego. Czerwony do Żółtego. Przekażcie do Czarnego, Niebieskiego i Zielonego numer rejestracyjny Buicka Salvatore Manalese. Nie spuszczaście go z oka. Potwierdzić odbiór. Skończyłem.

- Zrozumiano, Czerwony - potwierdził głos Baraniego o

śpiewnym akcencie.

Le Goff podniósł głowę. Zegar ścienny wskazywał szesnastą czterdzieści. Wstał i wziął z wieszaka kapelusz.

- Panowie!

Wyszli razem z pokoju, po czym Rondier i Serisky udali się w dwóch przeciwnych kierunkach, po drodze porozumiewając się niepostrzeżenie ze swoimi ludźmi. Natomiast Le Goff poszedł do hallu na pierwszym piętrze. Punktualnie o siedemnastej Boeing Air France zatrzymał się na wyznaczonym pasie i już po chwili dwa autokary wiozły pasażerów do budynku lotniska, dla dokonania formalności celnych. Wmieszany w tłum Le Goff z bijącym sercem przyglądał się uważnie wszystkim nowo przybyłym. Nagle poczuł, że serce w nim zamarło, i przez kilka sekund nie był w stanie złapać tchu. Każdy mógł się pomylić, tylko nie on. Jego doświadczone oko rozpoznało Muszkę. Wyobraził go sobie natychmiast bez tyrolskiego kapelusza, z obciętą brodą i bez ciemnych okularów. Cofnął się głębiej w tłum, nie przestając obserwować mężczyzny, który układnie i grzecznie, z bagażem w rękę zbliżał się do celników. A więc informacja telefoniczna była prawdziwa. Muszka wracał z Nowego Jorku. Jak z tego wynikało, brał udział w owym sławnym napadzie. Jednego tylko Le Goff nie był w stanie zrozumieć, a mianowicie po co tu wracał. I w dodatku w towarzystwie obstawy. Szybko bowiem zorientował się, że dwóch facetów depte mordercy po piętach. Zapewne Luigi Briaco i Tom Marling, których im sygnalizowano.

Tymczasem Muszka, dopełniwszy formalności, wyszedł na zewnątrz krokiem pozornie swobodnym i niemal natychmiast wpadł na Sergia, który szepnął, wskazując stojącego przy chodniku Buicka:

- Tędy, panie Sartet.

Muszka spostrzegł go wcześniej, ale nawet nie próbował się wymknąć. Nie miał żadnych szans. Z tyłu odcinali mu odwrót dwaj goryle, którzy przyjechali tu za nim ze Stanów. A nie miał wątpliwości, że przedmioty, które trzymali w kieszeniach, to nie były łakocie.

- O.K. - odpowiedział sucho. - Zdaje się, że twój ojciec chce się ze mną zobaczyć.

- Zdaje się - potwierdził Sergio lakonicznie, otwierając mu tylne drzwi wozu.

Muszka wsiadł. W momencie, gdy dwaj goryle chcieli pójść w jego ślady, zostali dyskretnie otoczeni przez czterech bagażowych, z których jeden powiedział:

- Panowie pomylili samochody. Proszę tutaj.

Goryle nie mieli czasu zorientować się, o co chodzi.

Cztery niewidoczne, ale za to wymowne lufy łaskotały ich w plecy i brzuchy. Muszka zrozumiał, co się święci, ale o sekundę za późno. Le Goff i Serisky siedzieli już po obu bokach na miękkim siedzeniu, a Rondier, odepchnąwszy Sergia na sąsiedni fotel, zajął jego miejsce za kierownicą. Barani wsiadł przez przednie drzwi z drugiej strony.

- Jedziemy do Poigny - rozkazał Le Goff.

Nie obejrzał się nawet, co robią jego podwładni, którzy pakowali właśnie przestępców made in USA do Peugeota 404, należącego do policji sądowej, by przewieźć ich jak najszybciej na ulicę de La Tour Pointue 36, i tam porozmawiać o ich rodzinnym kraju. Le Goff znał się na dostarczaniu opakowanego towaru do domu. Za nimi ruszył w tym samym kierunku co Buick Peugeot 404, a tuż za nim czerwona DS-a Le Goffa i dwa inne samochody policyjne. Tym razem nie było ryzyka, że wróg publiczny zgubi się po drodze! Na wszelki wypadek zresztą Serisky zamknął mu właśnie na rękach kajdanki i ledwie się powstrzymał, żeby nie założyć mu ich również na nogi!

- Przyjemnie mi pana zobaczyć, panie Sartet - odezwał się Le Goff. - I moje gratulacje. Piękna robota. A wy, co o tym myślicie, Serisky?

- Nadzwyczajna, szefie - zgodził się jego zastępca, badający zawartość torby bandyty. - Niestety, nigdy nie będzie mógł skorzystać z tej zdobyczy!

- Nie rozumiem, co chcecie przez to powiedzieć - odburknął Muszka, któremu zastępca Le Goffa zdejmował właśnie ciemne okulary i tyrolski kapelusik.

- O, tak mi się znacznie bardziej podoba! Przynajmniej można go poznać! A kiedy jeszcze cyrulik wyzwoli go od brody i wąsów, będziemy nareszcie znowu mieli naszą śliczną Muszkę. Prawda, szefie? - zakpił Barani odwracając się.

Skończył właśnie rewidować Sergia, któremu odebrał rewolwer kalibru 7,65, z długą lufą. Potem jemu również założył kajdanki. Rondier ostrożnie wyprzedził pełen pasażerów autokar Air France, jadący w kierunku Inwalidów, po czym wtrącił:

- Już prawie straciłem nadzieję, że cię jeszcze kiedyś zobaczę. Obawiałem się, że nasi przyjaciele, Vrillard i Lar-méno nigdy nie zostaną pomszczeni. Spać przez to nie mogłem.

Wyminął inny autokar i warknął przez zaciśnięte zęby, patrząc we wsteczne lustro:

- Ścierwo...

Muszka nie zareagował. Pograżony w myślach zastanawiał się, kto go sypanął. Jedno było pewne, a mianowicie, że Le Goff i jego świta specjalnie na niego czekali. Pilnowanie lądujących samolotów nie należało do nich. Łamał sobie głowę, ale nie znajdował nikogo, kto by mógł zawiadomić gliny. Kto poza rodziną Manalese wiedział, że przylatuje dziś na Orly? Zerknął na Le Goffa, który wyjął właśnie papierosa, i zapytał:

- Mogę zapalić?

Znał z góry odpowiedź. Już raz, w czasie pierwszego przesłuchania Le Goff zrobił mu ten sam numer. Trafiał bezbłędnie.

- Nie - odpowiedział Le Goff bez gniewu i zaraz dodał: - Gdzie są ukryte brylanty zrabowane w Boeingu?

Muszka wzruszył ramionami i wydał wargi.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Oczywiście, że nie - westchnął Serisky. - Ty nigdy nic nie rozumiesz. A ty, tam z przodu, też nie wiesz nic na ten temat?

Sergio odwrócił się z udanym zdumieniem.

- Co, proszę?

- Nic - mruknął Le Goff. - Za to świadkowie napadu przemówią! -I dodał, zwracając się do Rondiera: - Zatrzy-

majcie się na chwilę, żebym mógł się przesiąść do swojego samochodu.

W chwilę później karawana mknęła znowu w stronę Poigny, a Le Goff podnosił słuchawkę telefonu.

- Tu Czerwony. Tu Czerwony. Wiadomość dla wszystkich samochodów. Wiadomość dla wszystkich samochodów. Pierwszy cel osiągnięty. Przygotujcie się do wykonania poleceń.

Po pół godzinie Buick Salvatore wjeżdżał w aleję prowadzącą przed ganek willi. Popijając wino z lodem siedzieli tam wszyscy Manalese, z wyjątkiem Teresy, która była z Cecylią w Paryżu, i Jeanne, zamkniętej w szopie. Jak na komendę wszystkie głowy zwróciły się w kierunku nadjeżdżającego samochodu i na wszystkich twarzach odmalowało się identyczne osłupienie. Tuż za Buickiem nadjechało na pełnym gazie sześć innych samochodów, bynajmniej nie przewidzianych w programie, i z piskiem hamulców zatrzymało się, otaczając półkolem Buicka i ganek. Trzasnęły otwierane drzwi i z wozów wysypali się policjanci i żandarmi, z bronią gotową do strzału. Z daleka słychać było podobne odgłosy, świadczące o tym, że pułapka się zamknęła. Wszystko to trwało najwyżej dziesięć sekund. Salvatore wstał, błądy jak ściana, ale spokojny. Te dziesięć sekund wystarczyło, by spostrzegł Muszkę i Sergia w kajdankach i pojął rozmiary klęski.

- Co to ma znaczyć? - spróbował mimo wszystko przejść do ataku.

Jego wierna Maria patrzyła na niego ze smutkiem. Czy oznaczało to, że klatka już się zatrzasnęła, że jest to ów najboleśniejszy cios, który zawsze przeczuwała w głębi serca? Na to wyglądało. Świadczyła o tym obecność głównego prześladowcy, który wysiadł właśnie ze swojej czerwonej DS-y i przedstawił się, okazując jednocześnie służbową plakietkę:

- Naczelnny komisarz Le Goff. Policja sądowa.

Stary Sycylijszyk podszedł do niego chcąc coś powiedzieć, ale Le Goff go uprzedził:

- Salvatore Manalese, jest pan aresztowany wraz z całą

rodziną pod zarzutem dokonania napadu rabunkowego z bronią w rękę, w samolocie relacji Paryż-Nowy Jork.

Ludwik Berlińczyk odruchowo zrobił niefortunny ruch w kierunku rewolweru, ukrytego pod letnią marynarką. W tej samej chwili poczuł dotknięcie lufy pod łopatką.

- Spokojnie - poradził mu łagodnie Merlu.

- Ręce do góry, wszyscy! - krzyknął Serisky, popychając przed sobą Muszkę.

Powoli, niechętnie, Manalese wykonali rozkaz. Nawet żona starego Sycylińczyka, purpurowa ze wstydu...

- To pani nie dotyczy - zwrócił się do niej z szacunkiem Le Goff. Wiedział, z kim ma do czynienia. Nauczyło go tego doświadczenie.

Aldo, który usłyszał za plecami kroki Jeanne, wychodzącej z szopy, odwrócił się błyskawicznie i przenosząc płonące spojrzenie na Muszkę, krzyknął, drżąc ze wściekłości:

- Uwiodłeś mi ją, ty łajdaku, co? I mnie to zrobiłeś, mnie...

Udało mu się odepchnąć pilnującego go policjanta, zrobił dwa kroki w kierunku Muszki i plunął mu w twarz, zanim tamten zdążył się zorientować, co się święci.

- Poprzysiągłem sobie, że ci tego wyczynu powinszuję, ty ścierwo... - dodał głosem zmienionym tłumioną pasją.

- Aldo! - krzyknął ostrzegawczo stary.

Syn wycofał się niechętnie, popychany rewolwerem anioła stróża, natomiast Salvatore zwrócił się ponownie do komisarza. Uważał, że powinien coś powiedzieć.

- Czy może mi pan wyjaśnić...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo Muszka przerwał mu brutalnie, wycierając rękawem oplutą twarz:

- Nie ma nic do tłumaczenia. Wszystko jest jasne. Ktoś z pana rodziny mnie sypnął. Być może pan sam! Ciekaw jestem tylko, dlaczego!

Matowa cera Sycylińczyka przybrała barwę popiołu, a Muszka mówił dalej z rosnącą złością:

- Nikt przecież nie wiedział, że przyjeżdżam na Orly! Nikt, poza wami i waszymi pomagierami z Nowego Jorku, którzy zmusili mnie do powrotu!

W tym momencie z samochodu Le Goffa dobiegł głos Baraniego, zagłuszając ostatnie słowa Sarteta.

- Szeffie! Dzwonią do pana ze sztabu! Jest pilny kablo-gram z Nowego Jorku.

Wszystkie spojrzenia pobiegły ku czerwonemu samochodowi, w którym widać było głowę korsykańskiego policjanta, pochyloną nad krótkofalówką. Le Goff skinął aprobująco głową.

- Niech przekazują, a wy tłumaczcie.

I donośny, melodyjny głos Baraniego zaczął powtarzać treść bezlitosnego meldunku:

- Odnaleźliśmy obsługę Boeinga i część pasażerów, w tym ofiary rabunku. Wszyscy rozpoznają na nadesłanych zdjęciach uczestników napadu. Poszukujemy obecnie fałszywego pilota. Gratulacje dla komisarza Le Goffa za pomoc w naszym śledztwie. Giulio Masari, szef policji stanu Nowy Jork.

Słowa Baraniego zabrzmiały w letnim powietrzu wiosennego dnia jak bezapelacyjny wyrok. Salvatore Manalese, który miał zamiar coś powiedzieć, zamilkł i cofnął się, jak uderzony w twarz. W nagle zapadłej, nieznośnej ciszy rozległ się szloch Jeanne. Idiotka, czemu tego nie przewidziała? Sądziła, że jest zgubiona, zamiast tego zafundowała sobie stalowe bransoletki.

Muszka, który wydawał się zasłuchany w śpiew jakiegoś ptaka na odległym drzewie i nie mógł dotąd pojąć, jak doszło do tego Waterloo, oprzytomniał, ponieważ nagle wszystko stało się jasne. Twarz wykrzywił mu grymas i rzucił ironicznie pod adresem starego:

- Tacy byliście sprytni? Chcieliście sprowadzić mnie siłą? I po co wam to było potrzebne? Czego chcieliście się dowiedzieć?

Odwrócił się gwałtownie, żeby mieć przed oczyma Aida.

- Tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy twoja cizia przyprawiła ci rogi, prawda? I żeby się potem zemścić! No, dalej, odpowiadaj! Powiedzcie mi przynajmniej, że byliście takimi idiotami, żeby dla waszej sycylijskiej pychy posłać nas wszystkich do pudła! Śmiało, odpowiedz!

Aldo doprowadzony do ostateczności chciał się na niego rzucić, ale dwaj policjanci chwycili go wpół, a Muszka nie mając już nic do stracenia mówił dalej, z okrucieństwem rozdrapując otwartą ranę:

- Dobrze więc, skoro jedziemy wszyscy na tym samym wózku, a raczej tą samą suką, a ja wyłącznie z waszej winy, chętnie was uspokoję. Uspokoję cię, Salvatore!

Znowu odwrócił się, żeby widzieć starego, do którego po raz pierwszy mówił per ty, i to z pogardą.

- Ponieważ jeden z twojej bandy mnie wydał, oszczędzę wam wątpliwości. Owszem, przespałem się z żoną twojego syna. To prawda. Zapytaj ją samą. Zapytajcie ją.

Przebiegł wzrokiem wszystkich Manalese i dodał z wściekłością:

- I gdybym mógł, zrobiłbym to jeszcze raz. Bez wyrzutów sumienia. Po co miałbym się kępować wobec kapusiów!

Jeanne stała na ostatnim schodku, za plecami glin, wystawiona na złowrogie spojrzenia klanu. Le Goff obserwował wszystkich w napięciu. Zaczynał wreszcie rozumieć. A więc Muszka, według pojęć obowiązujących wśród Sycylijczyków, splamił ich honor. Ośmielił się dotknąć żony jednego z nich, naruszając prawo gościnności, prawo święte. Wszystko zaczynało się wyjaśniać. Nie próbował interweniować, przeciwnie. Wiedział, że często w takich momentach ujawnia się prawda. Nie tylko nie przerwał, ale nawet dolał oliwy do ognia i jeszcze na niego dmuchnął.

- Mylisz się, Sartet. To nie oni cię wydali - rzekł, wskazując Sycylijczyków. - To była kobieta, która nie podała swojego nazwiska. Zawiadomiła mnie telefonicznie o twoim przyjeździe.

Muszka drgnął.

- Kobieta? Ale jaka kobieta mogła wiedzieć, że...

Stary Salvatore również się wzdrygnął.

- Kobieta - mruknął pod nosem, marszcząc z zastanowieniem czoło.

Ale gdy zobaczył skurczoną nagle twarz synowej, zrozumiał natychmiast. Wyciągnął odruchowo rękę w jej kierunku, ale powstrzymany przez pistolet maszynowy żandarma warknął

tylko groźnie, oskarżycielsko, pod jej adresem:

- To ty zrobiłaś, co? Chciałaś uniknąć konfrontacji z tym, dla którego zapomniałaś, że nosisz nazwisko Manalese. Bałaś się nas? Bałaś się naszej zemsty...

Odepchnął żandarma i zrobił krok w jej kierunku.

- Szmata!

Jeanne nawet nie drgnęła. Widziała ich wszystkich, nie podnosząc oczu. Sergia wpatzonego w nią z nienawiścią. Aida, którego zakuwano właśnie w kajdanki, przeklinającego po włosku, Ludwika, który stał wyprostowany i dumny, patrząc na starego ze współczuciem, i Marię ze spuszczoną głową i złożonymi jak do modlitwy rękami. Za to Muszka zareagował gwałtownie.

- Rychło w czas się wybrałeś ze swoimi obelgami, stary głupcze!

Jego głos pełen wściekłości podziałął na Sycylijczyka jak uderzenie bata. Stary wyglądał, jakby obudził się z koszmarne snu. Otrząsnął się i znowu zwrócił się do Sarteta.

- Ach, ty... - wykrztusił przez ściśnięte gardło, z gorzkim smakiem metalu w ustach. - Ty... Ale to wszystko moja wina.

Jego szare oczy spotkały się z wyzywającym spojrzeniem Muszki. Mówił dalej, tym samym, ochrypłym głosem:

- ...wiedziałem, że jesteś człowiekiem napiętowanym. Powinienem być powiedzieć swoim, żeby cię unikali. Mogłeś sprowadzić na nas wyłącznie nieszczęście. Ale...

Wszyscy byli teraz wpatrzeni w starego, który urwał w pół słowa.

- ...ale na nikogo już go nie sprowadzisz. Nigdy.

Tego nikt nie mógł przewidzieć i nikt nie zdążył zareagować. Nie skończył jeszcze mówić, kiedy potężnym chwytem unieruchomił oburącz ramię najbliższego żandarma, podtrzymujące kolbę pistoletu maszynowego, i nacisnął jego palec wskazujący, spoczywający na cynglu. Wszystko to nie trwało nawet pięciu sekund. I akurat wystarczyło, żeby pięć kul znalazło się w brzuchu Muszki. Biorąc pod uwagę, że stary znajdował się w odległości dwóch metrów, nie mógł chybić. I nie chybił. Jak echo wystrzału rozległy się krzyki, przekleństwa

i hałas ogólnego zamieszania. Ale było już za późno. Muszka został ukarany. Łapy glin zaczęły tarosić starego, jakaś kolba uniosła się w górę i jednocześnie rozległ się krzyk Le Goffa:

- Nie!

Kolba opadła mimo to, ale ominęła głowę Salvatore, trafiając tylko w ramię, które zresztą zaledwie musnęła. Obok, podtrzymywany przez Rondiera i Serisky'ego, który również dostał obcierkę, Muszka trzymał się za brzuch. Przez palce zaczynała już sączyć się krew, barwiąc je czerwienią, na czoło wystąpiły krople potu. Spojrzał na swoje ręce, przez które wyciekało z niego życie, a potem uniósł głowę, by spojrzeć na tego, który ośmielił się tak go urządzić w obecności całej armii glin, skazując się tym samym na dożywocie, i z zaciśniętymi z bólu szczękami pozwolił się zaciągnąć do samochodu, który natychmiast ruszył na pełnym gazie do szpitala w Rambouillet.

- W drogę - rozkazał Le Goff pod adresem swoich ludzi, gdy tylko samochód zniknął za zakrętem. Potem zwrócił się do starego Sycylijczyka, któremu teraz dopiero zakładano kajdanki:

- Szkoda, ze względu na was. Napad odbył się bez rozlewu krwi. Być może wyrok nie byłby zbyt duży. Ale teraz... po tym morderstwie...

Salvatore wyprostował się. Odpowiedział twardo:

- Niczego nie żałuję.

W spojrzeniach jego klanu malował się podziw. Vendetta przemówiła i zwyciężyła, choć zapowiadało się, że przyjdzie za nią słono zapłacić. Lepiej zdechnąć, niż Odstąpić od zasady „oko za oko i ząb za ząb”.

- W drogę - powtórzył Le Goff.

On, Maria, Salvatore i Serisky wsiedli do czerwonej DS-y, a Rondier zajął miejsce za kierownicą. Wyjechali z posiadłości, gdzie rozbrzmiewał śpiew ptaków, a w stawie ryby zaczynały wyskakiwać nad powierzchnię wody. Pozostałe wozy z resztą klanu dołączyły do kawalkady.

Zanim dojechali do autostrady, korzystając z tego, że ciągle jeszcze znajdowali się na pięknej drodze obrzeżonej drzewami, które obsypywały asfalt migotliwymi plamkami słońca,

Salvatore zwrócił się do siedzącego obok niego komisarza.

- Czy nie sprawiłoby panu kłopotu zatrzymać się na pięć minut? Jedyne łaska, o którą nigdy więcej pana nie poproszę.

Skutymi rękami pokazał widoczną wśród zieleni dzwonnice wiejskiego kościołka, wznoszącą się strzeliście na tle błękitnego nieba. Le Goff spojrział w kierunku wskazanym przez Sycylijczyka. Sprawiał wrażenie, że się namyśla, ale najwidoczniej nagle zrozumiał, bo szturchnął Rondiera w plecy.

- Zatrzymamy się przed tym kościołem, Rondier.

Jego zastępca, nieco zdziwiony, posłusznie wykonał polecenie.

- Pięć minut, nie więcej - podkreślił Le Goff.

- Nie więcej, panie komisarzu - zapewnił Salvatore. - Maria!

Wszystkie samochody po kolei zatrzymywały się, a oczy policjantów otwierały się szeroko ze zdumienia na widok Le Goffa i Serisky'ego odprowadzających parę Sycylijczyków do wiekowego przedsiönka, o posadzce z omszałych płyt kamiennych. Stare brązowe drzwi, nadjedzone przez komiki, były otwarte, ukazując ciemne i chłodne wnętrze pustego kościoła. Gdy Salvatore wchodził, Le Goff przytrzymał go za łokieć. Przez moment się wahał, po czym zdejmując mu kajdanki, burknął:

- Moglibyście właściwie pomodlić się w więzieniu! Tam co niedzielę odprawia się mszę!...

- Wiem - odrzekł stary. - Ale tu Bóg jest wolny. A tam będzie jak ja... za kratkami.

Wymienili z Le Goffem krótkie spojrzenie. Rozumieli się. Szef Brygady do walki z gangami był Celtem, miał duszę mistyka, właściwą swojej rasie. Oparł się plecami o kamienną kolumnę, wspierającą wiekowy gotycki łuk i patrzył, jak para Sycylijczyków wolnym krokiem podchodzi do otoczonego świecami ołtarza, nad którym wznosi się krzyż, skąpany w pogodnym kolorowym świetle witraży.

Trébeurden. Le Vésinet lipiec-wrzesień 1966

zł 100,-

Ali-Baba

ISBN 83-07-01163-9